

S 122

[5]

53.

BIBLIOTEKA PODRÓŻY

I MALOWNICZO - HISTORYCZNYCH OPISÓW
RÓŻNYCH KRAJÓW,

WYDAWANA

PRZEZ

Adama Zawadzkiego.

Serya pinta.

OŚM DNI
POD RÓWNIKIEM.

przez

Emila Carrey.

(K a r r é j).

W I L N O.

Nakładem i drukiem Jozefa Zawadzkiego.

1859.

Liberet podróżnika
Am. otd.
<http://rcin.org.pl>

CBGİOŚ, ul. Twarda 51/55

tel. 22 69-78-773



Wa5150256

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 20
Lutego 1859 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

**OŚM DNI
POD RÓWNIKIEM.**

przez

Emila Carrey.

(Karréj).

Przeład z Francuskiego.





S. 122 [5]



D O N H E N R Y K .

I.

Wyjazd z Belem (Para-Brezylii).

Kwiecień 1855.

Poświęciwszy półtrzecia roku na zwiedzenie południowej Ameryki, powróciłem do Para (1) po-

- (1) Para lub Belem jest to jeden z portów Brezylijskich położony nad rzeką Amazonką. Para jest nazwanie prowincyi, której stolicą jest Belem. Lecz zwyczaj nadał miastu nazwisko prowincyi. Zbudowane w części przez Jezuitów miasto Ś-ta Marya Bethleemska lub Belem, wznosi się na południowem ujściu Amazonki, prawie o czterdzieści mil, na południe równika, w północnej Brezylii; liczy dziś od piętnastu do dwódziestu tysięcy mieszkańców.

łożonego na oceanie Atlantyckim, w chęci odpłynienia zlamtąd do Europy. Zmęczonemu chorobą, drogą, pracą, niespokojnością, spieszno mi było wracać. Brat mój, który przez ośmnaście miesięcy towarzyszył mi w podróży, powrócił był do Francyi, cierpiący i strapiony. Od roku byłem już sam, i bez żadnej wiadomości. Jednakże przed powrotem do Europy, chciałem zwiedzić Seringale czyli fabrykę wyrobów kautczuku (1), założone między ujściem Amazonki, a okręgiem neutralnym (2), rozciągającym się pomiędzy Brezylją i Gujanną francuzką, od lewego brzegu Amazonki, aż do rzeki Oyapock. W tym celu dla zyskania czasu zamiast wracać do Francyi parowcami Brezylji, a potem przez Pernambuko, Lizbonę, Sulampton i Havr, postanowiłem pu-

(1) Pod nazwaniem seringalów lub wyrabiania kautczuków, rozumieją się baraki porobione na wyspach lub brzegach wielkiej rzeki, gdzie wyrabiają kautczuk, przedmiot znacznego handlu. Seringa w języku portugalskim znaczy kautczuk.

(2) Od Oyapock do przylądka północnego liczą około sześćdziesięciu mil wybrzeży i ogromną w środku nich przestrzeń, której posiadanie jest sporne między Brezylją a Francją.

ścić się przez morze łodzią, potem przepłynąć krętem korytem rzeki pomiędzy wyspami (1), zawalającemi ujście Amazonki, następnie udać się wzdłuż brzegów Gujanny brazylijskiej i francuzkiej aż do Kajenny, zkad powróciłbym do Francyi przez Demerary i Martynikę.

Doznałem wiele trudności w urządzeniu tej podróży. Egaritea czyli łódź o żaglach i wiosłach, którą sprowadziłem z Peru Amazonką, okazała się niedostateczną na odbywanie morskich podróży. Wypadało starać się o *wigilingę*, rodzaj żeglarskiego batu odpowiadającego memu zamiarowi.

Napróżno udawałem się do kupców w Parą, do innych mieszkańców, nawet do przemycarzy tamecznych, którzy wprawdzie najęli mi szalupę; lecz ta zatonęła płynąc po mnie do Belem, wraz z obydwoima ludźmi, którzy się na niej znajdowali. Nie mogłem więc dostać ani statku ani ludzi. Mielizny i pęd nurtów Amazonki

(1) Liczą nie mniej od stu do stu-dwudziestu wysp przy ujściu Amazonki.

naokoło przylądka Północnego, dzikie obyczaje nadbrzeżnych Seringariów, obecność w tych stronach kilku galerników zbiegłych z Kajeny, czyniły tę podróż niebezpieczną, a mieszkańcy z Para opisywali tysiączne morderstwa i częste wypadki rozbijania się okrętów w tej okolicy.

Ale postanowiłem już był wracać tędy, widziałem w tem jakby obowiązek i uwieńczenie naszych poszukiwań (1); mało zwracając uwagi na przesadzone opowiadania Brezyljczyków, z którymi się już oswoiłem w ciągłych podróżach. Dzięki gospodarzowi memu w Para i rodakowi, po trzy-tygodniowych poszukiwaniach, znalazłem łożź nieopatrzoną wprawdzie w porządki potrzebne, lecz nową i zrobioną z *itauby*; (jest to rodzaj najtwardszego drzewa w południowej Ameryce, i najlepszego do budowli okrętów). Żelazem tylko można je rozbić. Taką łożdzią mogliśmy płynąć bez wielkiego niebezpieczeństwa po mieliznach Magoary lub Maraki, które po-

(1) Z polecenia rządu, zwiedzaliśmy z bratem koryto Amazonki zaczynając od wyniosłych Kordyljerów w Peru, na Oceanie Spokojnym, aż do ujścia Amazonki na Oceanie Atlantyckim.

winni byliśmy niezawodnie napotkać z przyczyny mego zamiaru płynienia jak najbliżej brzegów i zwiedzania wszelkich miejsc zamieszkałych. Kazaliśmy opatrzyć nasz statek we wszystkie potrzebne porządki, a sami zajęliśmy się wyszukaniem sternika i majtków. Nie łatwa to rzecz była, potrzebowaliśmy bowiem najmniej pięciu ludzi. Nie można było nawet myśleć o żeglarzach europejskich, gdyż ci, którzy przybywają do Para nie są tam wolni, a zbiegi znajdują korzystniejsze rzemiosła, niż być majtkami na statku indyjskim. Mogliśmy więc tylko myśleć o Indianach lub mulatach; lecz pierwsi lękali się Północnego przyłądka, a drudzy zbiegłych galerników, pomimo tego większa ich część żeglowała tylko po kanałach otaczających Belem, a wszyscy żądali cen nieprzystępnych.

Nakoniec po wielu bezskutecznych staraniach, zmuszeni szukać sami potrzebnej służby, już to w porcie chodząc od statku do statku, już na lądzie zachodząc do *lojów* (1), zgodziliśmy pię-

(1) Loja jest to kramik korzeni i trunków, służy też za szynk i miejsce werbunku służby okrętowej Indyjskiej.

ciu ludzi. Każdego nowo zwerbowanego odprawialiśmy na statek, nie dając mu ani chwili do namysłu, bo z namyślenia się murzyna lub Indyanina wynika beczynność. Tam nasi ludzie strzegli ich troskliwie, nie szczędząc słodkiej wódki i przymileń, co przyznać trzeba jest lepsze od wszelkich innych środków przyjętych w tym kraju. Ale pewno nigdy żaden sierżant angielski werbując do Krymu, nie użył więcej wódki dla swych Irlandzkich rekrutów, jak my ratafii w tej podróży.

W każdym kraju innych używają podstępów, ale zawsze na tem się kończy, że człowiek daje się podejść. W Londynie wódka i przyszła szczęśliwość radży Indyjskiego wiedzie do celu; w Paryżu prawo i marszałkowska buława w zamian za ładownicę żołnierską; w New-Yorku bogiem jedynym i wszechwładnym jest dollar, w południowej Ameryce rum i cały przyszły raj z indyjskimi lub białymi huryskami, które powitają Tapuya (1) powracającego z podróży!

Przemycarze dali nam sternika rodem z pół-

(1) Nazywają Tapuyami ucywilizowanych Indyan niższej Amazonki.

nocnej Ameryki, mającego postać bandyty i doskonałego pijaka. Gdy tak nakoniec statek został dostatecznie opatrzony i dobrze naładowany balastem, puściłem się na morze dnia 20 kwietnia 1855 roku.

Miałem na pokładzie mego gospodarza Karlosa K...., który powodowany przyjaźnią pełną obawy, gdy nie mógł nakłonić mnie do zmiany przedsięwzięcia, postanowił dzielić mój los aż do Kajeny. Łódź nasza, prócz ośmiu beczek, mieściła dwóch naszych służących, młodego dzikiego Indyanina, którego kupił w górnej Amazonce, pięciu majtków, Indyan i mularów, broń, amunicję, mąkę z manioku i zapas słodkiej wódki na miesiąc.

Żeglowaliśmy podług tamecznego zwyczaju, zarzucając kotwicę w czasie burzenia się morza, przy brzegach, a niekiedy na pełnem morzu, lecz o ile można było nie oddalając się od rzeki, koło wyspy i w pobliżu jakiej osady. Wszędzie w ogólności przyjmowano nas gościnnie wypytujac o wojnę Wschodnią, której dochodzące odgłosy zawsze powiększały chwałę Francyi; w ciągu całej podróży staraliśmy się zbadać szczegółowo

źródła handlu, i obyczaje tych rozmaitych koczu-
jących ludów, tak mało znanych; postępując podług
pięknych prac hydrograficznych P. de Montravel i u-
zupełniając je również. Już od siedmnastu dni byli-
śmy w podróży, a żadna niepomyślność nie stanęła
nam na zawadzie. Wprawdzie kilka razy nasz sta-
tek osiadł na mieliźnie i kilka zniósł uderzeń, które-
by się znalazły w dzienniku żeglarza podróżującego
po Marnie; niekiedy polowaliśmy, czasem łowili ry-
by dla urozmaicenia żywności. Następnie zwie-
dziliśmy Wigią, główny punkt odbytu karuku ry-
biego; Marajo, ogromną wyspę dostarczającą by-
dło do Para i osławioną, jako siedlisko węzów
grzechotników; Mexianę, główne siedlisko tygry-
sów; Jurupari, wyspę diabłą; Makapę, Sewa-
stopol Brezylijski, i jej indyjską załogę, drze-
miącą pod równikiem. Już wypływaliśmy z za-
toki Makapa zostawiwszy na prawo Kavianę,
zmierając do Belik i do gromady wysp zakry-
wających wielkie ujście rzeki, gdy silny wiatr
północno-wschodni porwał nas i rzucił napowrót
na wyspę Jurupari. Byliśmy przymuszeni lawi-
rować wzdłuż Kaviany, a potem zarzucić ko-
twicę przy jej brzegu, który jest nieprzystępny,

pełny mielizn, i od początku do końca zniszczony przejściem Prororoki (1).

Podczas tego przymusowego odpoczynku, trapiiony chęcią opuszczenia rzeki, a nadto wiedząc, że w Kaviannie przebywają złoczyńcy zbiegli z Gujany francuzkiej, położyłem się w nocy na pomoście mego statku, czuwając tym pół-snem, w który pod wpływem ciągłej czujności słyszy się i we śnie. Co chwila podnosiłem się; słuchałem, przypatrywałem się nocy, nieustającemu przypływowi, i kładłem się znowu bardziej zniecierpliwiony. Noc zwrótnikowa gorąca, ciężka, nużąca, bez najmniejszego powiewu; wstęga wielkiego masztu spadała nieruchoma, a dym z mego cygara wznosił się prosto ku niebu. Na próżno co chwila zanurzałem w wodzie ręce i obnażone nogi;— woda cieplejsza od powietrza, nie orzeźwiała wcale.

Złowrogie i chrapliwe wycie garibasów (2),

(1) Prororoca jest to wał piaszczysty na Amazonce.

(2) Wycia guaribasów czyli małp ryczących, są czasami tak częste i tak silne, że niepodobna spać w ich pobliżu. Szczególnie przed nadchodzącym

czyli czerwonych małp rozlegało się po jaskiniach lasów Kaviany. *Koro*, siedząc na wierzchołku drzewa, i przeczuwając burzę, odzywał się w niedługich przerwach przeraźliwie, ponurym, grobowym głosem. A w oddaleniu na Marajo, błyskawice bez grzmotu dla nas, połykiwały rzucając na rzekę odblask żółto-blady. Przypływ szumiał jednostajnie wzdłuż mego statku, ja zaś przy blasku księżyca, przypatrywałem się smutnie, przesuwanym się pniom drzew unoszonych pędem rzeki. Nieszczęsne te szczątki miotane przypływem i odpływem morza, bez nadziei dostania się na brzeg, przywiodły mi na myśl tłum wspomnień, zawiedzionych nadziei, żalu za ojczyznę, i boleśnie ścisnęło się serce moje!

dniem zwierzęta te wydają dzikie i chrapliwe krzyki, wdzierając się na wierzchołki drzew lub biegając wzdłuż rzeki, aby ujrzeć pierwsze promienie wschodzącego słońca.

II.

S p o t k a n i e.

NAKONIEC dzień zaczynał się rozjaśniać. Ryczenie garibasów dążących do brzegu stawało się coraz chrapliwsze i coraz się zbliżało. Wielkie nietoperze (1) latały naokoło, dotykając statku, i obwiewając nas szybkim pędem skrzydeł; szum ich lotu niknął w powietrzu jakby echo niewidzialnego świata. Co chwila posępne ptaki, przelatowały w przestrzeni, unoszone lekkim powiewem wiatru powstającego razem ze dniem, wydając krzyki trudne do określenia. Już wiatr wzno-

(1) Rano i wieczór widać na Amazonce wielkie rude nietoperze, dotykające prawie w locie bałwanów wody.

sił się coraz więcej i od Wschodu ukazywało się niepewne i bladawe światło. Przy tak słabo jeszcze ukazującym się brzasku dnia, nie mogąc dokładnie widzieć ptaków lecących na ląd stały, zbudzonych wschodzącym słońcem i potrzebą zaspokojenia głodu, przysłuchiwałem się szmerowi ich przyspieszonego lotu. Gdy raptem usłyszałem zdaleka nadchodzący z morza szmer statku porącego powierzchnią wody. Rzuciłem cygaro aby ogień jego nie zdradził naszej obecności, i nie podnosząc się, nie zmieniając wcale mego położenia, obróciłem głowę przypatrując się widnokręgowi. Przytomność i roztropność potrzebne w każdym razie, a na pustyni stają się drugim życiem.

O dwieście lub trzysta metrów od nas, czółno serengerów (1) niesione wiatrem, zmierzało pro-

(1) Tak nazywają ludzi którzy corocznie przybywają zbierać lub uprawiać kautczuk, w nizinach dolnej Amazonki. Zbierają się oni gromadami, z rozmaitych punktów prowincji Para, a nawet i z sąsiednich; liczą od ośmiu do dziesięciu tysięcy ludzi różnego wieku i stanu, którzy w ogóle powracają ztamtąd po zbiorze kautczuku. A że stosunki można mieć tylko wodą, z przyczyny braku dróg i

sto do naszego statku. Widząc to sięgnąłem ręką do kajuty i chwyciłem za pistolety. Następnie przypełzłszy na grzbiecie aż do mego murzyna, śpiącego koło masztu, trąciłem go nogą żeby się obudził, dawszy mu znak aby zbudził sternika i czekałem przygotowany. Czółno sunęło się po wodzie milcząco, szybko, okryte czerwonawą zasłoną, (1) można by je porównać z nietoperzem wielkich lasów uciekającym przed brzaskiem dnia.

Za chwilę było już przy nas i opłynęło łódź naszą dotykając prawie masztu umieszczonego na przodzie statku. Spuściwszy zaś swój żagiel, opisało w około nas półkole, chcąc się zbliżyć.

trudności przebycia łądu, w tych stronach najczęściej wodą zalanych, każda rodzina lub stowarzyszenie serengerów, zwykle ma własny duży statek i kilka małych czółen, dla polowania i rybołówstwa.

- (1) Prawie wszystkie okrycia rybaków i Indyan dolnej Amazonki są koloru czerwono-rudego. Ten kolor jest korzystnym z tego względu, że mniej daje przystępu wilgoci i rzeczy tym kolorem farbowane są trwalsze. Przynięm zwiększa szybkość biegu łodzi czyniąc tkaninę okrycia dychtowniejszą i tym sposobem, więcej stawiającą oporu pędowi wiatru.

Podniosłem się raptownie, i ukrywając się o ile można za masztem żeby mniej być postrzeżonym, nabiłem pistolet i trzymając za cyngiel:

«Ruszajcie na morze!» zawołałem po portugalsku.

Nic nie odpowiedziano, — ale postrzegłszy że czołno mieściło w sobie dwóch tylko ludzi; położyłem się cokolwiek spokojniejszy na pomoście.

Mój służący murzyn i sternik już byli wstali, — lecz inni ludzie, patrzeli jeszcze nawpół-śpiąco nie podnosząc się nawet. Indyanin bowiem podróżujący z Europejczykiem, o nic się nie troszczy. Biały powinien go bronić, żywić, pilnować. Gdy głód poczuje powiada: Panie, chcę jeść; gdy go sen morzy; panie, spać mi się chce, kiedy chce płynąć, płynie, i możesz co chcesz mówić, robić co ci się podoba: on musi jeść, spać, lub płynąć w swojej porze.

Nakoniec czołno przybliżyło się do pokładu statku, i wszczęła się następująca rozmowa:

— Dla czego się tak zbliżacie, i czemu nie odpowiadacie? przemówił murzyn głosem rozgniewanym.

Kiedy Lino — to imie murzyna, — był prze-

budzony, humor jego zwykle wesoły, zamieniał się w tak przykry, jak u psa gdy mu się kość odbierze; jako murzyn zaś zostający w służbie Europejczyka, nienawdził wszystkich co nie pochodzili z czystej białej krwi.

Głos donośny i wymawiający z przyciskiem, którego brzmienie zdziwiło mnie, odpowiedział skromnie:

— *Aonde esta o senhor?*— Gdzie jest Pan?

— *Caramba este macho.*— Ten mężczyzna zapytuje a nie odpowiada.— Mówię ci wypływaj na morze.

— *Aonde esta o senhor?* odrzekł ten sam głos i takim jak pierwej tonem.

— Tutaj odpowiedziałem; co chcesz?

— Czy przybywasz z miasta (wyrażając miasto w całej tej okolicy, rozumieją że jest mowa o Para?)

— Tak jest.

— Czy masz przy sobie dzienniki i czy nie, chciałbyś mi ich sprzedać?

— Nie mam wcale.

— Czy sprzymierzeni wzięli Sewastopol?

— Nie.

— Dziękuję.

Od kilku miesięcy, to pytanie było mi zadawane ze wszech stron, często nawet w myśli nieprzyjaznej lub szyderczej. Postanowiłem sobie odpowiadać tylko jednozgłoskowie, tak lub nie.

Lecz Lino spostrzegł był ryby w głębi czółna.

— Co chcesz za twe ryby? zapytał z dumą i wyniosłością.

— Źle sprawione, odpowiedział głos z łodzi, ja nic nie sprzedaję, ale zejdz a możesz wziąć tyle ryby ile ci się podoba.

Lino nic nie odpowiedział, lecz wzięwszy z sobą majtka przelażł do obcego statku. Nic mu na to nie mówiłem, lecz gdy skończył, to jest wniósł duży stos ryby na pokład mego statku:

— Daj tysiąc reisów, (1) rzekłem.

Serenger przerwał:

Nic nie żądam; ofiaruję wam rybę za otrzymaną wiadomość.

(1) 1000 reisów, wynosi wartość trzech franków monety francuzkiej.— W zwykłym kursie, z małą zmianą w całej prowincyi Para, 320 reisów, stanowi wartość jednego franka.

—A ja nie darmo nie przyjmuję.— Lino wynieś tytoń i słodką wódkę. (1)

—Ani za tytoń i wódkę, odpowiedział głos z czołna.

Lino nie słuchając, nalał pełny *kui* (2) wódki i podał Indyaninowi, który go nie przyjął okazując znak niechęci.

Pierwszy to raz widziałem tak odmówione przyjęcie trzech rzeczy sprowadzających ludy do Amazonki: pieniędzy, tytoniu i wódki. Powstałem

(1) Na przestrzeni wybrzeży całej prawie Amazonki płaci się za wszystko towarami Indyanom a nawet mieszkańcom białym odległych siedzib. Indyanie nie znają innej monety prócz miedzi i nie umieją rozpoznać prawdziwej jej wartości. Towary najpospoliej służące na zamianę, składają się z tytoniu, wódki, i mąki z manioku.

(2) *Kui*, jest to połowa wysuszonej tykwy, służąca do napoju zamiast filiżanki. Tykiew, z której robią *kui*, jest rodzaj owocu okrytego skórą drzewiastą i twardą rozmaitej wielkości, tak jak melony, bez zagięć żeberkowatych; przecinają takie na dwie równe części, wypróżniają owoc ze znajdującego się w nim miększa i tym sposobem otrzymują dwie filiżanki zdatne do wiania napoju. Takie naczynia służą za szklanekę, filiżankę, talerz, i używane są w całej Południowej Ameryce.

chcąc lepiej przypatrzeć się tym którzy mówili. Wtem spostrzegłem głowę Karlosa ukazującą się we drzwiach kajuty, który zaledwie się obudził, już gotów był do żartów.

— Chodź, rzekłem podziwiał cud podwójny: Serengera dającego rybę, i Indyanina niechcącego wypić wódki.

Świat się chyba przewraca, rzekł Carlos po francuzku: Portugalczycy nie przyjmują pieniędzy, a Indianie rumu. John nie pijany; Lino nie śpi! I dla czegoż ta podwójna pijawka nazwana serengerem nie chce ani rumu ani pieniędzy?

— Ponieważ pijawka nic nie żąda od żyda portugalskiego (1) odpowiedział człowiek z łodzi.

— Zobaczysz, odezwał się Carlos po angielsku,

(1) Portugalczycy w ogólności znieawidzeni przez Indian, sami prawie tylko zajmują się handlem na Amazonce. Wymieniają za nadzwyczaj wysoką cenę produktu Europejskie na towary krajowe, zarabiając bez granic i miary na sprzedanych towarach, w porównaniu tego co biorą i jakie nakładają warunki.

że niedługo leśne dziki, tak wasz język będą rozumieć, jak swój własny.

—Dla czegoż nie? kiedy Niemcy mogą nim mówić, mruknął głos po portugalsku.

—On tobie przymawia! rzekłem do Karlosa będącego Hollendrem. I obracając się do seren-gera:

—Panie lingwisto rzekłem, może wypijesz z nami szklankę porto? Wypijemy za zdrowie Europejczyków, bo i ty zdajesz się nim być.

—Jestem Panie tak jak i ty Francuz i Paryżanin. Zegnam pana i dziękuję.

I nim zdołałem odpowiedzieć, odczepił linę za-trzymującą jego łódź przy naszym statku i popłynął na morze. Pęd wody uniósł go; żagle wiatr popędził, i czółno oddaliło się ku Kaviannie.

Niepoprawny Karlos mruknął:— Dobrze wiedziałem, że to niepodobieństwo,— on nie mógł być Portugalczykiem.

Co do mnie, byłem zmieszany tem spotkaniem i tak raptownym odjazdem.

— Tam do kata! zawołał Carlos, za sześć mie-

sięcy znajdziesz Paryżanów,— o ten towar nie trudno,— pewno to zbieg z Kajeuny. Dosyć nakradł, mógł więc dać chociaż raz w swem życiu.

—Może to być prawda! rzekłem, a tymczasem ruszajmy.



III.

Zapłatanie kotwicy.

W AKONIEC dzień zajaśniał wraz z lekkim powiewem wiatru. Przyptyw morza był już zupełny. Szczątki drzew z gałęziami (1) co przed chwilą przepływały koło nas, po siedm i ośm sztuk od razu, teraz płynęły mniej szybko, a my guani wiatrem orzeźwiającym, mogliśmy już walczyć z kończącym się przyptywem morza.— Kazałem ster-

(1) Cała rzeka Amazonka szczególnie przy ujściu nawet na siedm lub ośm mil w morzu, jest zawałona szczątkami roślin, gałęziami i całymi drzewami, które wyrывa i nanosi pęd wody, podczas burz i wylewu rzeki.

nikowi podnieść kotwicę; potem chcąc spokojniej żeglować między mieliznami otaczającymi nas, zszedłem do kajuty po mappy, żeby zdjąć położenie miejsca i dojść co to był za brzeg naprzeciw którego nocowaliśmy.

Oddałem się tej pracy z zupełnem zajęciem, gdy usłyszałem sternika mówiącego do Karlosa: Panie; nie możemy kotwicy wydobyć.

— Ty i twoi ludzie, jesteście jak śpiące kury. Założę się z tobą stary ladaco o kilka cygar, że ja i Lino sami ją podniesiemy.

Karlos to powiedziawszy wziął linę z rąk majtki i zaczął ją ciągnąć ku sobie. Probował kilka razy ciągnąć z całej siły, a murzyn dumny z położonego w nim zaufania pana, dopomagał mu lwią siłą, oparłszy się nogami o maszt jak filar i ręce liną okręciwszy. Na czarnej jego i lśniącej skórze, z wielkiego wysilenia wszystkie żyły tak naprężyły się, że co chwila zdawało się że która pęknie. Za każdym nowem usiłowaniem, przód statku zanurzał się w wodę o kilka millimetrów, ale pomimo to niepodobna było wydobyć kotwicy.

Tymczasem John i majtkowie przypatrywali się

z obojętnością, oczekując spokojnie, jaki będzie skutek pracy ich łaskawych zastępców. Indyanin może patrzeć na wszystko z niedbałością jemu tylko właściwą, i gdyby Karlos choć cały dzień natężał swe siły, żaden by mu nie pomógł. Często zdarzało mi się widzieć u Indyan, jak który z nich godzinę męczył się chcąc rozpaścić ogień, gdy drudzy koło niego mieli krzesiwa i pełne pudła zapalek, a żaden nie przysłużył się towarzyszowi, i słowa nie przemówił że gotówby to zrobić.

Karlos poznał prędko jak próżne były jego usiłowania, i rzucając linę o ziemię, obrócił się do mnie, mówiąc: Kotwica zaczęła się o drzewo.

— Właśnie tego się obawiałem.— Ale spróbujmy jeszcze. John... napijcie się wszyscy wódki i weźcie się do windy; musimy wyciągnąć kotwicę lub zerwać linę.

Lino wraz z majtkami, przygotowali rodzaj windy pionowej, którą mieliśmy na pokładzie, i znowu wzięli się do roboty, ale nic nie pomagało. Kazałem podwoić miarkę wódki, co jest najskuteczniejszem dla wzbudzenia ochoty do każdej czynności u Indyan; i jeszcze raz ostatni sprobo-

wać. Nakoniec pękł jeden skręt liny (1). Kotwica nie ruszyła się.

—Dajcie pokój, rzekłem do Johna, zanurz się i zobacz o co się kotwica zaczepiła?

John zamruczawszy coś pod nosem, spuścił się pod wodę, ale wkrótce wypłynął, mówiąc:

—Panie, nie mogłem dna dostać.

—Daj jeszcze raz nurka odrzekłem, a znajdziesz. Znowu spuścił się pod wodę— tą razą długo nie wypływał; nakoniec powrócił z tą samą co pierwej wiadomością.

Ja i Karlos spojrzeliśmy na siebie niespokojnie: była to druga kotwica, którą traciliśmy takim sposobem. Pozostał nam już tylko nędzny hak, z którym narażać się na prądy przyładka Północnego byłoby szaleństwem: za pierwszym gwałtownym pędem, pękłyby jego zęby, a przyptyw

(1) Liny te są porobione z *piasaba*, czyli włókna z palmowego drzewa, rosnącego obficie w nizinach Rio-Negro.— Anglicy prowadzą tem wielki handel; jest to roślina włókienkowata, więcej elastyczna niż konopie, a nierównie trwalsza, i tańsza.

morza uniósłby nas na stronę. Trzeba więc było koniecznie wyratować kotwicę, lub wracać (1).

Zaufać jednak Johnowi nie mogłem, gdyż lenistwo jego i niechęć, kilka razy stały się przyczyną, że osiedliśmy na mieliznie. Obawiałem się przytem, a przyszłość usprawiedliwiła moje obawy, czy nie miał jakich tajemnych przyczyn przeszkadzania mojej podróży. Wiedział że ta kotwica była ostatnią, i może chciał abym ją utracił. Kazałem przeto zarzucić wagę, która pokazała głębokość na cztery sążnie portugalskie (2), i sam puściłem się za kierunkiem sznura, lecz musiałem się wrócić nie dosięgnawszy dna. Napróżno usiłowałem wyciągnąć linę, która się zdawała długą bez końca; bystry prąd wody, uno-

(1) Tak jest silny pęd wody w tej stronie morza, że pewnego razu w obecnej podróży, statek mój pomimo zarzuconych dwóch kotwic, porwany był z mielizny, a prąd wody popędził go więcej jak o milę, kotwice chociaż co chwila zahaczały się za bardzo twarde dno morza, ale porywane wodą, nie mogły się mocno zaczepić.

(2) Sążeń portugalski zawiera w sobie stóp pięć i pół, było więc blisko 22 stopy.

sząc mnie, nie dozwalał zanurzyć się, i im bardziej usiłowałem przebyć go, tém bardziej się stawał burzliwym i mętnym. Trzy razy spuszczałem się w morze, zawsze bezskutecznie, zarówno, jak i sternik.

Wróciwszy ra pokład naradzałem się z Karlosem, czy płynąć do Kayenny wybrzeżami, bez kotwicy, co byłoby nieochybną zgubą, czy wracać do Makapy po inną, co pociągnęłoby za sobą podróż długą, niebezpieczną, a może i nieużyteczną. Żeby ją dostać, trzebaby udać się do Gurupy, ośm dni drogi rzeką, więc podróż przeciągnęłaby się o dwa tygodnie; wypadało zatem próbować wszelkich środków, aby wydobyć kotwicę.

Pozostała wprawdzie jeszcze nadzieja; czego dokazać nie mogliśmy przy wezbranem morzu, to przy jego opadnięciu da się może uskutecznić. W tem miejscu morze zniża się na dziesięć stóp, dodawszy do tego jeszcze mniejszy pęd, moglibyśmy dobrać się do kotwicy, zobaczyć co ją zatrzymuje i wyciągnąć. Powiększylibyśmy usiłowania, a prąd rzeki ochraniając nas od pędu bałwanów

morskich mógłby nam znacznie dopomóc do wydobycia kotwicy (1).

Postanowiliśmy więc czekać sześć albo ośmnaście godzin, ażeby po dwakroć poprobować, w czasie gdy morze raz i drugi opadnie (2). Zważywszy wszystkie projekta niebezpieczne i niepewne, ten zdawał się najlepszy; lecz także nie bez niebezpieczeństw. Żeby go spełnić trzeba było narażać się na natarczywość *prororoki* t. j. mułu pędzonego z Amazonki, która peryodycznie niszczy wybrzeża Kavianny. Później opowiem co jest proroka; wtenczas każdy osądzi, czy było czego się obawiać. Widziałem ją, chociaż szczęściem ominęła nas. Wolałbym znajdować się na pełnym morzu, w szalupie z rozbitego okrętu, jak w obec tego straszliwego wału około Kavianny lub Kurui.

(1) Statki stojące na kotwicach w części rzeki gdzie wzbieranie i opadanie morza ma miejsce, unikają pędu fali idąc z biegiem wody, unoszone coraz w inną stronę aż na koniec liny swych kotwic w miarę jak przybiera morze, albo jak rzeka płynie zwykłym sobie biegiem.

(2) Wiadomo, że przypływ lub odpływ morza, trwa zwykle po sześć godzin. A więc odpływ bywa co dwanaście godzin.

Pomyślnym trafem, było to w wigilią pierwszego dnia prororoki, i ten dzień był lepszym od sześciu innych, podczas których srożąca się plaga nanosi wielkie zniszczenie. Trzymając się za linę, mogliśmy płynąć śmiało. Doświadczaliśmy, że statek mocny był jak żelazo; gdyż wytrzymał natarczywsze uderzenia. Mieliśmy zaś dosyć czasu do przymocowania masztów łykami i powrozami, i schowania pod pokład wszystkiego co tylko fala mogła unieść; a sami mogliśmy przywiązać się linami. Tym sposobem gdyby lina pękła, w najgorszym razie zostalibyśmy wyrzuceni na brzeg Jurupari: to byłoby niebezpieczne, ale nie zgubne, a chociaż tam dno mulaste, lecz było nas jedenastu, mogliśmy więc statek wyciągnąć. Jeżeli zaś lina wytrzymała, prororka lepiej niż wszystkie windy wyrwałaby naszą przekłtą kotwicę, i unosząc z tej głębi zawalonej drzewem, uwolniłaby nas od Jurupari.

Po przejściu pierwszej prororoki, przepłynęliśmy po wezbranem morzu, na drugą stronę wyspy, gdziebyśmy się zatrzymali dni pięć oczekując jej końca. Nasz sternik, znalazł tam *esperę*. Tak nazywają przystanie wolne od prororoki, gdzie statki doczekują przejścia tego wału piaszczystego

do morza, jeśli nań natrafiają podczas nowiu, lub pełni. Przy pomyślnym wietrze, w pewnym czółnie, z dobrym sternikiem, można przepłynąć od jednej przystani do drugiej, w przerwie między dwiema prorokami. Z wiatrem zachodnim, lub południowo-zachodnim, mogliśmy spróbować popłynąć do przystani Belik, położonej według mego rachunku o dwadzieścia mil; było to trudne, ale możliwe, a na morzu nadzieja jest życiem.

Kazaliśmy przeto spuścić na wodę małe rybackie czółno, i dwojgu ludziom popłynąć na ląd, dla nacięcia łyka i drzewa.

IV.

Trzęsawisko.

GDY ludzie odpływali, Karlos zawołał ze zwykłą sobie wesołą obojętnością.

— Otóż zdarza się doskonała sposobność odwiedzenia waszych rodaków, zbiegłych galerników. Ten któregośmy widzieli ma minę porządnego człowieka. Jako Francuz, pewno ma wino w jakim kącie; ma rybę; odwiedzmy więc go, chociaż jest galernikiem.

— Ale Kavianna taka rozległa, gdzie go szukać?

— Jednak jakoś znajdziemy.

— Czy wiesz co to są galernicy, bez straży?

— Nie zupełnie; i dla tego chce się dowiedzieć.

— Chyba że tak sobie życzysz; ponieważ jednak mogłaby nam wyjść na złe nasza grzeczność, bądźmy ostrożni. Znam aż nadto dobrze upodobanie do żeglugi i piekielne zuchwalstwo moich współrodaków z Tulonu lub Roszefortu, nie możemy więc wystawić statku na ich napaść, nie mając innych obrońców prócz naszych ludzi. Trzeba koniecznie żeby jeden z nas tu pozostał, gdy drugi pójdzie rozpoznać miejscowość.

— A więc, ruszam, rzekł Karlos. Muszę odpowiedzieć na żarty tego Paryżanina. Chociaż nie jestem zarozumiałym szkolnikiem, jednak przekonam go że mówię po francuzku lepiej od niego.

To powiedziawszy, wziął puginał, dwie strzelby dla siebie i służącego, i ruszył na los szczęścia. W przechodzie spodziewał się zabić kilka kaczek, których wielkie gromady spostrzegaliśmy wzdłuż Kavianny i wrócić na śniadanie na pokład. A zresztą zobaczylibyśmy.

Zapaliłem cygaro, jedyny ratunek w samotności i podróży i zszedłem do kajuty chcąc się zająć pracą. Po upływie blisko kwadransa, usłyszałem kilka wystrzałów ręcznej broni. Lecz bar-

dzo słabo one nas dochodziły; huk niknie nie powtarzany nawet echem w tym nieskończonym przestworze pustyni. Zapewne był to Karlos i któryś z jego ludzi strzelający do kaczek. Patrzałem; lecz nic nie mogłem zobaczyć. Jednakże gdy coraz częściej powtarzały się wystrzały, kazałem Indyaninowi wleźć na wierzch masztu, żeby mógł zobaczyć przez wysokie chwasty (1) zakrywające przedemną wybrzeże, na którym mniemałem że się znajduje Karlos.

— Oh! Panie, zawołał wdrapawszy się na wierzchołek, to pan Karlos z murzynem tak strzelają. Zatrzymali się, ale nie widać przy nich kaczek.

— No, i cóż więcej widzisz?

— Nic. Siedzą na ziemi i strzelają na wiatr. Potem nagle ujrzałem jak Jozę, (było to imię Indyanina), wieszając się jedną ręką na sznurze, nogi zaczepił o maszt, z plecami na tył wy-

(1) Płaskie brzegi dolnej Amazonki są czasami nagie i nieurodzajne, to znowu okryte trawą i chwastem wznoszącym się do ośmiu lub dziesięciu stóp, w miarę żyzności ziemi i wyniosłości brzegów nad powierzchnią wody.

giętymi, zaczął się śmiać na całe gardło, śmiechem dzieciennym i niepowstrzymanym, porywającym czasem Indyanina.

— Cóż tam robią, pytam cię?

Joze śmiał się nic nie odpowiadając.

Nakoniec mógł wymówić:— Panie, pan Karlos zagrzał, i dla tego strzela. Siedzi w błocie po pas. I znowu zaczął się śmiać.

Pomiarkowałem w jakim Karlos był niebezpieczeństwie. Widziałem jak był odważny. Przyspieszone wystrzały oznajmiały okropne położenie. Ale jeszcze można było pośpieszyć im na ratunek. Ponieważ ciągle strzelali, dowodziło to, że mieli wolne ręce.

— John, zarzuć na wodę duże *pageje* (1). Niech dwóch ludzi wsiądzie na nie, popłynie do brzegu i poda je Karlosowi.

(1) Pageja, jest rodzaj wiosła używanych prawie we wszystkich krajach leżących pod zwrotnikiem; są one dwojakięgo rodzaju. Jedne służą do utrzymania statku na powierzchni wody, są z szerokich deszczulek drewnianych z długimi rękojeściami w kształcie kuli. Wioślarz jedną ręką trzymając pageję za rękojeść, zagłębia ją i utrzymuje w wodzie, a drugą przyciska fale, żeby płynąć

Ale Jozę ciągle się śmiał; inni powłaziwszy na maszty śmieli się razem z nim, a Lino szczerzył białe zęby, pokazując je od ucha do ucha; i wszyscy śmieli się nie słysząc com mówił, gdy jedna stracona chwila mogła pozbawić życia dwóch ludzi.

— John! krzychałem po dwakroć, podług zwyczaju majtków.

Obrócił się spokojnie i odpowiedział:

— Panie, to niepotrzebne; Antonio, który został przy czólnie usłyszy przecież, i podpłynie do pana Karlosa.

— Głupcze, rób co ci rozkazuję!

Zlął i zaczął odwiązywać jedną pageję, a ja tymczasem drugą.

Jozę przestawszy na chwilę śmiać się gwałtownie, nie ruszając z swego obserwatoryum, zawołał:

— Otóż Serenger przyplływa do nich z deskami.

dalej. Jest to zupełnie przeciwne zwykłym poruszeniom wiosł. Drugi rodzaj są to pospolite pageje, przymocowane do długiej żerdzi drewnianej i których używają przy statkach wyniesionych nad wodę, tak jak flisy wiosłujący na tratwach.

Ach! Matko Najświętsza, jak też tam Bento musi wyglądać! Widać już tylko jego głowę.

I znowu wszyscy zaczęli się śmiać mocniej niż dotąd. Wdrapałem się na wierzchołek masy i ujrzałem, nie poznając kto byli, dwóch ludzi, zbliżających się do nieszczęśliwych zagrzęźniętych w błocie, których już nie mogłem zobaczyć, tylko jak dwa czarne punkta na żółtym szlamie. Szczęściem uratowano ich.

Ostatni żart Jozego niezmiernie się podobał jego towarzyszom. Wszyscy majtkowie śmieli się do rozpuku. Ci dwaj ludzie, zalani już prawie błotem, idący żywcem do grobu o pięć set metrów od nich, walczący z okropną i pewną śmiercią, wystrzałami z fuzji donoszący co chwila o niebezpieczeństwie, jak tonący okręt,—wszystko to wzbudzało w nich śmiech aż do łez, gdy wyobrazili sobie, jak zabawnie musi wyglądać głowa Bentego na powierzchni mułu.

To jest typ Indyanina. Jednak są oni zwykle łagodni i dobrzy. Ale taka już ich organizacja: cierpienia ludzkie wzbudzają w nich więcej śmiechu niż litości. Gdyby znali historią narodów, odpowiedzieliby może, że i Rzymianie zgro-

madzeni na igrzyskach przyklaskiwali umierającemu szermierzowi, a gdy obwinionego prowadzą na rusztowanie, i plac na Grève bywa przepełniony ludem.

Czołno okryte czerwonym żaglem odbiło od brzegu, i w kilka chwil potem Karlos, Bento, ten człowiek, któregośmy widzieli w owej pamiętnej nocy, i dwaj jego ludzie, weszli na pokład mego statku.

Współ z tymi ludźmi wnieśliśmy Karlosa i Bentego. Całe ich ubranie i broń chociaż obtarte, jeszcze były okryte szarym mułem, a trupia bladość twarzy, i konwulsyjne drganie członków, nadawały im okropną postać.

— Karlos wreszcie przemówił do mnie: winiemem życie temu panu;— i zmuszając się gwałtem do uśmiechu dodał:— wyratował mnie i mówił po francuzku. Ścisnąłem rękę serengera nie mówiąc. Tymczasem położyliśmy Karlosa i Bento, całe ciało natarto im tafią, i dano po kieliszku wina. W pół godziny już czuli się lepiej. Karlos był jak zbity i osłabiony jakby wielkiem utrudzeniem. A Bento korzystając z nadarzonej sposobności, chwycił za butelkę tafii,

wychylił ją jednym duszkiem i w kilka chwil spał twardo koło Jozego, który nacierając mu ciało i kosztując tafii razem z nim się upił.

Karlos opowiedział swe wydarzenie temi słowy: gdy zastrzelił kaczkę i ta spadła na wyniosłość naniesioną mułem zawalającą wejście do małej przystani, zrobił bardzo nieroztropnie, że poszedł po nią, po ziemi, przez którą przechodziła prororoka. Zaledwie się puścił na ten grunt mokry zapadł po uda. Zawołał na Benta, którego to samo spotkało, i obydwaj zagrzęźli w błocie o trzy kroki od siebie. Wkrótce zapadli po pas. Wtedy wystrzałami z fuzji chcieli sprowadzić do siebie Indyanina, pozostałego na czólnie o kilkaset metrów od siebie. Zapadali potrochu lecz coraz głębiej. Za każdym nowym wysileniem, podnosiło się naokoło nich błoto, jak woda w przypiływie morza. W kilka chwil nie mogli nawet strzelać; muł dochodził już pod pachy. Położyli w końcu przed sobą strzelby; oparli o nie zmęczon ręce i krzyczeli bezustanku. Nakoniec i fuzyje przykryło błoto, i uczyli jak wraz z niemi zapadają w tę ziemię miękką, uginającą się i glejowatą. Wreszcie,

czy to przez zbytne ściśnienie, czy strach umilkli zupełnie. Karlos już z ciężkością oddychał; uczuł dreszcz przejmujący całe ciało i przestał pojmować, co się naokoło dzieje. Wtem nagle wolno odetchnął i poznał Serengera (1).

Ten ostatni, na odgłos wystrzałów przyszedł na brzeg i zobaczył dwóch ludzi passujących się ze śmiercią; uzbroiwszy się przeto z swym Indianinem w żerdzie i deski, pośpieszył na ratunek. Przebyli trzydzieści metrów po powierzchni mułu, przechodząc po deskach, które ciągle przed sobą posuwali. Wydobywszy Benta z tego grobu gdzie już zanurzył się cały oprócz głowy zczerniałej od prochu i powalanej błotem, z włosami zlepionemi od potu i mułu, wycią-

(1) Trzęsawiska pochłaniające i zatapiające wszelkie ciała cięższe od mułu, rzadko się napotykają koło Amazonki; ale w okolicach sawan Gujany, często nadarżają się bagna, znane w kraju pod nazwiskiem *prîprisów*, i chociaż okryte są trawą i lekką trzcina, jednak zatapiają podróżnych. Takie trzęsawiska są bardzo znane i w Europie; wielka ich liczba znajduje się w Niemczech, Szkocyi, a nawet i we Francyi. W departamencie Somme jest ich kilka.

gnęli i Karlosa, ale oddech jego tak był zatomowany, że zaledwie w kilka minut, zaczął trochę oddychać. Położyli ich obydwóch na wpół-zemdlonych na dwóch deskach; potem za pomocą żerdzi, pomaleńku wrócili z nimi na twardą ziemię. Tam, żona serengera dała im wypić kilka kropel wódki; a gdy Karlos żądał powrócić na statek, przy płynęli z nim do nas.

V.

B u t e l R a t a f i i .

GDY chory zasnął, zostawiliśmy go w kajucie, a ja z serengerem wyszedłem na pokład. Jeszcze nie zdążyliśmy usiąść, gdy John, trzymając w ręku kieliszek tafii, przyszedł do nas tak pijany, że nic nie widział.

— Panie, rzekł zwracając się do mego rodaka, wypij: jest to tafia od Francuza; schowałem ją dla ciebie..... Ale nie mów nic o tem.

— Idź spać pijaku, i daj nam pokój.

John spojrzął na mnie pełen zadziwienia, rzucił kieliszek w wodę i usiadł przy maszcie. Co do reszty ludzi, to trzech byli tak pijani, że leżeli na pomoście prawie nawpół żywi; dwóch siedziało na brzegu statku zwiesiwszy nogi

do morza, i opowiadali sobie razem, jeden drugiego nie słuchając, powieści o czarno-księżnikach; czterej zaś inni byli całkiem w wodzie trzymając się jedną ręką za czółno, i ci byli trochę mniej pijani jak inni. Indyanin skoro tylko dobrze podpije, zaraz przychodzi mu na myśl rzucić się w wodę, i póty z niej nie wychodzi, póki się nie wytrzeźwi; zanurza się, pływa i zwija po wodzie, jak delfin igrający naokoło okrętu. Indyanin, co był popłynął czółnem z Karlosem, pewno gdzie zasnął na brzegu, bo dotąd nie wrócił.

Próżny butel taffii (1) wywrócony na pokładzie tłómaczył nam wszystko: zostawiając ślady braterstwa między ludźmi Serengera a naszymi.

— Sądzę, że dobrze się uraczyli, rzekł mój rodak.

— Zapewne. Niech śpią; dopóki się nie wy-

(1) Butlem nazywają tu wielką szklaną butelkę, oplecioną łożą, bardzo używaną w krajach, gdzie drewniane baryłki psują się. Taki butel zwykle zawiera w sobie od 15 do 25 kwart.

trzeźwią, niepodobna żądać od nich najmniejszej usługi.

John podniósł się i przybliżył do nas.

— Naczelniku, wszak nic nie powiesz? wołał głosem smutnym.

— Idź spać.

Lecz on rzucił się do nóg serengera, i z tym dziwnym wyrazem pijaka oddanego myśli wyłącznie go zajmującej, szlochał ciągle powtarzając:

— Prawda naczelniku, że nic nie powiesz; nie zgubisz biednego Johna.

Mój gość odepchnął go nic nie odpowiadając, i zdawał się patrzeć na niego z wielkim wstrętem.

— Idź spać, bultaju!

Ale John nic nawet nie widział; kościstymi rękami ścisnął nogi serengera, mrużąc zawsze jedną piosnkę.

Zniecierpliwiony serenger podniósł się i odpychając Johna nogą:

— Idź precz, niegodziwcze!

John podniósł się, spojrzawszy obłąkanemi oczami na serengera, i rzucił się w wodę. Patrzelismy w tę stronę, hojąc się, aby go tak bar-

dzo pijanego, pęd wody nie uniósł na środek morza. Ale on pływał i zanurzał się jak to umie każdy Indyanin: za chwilę wypłynął na wodę, łapiąc się jedną ręką za statek, a drugą tarł twarz i brodę, sam nie wiedząc co czyni. John przeszedł wszystkich pijaków, jakich mi się zdarzyło widzieć w południowej Ameryce: całe ciało miał tak przesiąknięte trunkami, że wciągało wódkę jak gąbka, jedna szklanka mogła go upoić; ale cały gąsior nie zwałiłby z nóg; można go porównać z chudemi i starými szkapami, co zadyszą się najmniejszym utrudzeniem, i co chwila zdają się upadać, jednak suną się coraz dalej.

Serenger patrzył na niego ze wstrętem, gniewem i oburzeniem.

— Czy pan znasz tego człowieka? zapytałem.

— Tak jest, od dwódziestu lat; kiedy zechce umie być dobrym sternikiem.

Mruknąłem pół głosem:

— A! tem lepiej!

— Dla czego? Jest to przy tem nieznośne stworzenie.

— Oh! John mało mnie obchodzi. Dowiaduję się z przyjemnością, że pan lubisz ten kraj.

Nie chciałem powiedzieć memu gościowi ile mnie to uspokoiło, że od tak dawna znał Johna, przekonywałem się bowiem, że nie przybywa z Kayenny, gdzie wygnańcy znajdowali się dopiero od trzech lat.

Ale sądzę, że mnie sam odgadł, i że się zbiegły nasze myśli, gdyż w parę minut dodał:

— Przybyło tu wielu naszych ziomków z Kajenny; ale wyprawiłem ich na tamtą stronę wyspy.

— Chciej mi opowiedzieć, jak to było?

— O to długa historia; jeden człowiek przyplącił ją nawet życiem; a że powróciwszy do Francji, dodał Serenger z uśmiechem, możesz pan zostać cesarskim prokuratorem, chyba więc opowiem ci ją dopiero dziś wieczór, kiedy będziesz moim gościem.

— Sądzę, że pan z nami cały dzień przepędzisz.

— Nie, pańscy Indianie tak pijani, że leżą jak nieżywi. Zabiorę pana z sobą na łód. Znajdziesz pan tam zamek i jego panią.

— Nie mogę się ztąd oddalić. Karlos bardzo

osłabiony, a wszyscy ludzie zbyt pijani, żebym ich samych zostawił na czóźnie.

— Masz słuszość. Podpiłemu Indyaninowi, przychodzą częstokroć jeszcze dziwniejsze myśli, niż majtkom *Salamandry*, a sam widziałem jak majtkowie statku środkowej Amazonki, podpalili swój okręt na środku rzeki i pływali naokoło, patrząc jak się palił. Zabawię u pana cały dzień, ale popłynę po zwierzyne i żółwia.

— Poszlijmy lepiej którego z ludzi.

— Któregożby? ani jeden nie jest w stanie utrzymać się na nogach.

— Otrzeżwię pańskiego Indyanina i Lino. I oblawszy ich wodą, kazaliśmy wypić po szklance wody, wpuściwszy do niej po kilka kropel amoniaku, a w przeciągu pięciu minut, odzyskali tyle przytomności, że mogli już zrozumieć rozkazy Serengera.



VI.

Dalszy ciąg spotkania się.

TERAZ miałem dosyć czasu przypatrzeć się memu gościowi:— był to mężczyzna lat czterdziestu do czterdziestu pięciu, włosy i brodę miał czarne, twarz ciemną, ogorzałą od słońca i powietrza morskiego, na skroniach i brodzie ukazywał się gdzieniegdzie włos siwy, świecący jak srebrna nitka; czoło jego szerokie i odkryte, nos ściągły z rozwartemi nozdrzami, długie wąsy, a nadewszystko ciemno-niebieskie oczy, nadawały jego twarzy wyraz melancholicznej odwagi i energii. Wzrost jego był wysoki; ręce kształtne, chociaż pogrubiałe od używania pagejów, i paznogie piękne, dowodzi-

ły, że pochodził ze szlchetnego rodu. Podług zwyczaju krajowego, chodził boso, i całe jego ubranie składała koszula rozwarta na piersiach, spodnie i słomiany kapelusz.

Karlos spał bez przerwy. Ja z Serengerem siedzieliśmy i rozmawialiśmy na pokładzie; opowiedziałem kto jestem, z kąd przybywam, i gdzie płynę. On wzajemnie, mówił, że od dwódziestu lat zamieszkuje Południową Amerykę, że długo podróżował po Hiszpanii i Brezylji, a w końcu osiadł w Kaviannie, gdzie od pięciu lat żyje rybołówstwem i myśliwstwem. Jego ludzie wyrabiają mu Kauczuk i olej z *Andiroby*. Ma tam swoją chatkę, żonę i dwoje dzieci; w przeszłym roku odbył podróż do Europy. Rozmowa jego przekonywała, że to człowiek wykształcony i niepospolity, a od dzieciństwa przyzwyczajony do lekkiego i wykwiutnego życia. Mówiliśmy o ojczyźnie.

Za granicą, szczególnie na pustyni, bardzo przyjemnie, spotkać Europejczyka rodaka, mieliśmy też wspólnych przyjaciół i miasto rodzinne. On przepędził część ostatniej zimy we Francji; opowiadał mi o Paryżu, o prawdziwym naszym Paryżu, z którego wyjechałem już od trzech lat.

Znał wszystkie nasze teatra, zgromadzenia, salony, przyjaciół, kochanki, i te wszystkie tajemnice życia, co tylko prawdziwy paryżanin umie ocenić; i tak o tem wszystkiem dokładnie opowiadał, jak człowiek, który dopiero co z tamtąd powrócił. Mówił o wojnie, o stratach jakie ponieśliśmy, o chwale jaka nasz oręż okryła, a ja o tej wojnie zaledwie wyczytywałem wzmianki w Hiszpańskich lub Brezylijskich dziennikach! Opowiedzieliśmy sobie nieprzeliczone mnóstwo wspomnień, przyzwyczajzeń, i wspólnych myśli. I długo tak rozmawiając, zapomnieliśmy o całym Bożym świecie, myśląc tylko o Francyi.

Dopiero, gdy się Carlos obudził i zażądał posiłku, ocknęliśmy się z naszych marzeń i pomyśleliśmy o żołądkach. Lino i Indyanin zrobili obiad, któryśmy smaczno zjedli; wypiwszy na cześć wzięcia Sewastopola, co powtarzaliśmy co rano, przy pierwszej filiżance kawy; wznosiliśmy różne toasta, jakie tylko nam na myśl przyszły; potem uzbrojeni cygarami, chętnie bylibyśmy wrócili znowu do pierwszej rozmowy, lecz opadało morze, i trzeba było myśleć o kotwicy. Kazałem pobudzić naszych lu-

dzi, i wodą wytrzeźwić tych, którym sen nie pomógł; następnie pokręciliśmy windę, lecz kotwica nie ruszyła się.

— Jeśli pan pozwolisz, rzekł Don Henryk (Indyane tak nazywali mego rodaka, i ja odtąd będę go tak nazywał), znam podobne wypadki, wiem w jakim miejscu zarzuciliście kotwicę, muszę sam zobaczyć o co się zaczepiła.

To mówiąc skoczył w wodę i zanurzył się. Powróciwszy utrzymywał, że zahaczona o drzewo.— «Ale w odpływie morza, rzekł, naciągniemy linę od kotwicy, to ona albo pęknie w czasie przyływu, albo kotwica odzepi się. Jeśli też ją utracicie, znajdzie inną na wasze usługi. Ale teraz niepodobna puszczać się w drogę. Tej nocy zaczyna się proroka, byłoby wielką nieroztropnością dziś wyruszać dalej. Pierwszy powiew wiatru, może was rzucić na brzegi Kavianny, na trzęsawiska Bragansa lub Kurua (1), a tam zostaniecie rozbici i potoniecie bez ratunku. O dwadzieścia mil tu naokoło nie znaleźlibyście ani

(1) Tak nazywają te wyspy i trzęsawiska na wielkiem ujściu Amazonki.

jednego czółna, któremby się odważono popłynąć, na ujście Amazonki podczas prorokówi.»

Wszakże, rzekłem mu nie śmiało, możemy wyrwać kotwicę z następnym przyptywem, a jeśli bardzo mocno zagrzęzła, lepiej by to miejsce naznaczyć wiązką drzewa, a teraz wziąć tę, co nam dać obiecałeś i w nocy, jeśli wiatr podniesie się, popłynąć do przystani Belik.

— To niepodobieństwo. Ja sam nigdybym się na to nie odważył, nawet mojem czółnem, co pływa jak mewka, a przy tem dodał biorąc nas za ręce, proszę panów jutro do mnie.

Nie było żadnej wymówki, a pomimo szczerej chęci przybycia do Kayenny, lękałem się puścić zbyt mocno wezbraną rzeką, kiedyby naokoło nas panowała prororoka hucząca po mieliznach. Prócz tego czułem prawdziwy pociąg do naszego gościa, a Karlos coby oddał swój professor-ski biret, za dzień odpoczynku na lądzie, zawołał z radością:

— Bardzo dobrze. Będziemy na kolacyi u pana i jego *komadry* (1), prześpiemy się wybornie na wiszących łózkach, a jutro zajmiemy się rybołówstwem, co się zaś tycze myśliwstwa, możesz się niem pan sam zabawić; odtąd tak szanuję szlam, że nie chcę więcej deptać go nogami.

Henryk odpląnął do siebie, chcąc zadysponować obiad dla nas, «abyście zapomnieli raj utracony, czyli *Rocher de Cancal*,» dodał śmiejąc się. Zostawił nam jednego ze swych Indyauów, przykazawszy, żeby jak tylko wyrwie się kotwica, przeprowadził nas wąską odnogą aż przed mieszkanie swego pana.

Zapytywałem Johna jakim sposobem znał mego rodaka. Zamiast odpowiedzi zbladł wymawiając kilka niezrozumiałych wyrazów. Widać że John miał jakieś sprawy ciężące na sumieniu, a jedną z nich musiał znać Don Henryka.

Powtórzyłem kilka razy to pytanie.

— Panie, jeden tylko pan Henryk ma prawo

(1) *Komadra*, znaczy to samo, co u nas kuma; wyraz ten używają w poufanych rozmowach, na całym wybrzeżu Amazonki.

rozrządzać życiem i śmiercią biednego Jolna, — po Panu, któremu służę, — dodał obłudnie, chcąc mi pochlebić.

Więcej ani słowa nie mogłem wymóżyć na nim.

Nakoniec, około godziny drugiej, gdy morze zupełnie opadło, kazałem naciągnąć linę. W tych okolicach, gdzie tylko przechodzi proroka, przyptyw i odpływ odbywa się z nadzwyczajną szybkością. W przeciągu kilku chwil morze wezbrało. Z niespokojnością przypatrywaliśmy się, co się stanie z *Wigilingą*; ta zamiast, żeby się dała unieść fali, i znowu się raptem cofać, jakto zwykle dzieje się z okrętami stojącymi na kotwicach, zaczęła się obracać na jednym miejscu. Wkrótce przód statku zanurzył się w wodzie, lina wzmocniona jeszcze powrozami trzymała mocno. *Wigilinga* coraz więcej zanurzała się; powierzchnia morza zdawała się widocznie podnosić, dosięgła już nawet białej pręgi będącej zwykle o trzy cale nad wodą. Kołysaliśmy się jak okręt płynący po linie na falach, i gdyby tak potrwało jeszcze z pięć minut, trzebaby popuścić linę, żeby nie zatonać. Wtem uczuliśmy raptowne wstrząśnienie, sta-

tek zatrzymał się, podniósł się i popłynął z pędem wody. Kazałem podnieść linę, kotwica była na końcu. Indianin zaczął kierować, i rozwinął żagiel, w pół godziny potem zarzuciliśmy kotwicę naprzeciw domku don Henryka.

VII



VII.

Mieszkanie Don Henryka.

MUBIĄCY marzyć o dalekich rzeczach i zwrótnikowych krajobrazach, niech zwróca myśl swoją na ten, co tu opiszę, o ile możność dozwoli, z zupełną dokładnością. I tak, niech sobie wyobrażą wyspę tak wielką, jak sześć razy Paryż, na dalekim gdzieś Atlantyku, przy ujściu największej rzeki, na krańcu tej ogromnej pustyni Południowej Ameryki; wyspę okrytą dziewiczemi lasami i bagnami, płaskiej powierzchni, ukrytą wśród roślinności, której żadna w świecie wyrównać nie może; a której nie gościnnie brzegi są poorywane przez dwanaście dni co miesiąc, przejściem olbrzymiej trąby nazwa-

něj prororoką,— nakoniec wyspę pustą, będącą postrachem nawet dla Indyan. Dalej na jedném z wybrzeży tej nieznaney wyspy, ciągnie się płaszczyna mało wyniosła, równająca się obszarem Tuileries i cała otoczona wodą. Na tēj wyniosłości, wznosi się obszerna chatka, czyli szeroki dach mający od 25 do 30 metrów kwadratowych, cały pokryty liśćmi, przez które deszcz nie przejdzie, jak przez strzechę na folwarku w Beauce. Ani murów tu, ni zagród; piętnaście czy dwadzieścia słupów wbitych ua prędcie utrzymuje chatkę, maty wiszą od dachu, jedne blisko drugich, ruchome nakształt otwartych żaluzyi. W środku tēj obszernej budowli, schronienie tajemne i ukryte, jak gabinecik damski, utworzone ze splecionych liści; naokoło przy każdym wrębie zawieszono z płótna wiszące łóżka, a zamiast podłogi wygładzone pnie palmowego drzewa. Wszystko to opiera się na prostych słupach z drzew ściętych o pięć stóp nad ziemią, przytwierdzonych dwiema ogromnemi belkami ociosanemi w kształcie schodów.

Przed nami, między unoszącym nas potokiem a chatką, rosły w nieładzie krzaki róż

i jażminów. Biedne Europejskie kwiaty, zwazone równikowem słońcem, żyją tam bez uprawy, ale rozlewają jeszcze woń swej ojczyzny!

Z lewej strony domu, pomarańczowe i cytrynowe drzewa rozpościerały wysmukłe gałęzie obciążone kwiatem i owocami. Naokoło nich ziemia była okryta pomarańczami i cytrynami psującemi się i na które nikt nie zważał. Niedaleko, prawie ku środkowi wzgórza wznosił się las z bananowych drzew, z szerokiemi blado-zielonemi liśćmi, mającemi połysk jedwabiu, i pnie takiejże zieloności; kwiat tych drzew czerwony, a rześiste owoce spadają ciężkimi gronami. W dali, na pochyłości płaszczyzny widać było pola okryte ryżem, kukuruzą, trzciną cukrową i t. d., cała ta jasna zieloność, zamykała się kwadratem manioku (1), z gęstemi łodygami, jakby las młodych olszyn.

Koło domku, na prawo, wzdłuż kanału, wznos-

(1) Maniok dojrzały, jest to drzewko wysokie od sześciu do dziesięciu stóp, zasadza się corocznie, a korzeń jego jest podstawa żywności, w krajach leżących pod zwrotnikiem.

siły się olbrzymie mangowe drzewa, a szarawe ich pnie zdawały się niknąć pod kopułą zieloności. Miejscami, ciemne liście przykryte były owocami złotej barwy; są to zwrotnikowe brzoskwinie, i pewno to ten owoc skusił wspólną naszą matkę.

W głębi, osłonięte mangami, były chałupki murzynów i budynki Indyan; nakoniec, w pośród tej całej przyrody, ruszały się rozproszone gromady dzieci murzynów, przypatrujące się nam z zadziwieniem, nagie jak robaki; murzyni i murzynki, Indyanie i Indyanki, wszyscy ubrani po krajowemu, w spodnie lub spodnice, podług swej płci.

Przed nami, nad brzegiem, stał Don Henryk z żoną, wysoką, silną i jeszcze piękną brunetką z rozpuszczonemi włosami, spadającemi po obnażonych ramionach:

«Była ona jeszcze piękną jak jesienny wieczór, jak mówi poeta. Całe jej ubranie składała spódnica, koszula i kwiatki we włosach. Przed niemi dwoje dzieci, mających od pięciu do dziesięciu lat, nagich, żywych, silnych, opalonych słońcem, z o-

czami i włosami czarnemi jak u Indyan, a rysy twarzy wydatne jak u ojca.

Nakoniec jakby ramy obrazu tworzył las, z drzew wyniosłych jak cisowe, nie zbyt gęsto rosnących spletających się z sobą u wierzchołków cienistemi liśćmi i roślinami pnącemi się, tysiącznych barw i odcieni: wszystko to tworzyło jakby zastonę nieskończenie żywej zieloności. W głębi, jak przez przerąb, rzeka toczyła swe żółte i szumiące nurty; na prawo strumień po którym przepłynęliśmy, ginał w lesie.

Kto potrafi sobie to wszystko wyobrazić przy blasku jaskrawych promieni wspaniale zachodzącego słońca pod równikiem, będzie miał wyobrażenie jednego z krajobrazów natury równikowej, najwięcej zajmujących i najmniej spodziewanych, jakie tylko zdarzyło mi się widzieć w życiu.

Carlos i ja co od wielu lat jesteśmy w pośród tej przyrody, nie mogliśmy się dosyć napatrzeć tym ludziom, kobietom, dzieciom, i całej tak pięknej uprawie gruntów; było to *oazys* otoczone prororoką, rzucone jak raj na pustyni Kavianny.

Indyanie wysadzili nas na ląd. Wszyscy zna-

ją w tutejszych przystaniach, gdy morze opadnie, ten sposób wylądowywania. Jest to powszechny zwyczaj w dolnej Amazonce, gdzie wszystkie wybrzeża są pokryte szlamem, nanoszonym bezustannie pędem rzeki. Każdy siada na ramionach Indyanina trzymając się go za głowę, jak bojaźliwy jeździec chwytający za szyję rumaka; Indyanin przytrzymuje ci jedną ręką nogę i przenosi przez wybrzeże. Trudno sobie wyobrazić lekkość chodu i ruchów tych ludzi, obarczonych ciężarem w przechodzie po ślizkiej ziemi lub grzązających w gęstym mule.

Don Henryk zbliżył się i rzekł do nas po hiszpańsku:

— Caballeros, dom, panowie i słudzy są na wasze rozkazy. Słyszałem bardzo często jak sztychano ze zwyczaju hiszpanów, ofiarujących w słowach na usługi swój dom, przybyłemu gościowi a nawet przejeżdżającemu cudzoziemcowi. Ja zaś, przeciwnie, widzę w tem jakąś formę biblijną, która jeżeli źle odbija w naszych krajach pełnych austeryj, przechowuje przynajmniej pamiątkę gościnności starożytnych ludów. Każdy cudzoziemiec był uważany za gościa, a jako gość za

posłańca Boga, bez różnicy czy to był poga-
nin czy chrześcijanin. Lubię ten uświęcony zwy-
czaj; i kiedym to usłyszał z ust don Henry-
ka, zrozumiałem że znajdziemy u niego tę szcze-
rą peruwiańską gościnność z jaką nas przyjął i
której nigdy nie zapomnę; była to gościnność
rodzicielskiego domu, uprzejma, szczerą, bez
granic. Zdawało się, że dom, państwo i służy
prawdziwie są na usługi nasze.

Weszliśmy do domu; Indyanka podała nam
kawę, a mały murzynek w jednej ręce trzyma-
jąc żar, w drugiej fajki i cygara stał przy na-
szych hamakach. Mówiliśmy ciągle po hiszpań-
sku;— był to rodzinny język pani domu.

—Panowie, rzekł do nas, a więc na tem sta-
nęła umowa, że zabawicie u mnie póki się nie
skończy proroka i z waszej łaski, pierwszy raz
wyda się nam, że trwa zbyt krótko. Jakże prze-
pędzimy dnie co nam wypadnie razem przebyć?
bo według waszego postanowienia wydam rozka-
zy. Panie Carlos, czy chcesz jutro rybę łowić?

—Zastosuję się do waszych życzeń; ale znam
upodobania paryzkich Nemrodów; jeżeli wolicie
polować, będę wam towarzyszył.

— Nie, przerwałem, łowmy ryby; Holandia nie liczy tak wielu odważnych strzelców, żeby jeszcze raz narażać życie najzręczniejszego z jej dzieci.

Bardzo lubiłem dręczyć Karlosa żarcikami, że Hollendrzy mało mają upodobania w myśliwstwie; on zaś za najmniejszym słówkiem, wpadał w nieskończone opowiadanie, o swych czynach w Jawie;— a bujna jego wyobraźnia, rozogniona gorącym słońcem dwóch półkuli, tworzyła mnóstwo powieści z Tysiąca i Jednej Nocy. Lecz ranna kąpiel ostudziła zwykły jego zapał, i tylko nam odpowiedział:

— A więc! kiedy wam nie idzie o polowanie, podam taki plan, żeby się lepiej zabawić, i jutro nic nie robić, ale to co się nazywa nic, oprócz palenia fajki i przesypiania się między częstymi ucztami, przy których będziemy wznosić toasty za zdrowie każdego z żołnierzy sprzymierzonej armii. *Inter pocula*, don Henryk opowie nam historią o zbiegach, swoich sąsiadach, i pokaże swe mieszkanie.— Oto mój program.

Był to program prawdziwie równikowy. Ale można było ulepszyć go polując przez kilka go-

dzin choć na grzywacze, ho nigdy nie miałem upodobania w rybołówstwie. Don Henryk zgodził się na to. Następnie, pomimo przycinków Karlosa, zaczęliśmy czynić znowu niewyczerpane wspomnienia o naszej ojczyźnie.

Dona Carmen, towarzyszka Henryka, słuchała naszej rozmowy nie należąc do niej, nawpoł leżąc na wiszącym hamaku i kołysząc się tym jednostajnym i powolnym ruchem jakiego tylko kreolki używać umieją. Korzystając z pierwszej chwili milczenia, kazała nam podać *assaï*.

Szczęśliwi Paryżanie nie znacie *assaï*. A więc powiem wam co to jest. Jeżeli kiedy będziecie na Amazonce, gospodarz przyjmie was wywarem z owocu palmowego, ma on kolor podobny do luzu zmaconego wina, a smak fuzów od kawy. Strzeż się, jest to *assaï*,— i napój i jadło razem bardzo gęste, ulubione od wszystkich, nawet i cudzoziemców; używają go powszechnie przespawszy się po południu, osłodzone lub nie, według upodobania; w Belem, widać murzynki krążące po ulicach z wielkimi blaszanymi wiadrami napełnionymi tym mętnym napojem. Zatrzymują się one przy drzwiach, zwołując dzieci, które

zbiegają się pić *assaï* za swój *vintem*, (1) i to z taką radością jak my dawniej w kollegium wymienialiśmy nasze grosze za zakurzone, owsiane cukierki, z kramiku jeszcze bardziej zapylonego. Dla dziecinnego wieku nie wiele potrzeba, kiedy idzie o przyjemności, i mało się one różnią między sobą.

Karlos i ja podziękowaliśmy za *assaï*. Don Henryk kazał nam przynieść kilka mangów, szklanek porto, i zapytał czybyśmy nie chcieli, nim podadzą obiad, obejrzeć przed nocą, wzniesioną dla nas chatkę.

— Jest ona ztąd o kilka kroków, rzekł nam: z początku chciałem rozpiąć wasze hamaki blisko naszych: ale życie równikowe wymaga, podług mego zdania, różnych swobód, na które mniej byście się ośmielili pod moim dachem:— tam zaś, będziecie jak we własnym domu.

Wyszliśmy. Pod mangowemi drzewami, o piędziesiąt kroków od domu wznosił się namiot Indyjski, okryty liścianym dachem i wiszącymi matami. Zupełnie jeszcze zielone liście dowodziły że był tylko co ukończony. Wielka mata uple-

(1) *Vintem* ma wartość brezylijskiego su, wynosząca 20 reisów, blisko 6 centymów czyli 3 grosze.

ciona ze słomy przedzielała namiot, a w każdej części wisały dwa łóżka, jedno siatkowe na dzień, drugie bawełniane na noc; zawieszono je na słupach chatki. Na pniach drzew służących za podłogę rozestano korę z drzew środkowej Amazonki, znaną pod nazwiskiem *tururisów*, giętką i gęstą jak tkanina. Przy łóżkach rozpostarto skóry tygrysów i czerwonych małp. Gorejąca nocna lampa, której niepewne światło pomimo osadzonego szkiełka, migało się od wiatru (1), stała już na prostym stole, gdzie były fajki, tytoń, woda i tafia.

To składało całe umeblowanie chatki; ale pod równikiem każda rzecz niepotrzebna jest niewygodną. Tam żyje się dla siebie a nie dla drugich. Jeszcze tu cywilizacja nie przyniosła z sobą uciążliwych i próżnych zbytków.

(1) W mieszkaniach podzwrotnikowych, każdego rodzaju światło, lampa czy pochodnia, są osłonięte szkłem, chroniącem je od wiatru i owadów; bez tej koniecznej ostrożności, wiatr świszczący ciągle prawie przez okna i drzwi zawsze otwarte, albo skrzydlate owady, niezmiernie obficie się znajdujące w gorącym i wilgotnym powietrzu, zagasiłyby światło.

Nasz gospodarz, wprowadzając nas, przemówił temi słowy:

— *Paisanos*,— rodacy— namiot ten wystawiony dla was, będzie spalony zaraz po waszym wyjeździe. Podróżowaliście po obydwóch Amerykach, więc mnie rozumiecie. Przedmioty służące jednej ukochanej istocie, nie powinny już do nikogo więcej należeć;— jest to starożytny Indyjski zwyczaj, a widzieliście równie jak i ja, jak *Magorunas* peruański spalił swój domek wyjeżdżając, a *Pawny* ze stepów kazał zabić konia swego ojca. Nie pamiętam, gdzie czytałem, że pozostałe po Indyanach wdowy paliły się na grobach swych mężów. Są to pomysły barbarzyńskie może, lecz niemniej mające szanowne znaczenie.

Podziękowaliśmy mu; a Karlos dodał:— Co do mnie, można popalić lub schować każdą rzecz po mojej śmierci, będzie to już dla mnie wszystko jedno. Po mnie niech nastąpi koniec świata! Niech moi spadkobiercy palą lub przejadają co im zostawię,— mniejsza o to;— ale tego mogą być najpewniejsi, że dołożę starań przez całe życie, aby im jak najmniej zostawić.

— Tak, tak, odpowiedział gospodarz,— jesteś

nieżonaty i o nic nie dbasz,— masz racją. Życie miejskie porównać można z domem zajezdnym, i zupełnie pojmuję, że kto ztamtąd wyjeżdża nie dba o to co zostawia. Całe życie przyzwyczał się on każdą rzecz najmować, należąca pierwaj do innych, i znowu po nim służącą innym. W starej Europie, nikt już nie każe budować domu dla siebie. Teraz tylko zamitłowani w zbytkach każą robić meble lub umyślne dla siebie ubrania. Najczęściej każdy się mieści w jakimkolwiek domu, gdzie się zdarzy. Kładzie na siebie gotowe ubiory, przymierzane już przez przechodniów. I wy nazywacie dzikim tego co każe robić dla siebie, jedynie tylko dla siebie, chatkę, łóżko lub koszulę!

—I oni mają racją, mój kochany gospodarzu, rzekł Karlos. To są słowa jednego z waszych poetów :

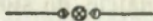
Bóg udziela nam chwilowo łaki i źródła,
A potem je odbiera.

Na tym świecie wszystko się najmuje, nawet miłość i przyjaźń. Wy jesteście dzicy i zarazem mizantropi; ale cóż to za tem? Robcie

jak ja: lepiej śmiać się niż płakać nad rzeczami ludzkiemi.

— *Quien sabe*,— mówią Hiszpanie.

— Panowie, przerwał don Henryk, ztąd widzicie dom i namioty murzynów. Jeśli zawołacie, i tu i tam usłyszają. Tam, przy końcu drzew mangowych, znajdziecie izbę do kąpieli południowo-amerykańskich: płynie tam woda filtrowana, na otwartem powietrzu, po dnie piaszczystem, a z boku wisi łożko do spoczynku. Teraz, chciejcie panowie pójść na obiad.



VIII.

Obiad pod równikiem.

DOWRÓCILIŚMY do mieszkania. Dona Carmen oczekiwiała nas.

— Do stołu, siadajcie do stołu! wołał Henryk. A pamiętajcie, moi drodzy goście, że jeść dobrze jest to dobrze żyć, i że trzeba korzystać z czasu.

Karlos usiadł do stołu, i nalawszy sobie wina, obrócił się do dony Carmen:— Senora, piję jej zdrowie ojczystem winem.

— Dziękuję panu, odpowiedziała nie wstając z hamaku.

— Carmenita, czemu nie siadasz z nami? rzekł don Henryk. Wiesz przecie że w Europie kobie-

ty siadają do stołu razem z mężczyznami. Choć ci panowie przybyli z Para, nie są jednak Brezyljczykami. Dona Carmen usiadła do stołu. Poszliśmy za jej przykładem.

Niechże teraz paryżanie którzy mówią: prócz Paryża nie ma zbawienia; niech ci sami przeczytają opisanie naszej biesiady, a później niech sądzą.

Naprzód nie siedzieliśmy kolo zbyt wysokiego lub niskiego stołu na niewygodnych i uginających się krzesłach; ani nie we czterdziestu, dotykając sąsiadów łokciami; ani zmuszeni jeść każdą potrawę, podług przyjętego zwyczaju przez samowładną modę; lub też ulegli kaprynowi służącego, usługującego według swego widzieli się, a nie podług twego życzenia; nie byliśmy zmuszeni ani potraćć jedni drugich, ani sobie zawadzać, ni przybierać wymuszoną postawę, lub prostować się jak utressowane konie.

Nie. Tu ustawiono stół bez nóg na ziemi. Naokoło niego siedzieliśmy w koszulach i płóciennych spodniach, nawpół leżąc na rozestłanych matkach, tygrysiich skórach i poduszkach. Wszakże to pominawszy bielizna i inne rzeczy były jak w Paryżu.

Za każdym z nas stała murzynka gotowa na każde skinienie. Przyniesiono różnego rodzaju mięsiwa już pokrajane, i wszystkie potrawy podano od razu; każdy ze spółbiesiadników miał przed sobą świeżą wodę, różne wina, pieprz, imbir, angielskie przyprawy, grzanki, ryż, maniokową mąkę i pieczone z niej ciastka. Jeśli który z nas nie jadł, wtedy Henryk lub dona Carmen, przyjmująca i bawiąca gości jak gościnną kreolka, kazali podawać: każdy zresztą brał jaką chciał potrawę podług upodobania. ze stołu czy z rąk murzynki.

Gdy się obiad zaczął, mieliśmy najprzód małe ostrygi Paletuwierskie, zwane ostrygami z Vigii, żywe i pieczone, szerokie jak talerze; rosół z ryb lub zwierzyny; *kamaroesy* czyli raki rzeczne; *tambahqui* z górnej Amazonki, rodzaj łososia poławianego w tej rzece, najlepszej w świecie ryby; piersi żółwia upieczone we własnej jego skorupie, i posypane maniokową mąką; *paca* opieprzone i mające smak wieprzowiny; małe smażone żółwie, wielkości spłaszczonych skowronków, które nie są już jajami, lecz jeszcze i nie mięsem.

jedzą je całe ze skorupkami żylastemi jeszcze, *viado*, mający smak sarny, natarty korzeniami; pieprzem kajeńskim i *tucupi*, czyli mocną musztardą z przefermentowanego manioku; na pieczone, *cujubi*, rodzaj pawia mającego białe mięso, a zapach młodego bażanta, *hocco* czyli *mutu-assu* podobnego do indyka, *jacami* mającego smak kurki afrykańskiej; dalej była palmowa kapusta, czyli wierzchołki drzew palmowych mające smak karczochów; *carusy* podobne do naszych kartofli; *manioki* słodkie pieczone, i t. d: Zaspakajaliśmy pragnienie obudzone pieprzem tureckim i wielkim upałem, pijąc wino różnego rodzaju: angielskie, porto, setubal, i prawdziwe szampańskie.

Nakoniec wyniesiono ten stół wnosząc inny na jego miejsce, z rozmaitemi dzikimi owocami, ale rozlewającemi woń pod równikową; były tam jabłka kajeńskie zwane *marie-tambours*, mające miękisz tak słodki jak galareta z białych porzeczek; zwrótnikowe morele wielkości małych melonów, cynamonowe jabłka czyli Gujańskie *abacates*, *bacuris* pokryte tak miękką skórką że się

je jada łyżeczką; różnego rodzaju złote mango-
we owoce których zapach terpentynowy odstrę-
cza świeżo przybyłego Europejczyka, ale w pa-
rę miesięcy już mu wydają się doskonałe; na-
reszcie konfitury z gojawów, z cytryn i t. d.
podane z winem pomarańczowem, ananasowem
i z kakao, któreby można wziąć za wina Cy-
pryjskie lub Hiszpańskie.

— Jest to obiad pod równikiem, rzekł do nas
Henryk, nie kazałem podawać konserw, bo ja-
dają je u was wszędzie.

— Ale to książęca uczta, zawołał Karlos, i
pewno takiej nie znaleźlibyście nawet w waszym
Paryżu.

— I prawdę mówiąc nigdzie, odpowiedziałem,
trzeba takiej trafności i takiej umiejętności jaką
posiada nasz gospodarz, żeby połączyć wszystkie
równikowe płody. Od trzech lat już podróżuję po
południowej Ameryce, a dopiero pierwszy raz wi-
dzę stół tak zastawiony.

I było to prawdziwie po raz pierwszy i osta-
tni; gdy zacznę opowiadać o tym wieczorze, za-
pominał owe niezliczone dni, w które ja i brat

mój mieliśmy do jedzenia zaledwie soloną rybę, i pieczone banany, któremi żywiliśmy się w drodze, uciekając od owadów; zapominam te niezliczone wieczory, gdzie mogliśmy się napić tylko ciepłej wody rzecznej, siedząc ze skurczonymi nogami, bez powietrza pod gęstą siatką, okopce ni lampką, przypatrując się karcie rzeki w dzień odrysowanej; nakoniec zapominam te miesiące, te długie miesiące, podczas których bez dzienników, bez listów, i żadnych wiadomości, płynęliśmy to pod wodę, to z biegiem rzeki, pisząc i rysując na słońcu, gdy upał dochodził do 45 stopni; lub przepędzając noce na pustych brzegach morskich; marząc bezustannie o oddalonej ojczyźnie. Ale na cóż wywoływać gorzkie wspomnienia? czyliż terazniejsze zawiedzione nadzieje nie są jeszcze więcej gorzkie?

Nasz gospodarz namówił nas żeby pić kawę na dworze. Wstaliśmy; lampy powkładane w półskórki od pomarańczy, oświecały nasze hamaki, okryte cieniem drzew mangowych, Murzynki przyniosły nam kawę zimną, trochę ocukrzoną, wydającą woń aromatyczną, a nie tak jak tu

zwykle podają, wrzając i aż gęstą od cukru. Z cygarami w ustach zaczęliśmy gawędzić o rozmaitych przedmiotach, i długo tak śmieliśmy się i rozmawiali, rokoszując się temi chwilami, co tak mile przechodzą po długich ucztach.

IX.

Historya galerników.

CHCĄC ten miły wieczór przyjemnie zakończyć, nasz gospodarz prosił Karlosa, żeby mu opowiedział historye Jawiańskie; ale Karlos po obiedzie był prawdziwym kreolem i najlepiej lubił spoczynek. Wymówił się, usprawiedliwiając lenistwo krótką pamięcią i prosił naszego gospodarza, żeby chciał opowiedzieć o zbiegłych galernikach.

— Nie warto nawet o tem mówić, rzekł don Henryk. Jednak nie przestawałem nalegać; dona Carmen połączyła z nami błagalne prośby, usiadłszy na hamaku obok swego kochanka. Każdemu wiadomo jaką ma władzę ukochana oso-

ba; żona czy kochanka, przychodząca z słodyczą:

Przemówić głosem żalonym i tklwym,
I szeptać, rączkę kładnąc na twém sercu.

Wtedy mąż słaby, a kobieta silna!

Don Henryk uległ. Od początku do końca nie przerywając słuchaliśmy go z prawdziwą przyjemnością. Może taki obiad, wygodne hamaki i noc pod równikiem przyczyniły się nie mało do naszej przyjemności. Lecz ileż to rzeczy na świecie wydają się pięknymi przez pozorne złudzenia; wszakże i tych już nie mam, a oto dokładna historia, którą mi tak opowiadano:

— Blizko trzy miesiące temu, mówił nasz gospodarz, nie długo po moim powrocie z Francyi, wybrałem się był raz na połów ryb do Kurui i wracałem podczas przyptywu. Miałem z sobą murzyna Johannesesa i Indyanina Isidorio, co onegdaj upił się na waszym statku. Zawsze biorę go z sobą wyjeżdżając dalej; wychował się w osadzie dony Carmen,— tak jest silny jak starożytni szermierze, a ja mam słabość wierzyć, że on szczerze do mnie przywiązany.

Było to właśnie w wiliją nadejścia prororoki, a wiecie z jaką wtedy gwałtownością fala wszystko porywa. Czółno moje sunęło się, unoszone pędem wody i silnym wiatrem północno-zachodnim. Płynąłem lotem strzały, trzymając jedną ręką rufel, drugą żagiel przechylony zupełnie. Stosownie do świstu wiatru przyciągałem lub puszczałem linę od żagla, i w miarę tego śpieszyłem, a bałwany pieniące się naokoło brzegu wpadały często do czółna. Za każdą razą upajam się, kiedy poczuję, że moje czółno płynie silnie pod moim kierunkiem; tak jak na polowaniu upajają się widokiem zwierzyny, kiedy się ją tuż tuż dogania, a konia spina się gwałtownie munsztukiem i ostrogami. Tym sposobem często przechyla się czółno; pewno kiedyś mię to o śmierć przyprawi. Ale to jedyna gorączkowa rokosz, co mnie jeszcze ożywia. Teraz poluję jak wysłużony gwardzista, i nie jeżdżę już konno, bo prawdziwe równiny są tylko w Marajo, a to zbyt daleko do Marajo.

Wtem, zdało mi się, że wiatr doniósł z środka morza, jakiś krzyk trwogi; syójrzałem na Isidoria: on to samo słyszał, i nadstawił ucho. Rzuciłem okiem w koło widnokręgu. Lecz zmrok

już zapadał, i nie można było widzieć daleko. Przystłuchiwałem się kilka chwil. Żadnego odgłosu. Chcąc spieszenie powrócić do domu, szybko popłynąłem dalej.

Wkrótce doszedł nas drugi krzyk wyraźniejszy. Słyszeliście *cajarara* (1) z środkowej Amazonki, kiedy wlatuje wydając krzyk trwogi obudzający wszystkie nadbrzeżne ptaki; krzyk ten brzmi jak trąba zwołująca na sąd ostateczny: zdawał się to być krzyk *cajarary*, lecz więcej przytłumiony. Zwróciłem czółno w stronę z kąd zdawał się głos wychodzić, i kazałem żeby Isidorio zmienił proch na panewce, bo może zwilgotniał od wieczornej rosy.

Ale rozszedł się trzeci krzyk o kilka sążni od nas. Ściągnąłem zupełnie żagiel i przypa-

(1) *Cajarara*, nazywają rodzaj czubatego nura z grzbietem w centki, z szarym brzuchem, który zanurza się, lata i biega z nadzwyczajną łatwością. Najczęściej można go widzieć siedzącego na uschłych drzewach, znajdujących się nad rzeką. Jeśli ma sanicę, a osobliwie piskłeta, zrywa się i latając w koło nad brzegiem, krzyczy przeraźliwie, czem przeraża i rozprasza dzikie zwierzęta.

trywaliśmy się. Była to Indyjska *uba* płynąca bokiem na pełne morze.

Wszak znacie *ubę* (1), ten wydrążony pień drzewa, którym tylko Indyanie umieją kierować. Przepływała, rzucona morskimi falami, krążąc kolistą, jak dawne huśtawki o dwóch belkach, widywane na Polach-Elizejskich. Czółno unoszone pędem wody, bez kierunku, można porównać z człowiekiem pozbawionym zmysłów; zawraca się ono i pędzi bez celu, unoszone bałwanami. Rozwinąłem trochę żagiel i dopędziłem *ubę*.

Mieściła w sobie dwóch ludzi, z tych jeden nawpół podniesiony prosił nas w imię Boga, abyśmy go wyratowali. Johannes rzucił mu ko-

(1) *Uba*, w indyjskim języku, dolnej Amazonki znaczy drzewo, i pod tem nazwaniem wyrażają pień drzewa wydrążony, używany zamiast czółna. Są *uby* rozmaitej wielkości, zaczawszy od takich, w które tylko jeden człowiek może wsiąść, aż do dwónastu, a nawet osmnastu wioślarzy, i można pomieścić trzy lub cztery beczki towarów. Jest to wydrążony pień drzewa, z jednej strony kończaty, z tyłu cięższy niż z przodu, i nic więcéj.

niec sznura; on go złapał, przyciągnął obydwoma rękami i dopłynął do nas.

Wtedy przedstawił mi się tam nader smutny widok. Woda była prawie do połowy czołna. W głębi leżał rozciągniony człowiek, zupełnie nagi, skostniały jak trup. Za każdym uderzeniem bałwanu, woda do połowy go oblewająca, rzuciła nim po czołnie, i rozchodził się głuchy odgłos uderzającego się ciała o ściany *uby*. Wziąłem go za trupa. Drugi wynędzniały, chudy, kościsty, wstrząsany febrycznym dreszczem jak w konwulsjach, z mokremi i pozlepianemi na skroniach włosami, cały okryty płaszczem z łachmanów, bosy, klęczał, bo nie odważył się stać na tym wązkim czołnie, mogącem się łatwo przechylić; wskazywał na gębę na wpół ją otwierając, i ustającym głosem z wielkiego krzyku, głosem co już nie miał w sobie nic ludzkiego, prosił żeby mu dać co zjesć.

Wyjąłem flaszkę z porto, nalałem kilka kropeł do kubka i dałem mu; potem skoczywszy z Isidorem do *uby*, wzięliśmy trupa, jeden za ramiona, drugi za nogi i położyliśmy go w głębi mego czołna. Uklęknąłem i chciałem się prze-

konać czy bije jeszcze serce; biło bardzo słabo, lecz regularnie. Przyłożyłem do ust flaszkę, i udało mi się wpuścić kilka kropel wina przez zaciśnięte zęby.

Towarzysz jego, z pomocą Johannaesa, także przeszedł do mego statku. Isidorio wylał wodę z *uby*, i przywiązał ją za statkiem; skierowałem czółno podług wschodzących gwiazd, i popłynęliśmy dalej. Rozbitek któregośmy wyratowali jęczał, wzdychając żałośnie, i zwracał się do Isidoria, to znowu do Johannaesa, mówiąc na wpół ich językiem i hiszpańskim.

— *Senores caballeros*, w imię Najświętszej Panny, dajcie mi kawałek chleba, jeden tylko kawałeczek. Tu mnie boli, bardzo boli, krzyczał wskazując na piersi.

Moi ludzie słuchali tego obojętnie. Wszak znacie Indian; podejrzliwa przezorność nigdy ich nie opuszcza. A murzyn, w obecności swego pana, wtedy tylko mówi, gdy jest zapytany.

— Isidorio naléj mu jeszcze kroplę wina, ale nie więcej.

Zdawał się rozumieć, że zabraniam dać mu ię-

cój, rzucił mi się do nóg składając ręce i wołał szlochając:

— Dla miłości Boskiej, panie, dla miłości Boskiej.

Nie lubiłem nigdy płaczących cierpień; najczęściej okazują one ludzi słabych lub mających zamiar oszukać. Wszystkie wielkie cierpienia są milczące. Nie wiedzieć czemu, nie podobał mi się ten człowiek. Żyjąc między Indyanami, przejąłem od nich podejrzliwość i ulegam nagłym wrażeniom. Przemówiłem po *kwecku* (1) do moich ludzi, obydwaj rozumieli ten starodawny dyalekt hiszpańskich Indyan.

(1) Wzdłuż koryta Amazonki, i w całej prawie Południowej Ameryce, są używane dwa główne indyjskie dyalekty.

Język *kwecki* (*queche*), przerobiony przez jezuitów hiszpańskich, z języków najliczniejszych plemion osad hiszpańskich, mieści w sobie niektóre słowa hiszpańskie. Mówią nim wszyscy ucywilizowani Indianie i biali, którzy mieszkają w środkowych prowincjach rzeczy-pospolitych hiszpańskich.

Język ogólny, ułożony przez jezuitów z Portugalii, składa się z języka Tupinambarana i dyalektów najliczniejszych pokoleń portugalskich osad, ma też trochę słów portugalskich. Tym językiem mówią wszyscy ucywilizowani Indianie i część bia-

— Ten człowiek pochodzi z mego kraju, ale nie mówcie mu kto jestem. Ty, Johannesie, mów do niego po francuzku; zapytaj co oni są za jedni, z kąd przybywają i co się im przytrafiło. Powtórzysz mi to po portugalsku.

Johannes był ze mną we Francyi; mówi trochę po francuzku i zawsze rozmawiam z nim tym językiem.

Odpowiedział po kwecku:

— Dobrze, panie!

łych zamieszkujących środkowe prowincye Brezylijskie.

Oprócz tych dwóch języków nowocześnie utworzonych, każde pokolenie ma swój osobny dyalekt.

Język kwecki, równie jak ogólny, codziennie więcej nikną, zaczynając się mieszać z hiszpańskim lub portugalskim i niedługo zupełnie zaginą, nie będąc już potrzebne do utrzymania stosunków między białymi a Indyanami; gdyż dzisiaj ci ostatni są albo tak ucywilizowani, że stają na równi z białymi, lub tak dzicy, i tych największa liczba, że nie mówią i nie chcą mówić inaczej, tylko swoim dyalektem, i usuwają się od wszelkiej cywilizacji.

Ale cokolwiekby nastąpi, dwa te języki, tak jak wszystkie fundacye, i wszelkie prace jezuitów w Południowej Ameryce, przyniosły prawdziwe pożytki, głębokie i jedynie dotąd trwające.

Potem obracając się do rozbitka, zadawał mu wskazane przezemnie pytania.

—Przybywamy z Kayenny, odrzekł zagadniony. Wgnani byliśmy do Gujany za polityczne przestępstwa. Uciekliśmy z tej osady, i już od dwóch tygodni błakamy się na los szczęścia. Chcemy się udać do Brezylji. Znaleźliśmy to czołno zostawione przy brzegu i wsiadłszy w nie zamierzaliśmy dostać się do lądu, ukazującego się przed nami. Ale ani ja, ani mój towarzysz nie umiemy kierować statkiem. Fala uniosła nas, i od dwóch dni giniemy, nie wiedząc nawet gdzie jesteśmy. Woda jest słodka, jednakże nie widać brzegów. Cóż to za kraj! Od dwóch tygodni żyjemy tylko dzikimi owocami i surowemi rakami, a przez dwie doby, co płyniemy, nic w ustach nie mieliśmy. Przez miłość Boską, powiedz temu panu, żeby mi dał kawałek chleba.

Johannes opowiedział mi treść tego co słyszał. Nie miałem przy sobie chleba, tylko mąkę z manioka, byłbym mu jej dał natychmiast, gdybym się nie obawiał, żeby to życiem nie przypłacił. Zdarzyło mi się bowiem, widzieć czło-

wieka, który udusił się zacząwszy nagle zajadać po długiem wygłodzeniu się.

Jednak, kazałem dać mu trochę mąki, którą połknął; potem pełny *kui* wina, dając do zrozumienia, żeby podał swemu towarzyszowi, a resztę sam wypił.

Ale on obrócił się do Johannaesa i trącając nogą rozciągnięte przy nim ciało, z nieokreślonym wyrazem, wyrzekł:

— Nie warto,— *Ponury* ma już za swoje. Jutro umrze. Sam lepiej wszystko wypiję. Powiedz to panu.

I potwierdzając słowa uczynkiem, wychylił od razu cały *kui*.

Widać, że mniemani polityczni tułacze byli zbiegłymi złoczyńcami!

Moi ludzie zrozumieli lub odgadli równie jak ja z kim mieli do czynienia; widziałem jak zaiskrzyło się oko Isidoria, ale nic nie powiedział. Johannaes podał znowu trochę wina umierającemu, i w kilka chwil potem spostrzegłem, że poruszył rękami i zaczął obracać oczy na wszystkie strony z największem podziwieniem. Kazałem tasią

natrzeć mu piersi i członki. Zamruczał kilka słów, i zdawał się nieco powracać do życia.

Drugi opowiadał Johannesowi mnóstwo zmyślonych wypadków: wygnano go z Francyi, gdyż powstawał przeciw niewolnictwu murzynów. Można jego rodzina wszystko poświęciła, żeby mu ułatwić ucieczkę i okupiłaby wolność murzyna, któryby chciał go zaprowadzić do Brezylji.

Przybierał poważną minę; drżącemi i mokreimi rękami podnosił w górę włosy, lub przykrywał piersi resztkami płaszcza, który wiatr ciągle rozrzucał.

Ten nikczemnik był zapewne kuglarzem; istotnie nawet, dowiedziałem się później, że grywał dramata na jakimś jarmarkowym teatrze.

Murzyn nawet nie patrzył na niego. Coraz to się nachylał do chorego i dawał mu pié po troszku. Po upływie godziny, ten ostatni mógł się już cokolwiek podnieść i przemówić. Kazałem mu zjeść trochę mąki omoczonej winem.

Gdy zjadł, wyciągnął rękę, i dotknął mej nogi mrużąc:

«Dzięki ci, panie.»

Pamiętam to jeszcze, i dla tego jedynie, nie zabiłem go jak psa, przed dwoma miesiącami.

Drugi uprzykrzał mi się kłamstwami; powiedziałem murzynowi, żeby mu kazał milczeć.

Wtém Isidorio oznajmił, że na lewo już widać Kavianę. Odczepiłem ubę przeszkadzającą prędko płynąć, pewny będąc, że jak morze opadnie, znajdę ją osiadłą na mieliźnie.

Skierowałem czółno prosto do lądu, potem popłynąłem nieco poza brzegiem, żeby rozpoznać miejscowość. Już prawie dopłynęliśmy. Zamiast puścić się kanałem prowadzącym do domu, zatrzymałem się z drugiej strony, i przybiłem do plantacyi manioków.

Następnie, zwróciłem się do Isidoria:

— Wsiądź tu, rzekłem, idź do domu i nikomu nic nie mów. Proś dony Carmen o wino dla mnie, tafię i kosz mąki, dwie koszule dla majtków, dwie pary spodni i dwa murzyńskie kapelusze; przyniesiesz mi to wszystko. Będę czekał na ciebie.

Zbieg chciał wsiąść. Powiedziałem Johannesowi, żeby mu kazał cicho siedzieć na statku. Drugi podniósł się, oparł o ścianę czółna, i przypatrywał wszystkiemu nic nie mówiąc.

Sam położyłem się w czółnie i zapaliłem cygaro. W kilka chwil potem, słyszałem jak kuglarz mówił do Johannaesa:

— Niegrzeczny twój pan. Kiedy kto ma u siebie osobę tak znakomitą jak ja, podaje się jej cygara; powiedz mu to odemnie.

Murzyn przetłomaczył.

— Powiedz, żeby milczał, bo mnie już znudził.

Zbieg zaszwargał po cichu kilka słów złodziejskim językiem do swego towarzysza i zamilkł.

Rzekłem do Johannaesa po kwecku?

— Pilnuj, a jeśli tylko który z tych niegodziwców zechce uciekać, wrzuc go zaraz do wody. Potem za pomocą pageja, odsunąłem czółno o dwadzieścia kroków od ziemi i zarzuciłem kottwiczkę.

W godzinę powrócił Isidorio. Zabrałem go i popłynęliśmy do Jurupari. Miałem tam chatkę serengera, z której moi ludzie wyprowadzili się dopiero od kilku dni, zostawując w niej jeszcze wszystko, co tylko potrzebne do wyrobu kautczuku. Przybiłem do brzegu blisko chaty. Isidorio z murzynem przenieśli zbiega tego, co nie

mógł jeszcze chodzić. Drugi jakoś sam wysiadł. Pokazałem im chatkę nic nie mówiąc,— oddałem wszystko co przyniósł Isidorio, i kazałem powiedzieć, że nazajutrz ich odwiedzę.

Grzeczniś ciągle mi dziękował i zaklinał, żeby go zawieźć do Brezylji, gdzie wypłaciliby za to wielką summę, i przedstawił mnie rządcy departamentu. Johannes przetłómaczył.

Nie zasługiwało to nawet na moją odpowiedź.

Isidorio rozpałił ogień w chatce, pokazał im, jak użyć krzesiwa, czem rąbać drzewo, gdzie są wędki, fajki, tytuń, i wszystko co tylko potrzebne do życia na puszczy. Potem wsiadłem do czółna, i we dwie godziny już byłem tutaj.

— Nakazałem moim ludziom, żeby nie mówili ani słowa o tem spotkaniu. Nie chciałem przestraszać donę Carmen. Sam o niczem nie wspominałem, a że ona jest nawpół Indyanką, o nic mię też nie wypytywała.

Nazajutrz, z przyplływem morza, ruszyłem do Jurupari z Isidorem i Johannesem. Zastałem kuglarza palącego fajkę. Drugi leżał na ziemi; zobaczywszy mię podniósł się trochę; szedłem do niego nie odpowiadając grzeczniowi, kła-

mającemu się mnie, jakby na scenie w teatrze. Johannes służył zawsze za tłumacza.

— Na co jesteś chory?

— Tylko z głodu.

— Czy czujesz się lepiej?

— Zapewne do jutra będę zdrow. Już wsta-
wałem.

— Czy chcecie tu zostać i pracować obydwu
razem?

— Jesteśmy za blisko Kayenny; wolimy po-
płynąć do Brezylji.

— Przecież jesteście w Brezylji.

— A gdzież miasto? Widać tylko wodę i drzewa.

— Ztąd do miasta sto mil.

— Niech pan każe nas tam zawieźć!

— Nie mogę, nie mam ani statku ani sternika.

I w samej rzeczy nie miałem wtedy gotowego
czółna, a prawie wszyscy moi ludzie byli zaję-
ci wyrabianiem oleju z Andiroby.

— A więc będziemy pracować. Ileż zarobimy?

— Według waszej pracy.

— Cóż pan każe zrobić?

— Wyrabiać kautczuk. Johannes pokaże wam
jak się wziąć do tego. Jeśli będziecie szczerze

pracować, zarobicie na dzień sześć piastrow, (30 franków) mąkę z manioku i tafię (1).

— Sześć piastrow! to prawie nic.

— Jeśli niczem się nie zajmiecie, Bóg wie co się z wami stanie.

— Będziemy pracować.

— Dobrze. Oto macie mąkę czyli chleb krajowy, dwa żółwie (2), kociołek, haczyki do wędki, żebyście mieli czem rybę łowić. Dadzą wam dwie miary (cztery kwarty) tafii. Czy potrzebujecie co jeszcze?

— Pan nie chce kazać nas zawieźć do Brazylii?

(1) Dwa lata temu, człowiek pilnie pracujący przy wyrobieniu kautczuku, mógł dziennie zarobić od 100 do 120 franków. Dziś, kiedy ten towar znacznie staniał w niższej Amazonce, dobrze pracując można jeszcze łatwo zarobić od 25 do 30 franków.

(2) Żółwie są wielką pomocą w Amazonce. Jest ich niezmierna liczba rozmaitego rodzaju, ziemnych i wodnych. Składają je w czółnach, i tam trzymają kilka miesięcy bez pożywienia; na lądzie pojedynczo przechowują czasem dłużej jak rok. Ryba, solone mięso i żółwie są tu podstawą żywności.

— Nie. Zobaczymy za tydzień.

Kuglarz odprowadził mnie aż do czółna. Idąc słyshałem jak mówił do Johannesesa:

— Czy można znieść taki upał? Wytłómacz twemu panu, że człowiek mego stanu, nie może pracować w pocie czoła.

Murzyn powtórzył:

— Powiedz-że mu, że jeżeli będzie próżnował, umrze z głodu. Słyszac odpowiedź Johannesesa, wznosił ręce do nieba i powrócił do chatki.

Dla tego nędznika Brezylia była Eldoradem, zdawało mu się, że to obiecana ziemia dla jego występ-ków, inne miasto, inni ludzie, których znowu będzie można łupić. Lękał się pracy i pustyni; wo-lałby galery. Im więcej człowiek zepsuty, tem bardziej boi się samotności.

Zostawiłem Johannesesa, żeby im pokazał spo-sób wyrabiania kautczuku, a sam ruszyłem na polowanie, gdyż na mieliznach znajdujących się od południowej strony wyspy, umiałem wynaj-dywać młode bekasy.

Zabiwszy ich tuzin powróciłem w przeciągu godziny dla zabrania murzyna. Opowiedział, że nie chcieli wcale zwracać uwagi na to co mó-

wił; skłaniając go tylko ciągle, żeby ich zaprowadził do Brezylji. Probowali wszelkich środków: obietnic, przymilań się, groźb, byle tylko dojść do zamierzonego celu.

— A cóż, zapytałem, czy chcesz ich tam zaprowadzić?

— Och! Panie! zawołał tonem wymówki.

— Dałem mu cygaro na zgodę; potem położyłem się w czółnie, i spałem pókim nie przybył do domu.

Przy końcu tygodnia znowu popłynąłem do Jurupari. Zastałem chatę pustą. Wszystko co zostawiłem zbiegom, znikło, a na brzegu nawpół zatarte ślady dowodziły, że odpłynięto przynajmniej przed nocą, gdyż ślady ludzkie zdeptały tygrysy, przebiegające po brzegach po ich odjeździe. Błogosławiłem nieznany przypadek co mnie uwolnił od niebezpiecznych moich gości, i powróciłem do mojej osady.

W kilka dni potem, obudziło mnie w nocy szczekanie psów, jakby na tygrysa. Wziąłem strzelbę. Isidorio obudzony także, poszedł za moim przykładem. Ruszyliśmy w tę stronę gdzie psy ciągle wyły, szukając wszędzie; ale

noc była głęboka, nie mogliśmy nic zobaczyć ani usłyszyć.

Nazajutrz rano, murzyn dał mi znać, że od strony plantacyi manioków, widział świeże i widoczne ślady trzewików. Poszedłem zobaczyć. Przekonałem się, że jacyś ludzie w europejskiem obuwiu, wysiadali w nocy na moje grunta. Koło brzegu na błocie widać było miejsce gdzie wysiedli i skąd odpłynęli. Tegoż dnia powiedziała mi dona Carmen, że zginęły cztery barany.

Następnej nocy kazałem pilnować jednemu z ludzi, i sam czuwałem. Ale odwiedził nas tylko żaguar, co już przez dwie noce wałęsał się koło chat murzynów, i uciekał przed świtem. W przeszłym tygodniu, Domingo zabił ich dwóch, przybywających co noc na wyspę od miesiąca.

W trzy dni potem, zuowu psy ujadły, lecz krótko; rano, trzecia część kur będących w kukuruzie zginęła, a z niemi i mały, biały angielski wyżełek, com go kupił w Londynie, którego dona Carmen niezmiernie lubiła. Widząc ślady trzewików i bosych nóg na brzegu, nie mogłem wątpić, że mnie w nocy okradają. Zdawało się że przynajmniej czterech ludzi wysiadło, chodząc nieo-

stróżnie po karczowisku; a ćwierć pieczonej baraniny, której pozostały jeszcze szczątki, przy kurniku, tłómaczyła spokojność psów. Korzysć odniesiona z pierwszej kradzieży, zachęciła do następnej.

Wziąłem z sobą Isidora, drugiego Indyanina, Johanna i następnej nocy, dwie godziny przededniem, wsiadłem do czółna, zabrawszy z sobą moje hamaki, sześć koszów mąki, soloną rybę, tafię, dwie fuzyje, rewolwer pięcio-strzałowy, sztylety myśliwskie, szable siekierkowe (1): i ruszyłem na wzwiady, wydawszy rozkaz murzynom, żeby w razie trwogi, rozpalili duży ogień.

Postanowiłem póty nie wracać dopóki nie znajdę moich nocnych złodziei. Najprzód udałem

(1) Szable służące do ścinania drzew, są to duże ostrza trochę zagięte, płaskie i szerokie, dochodzące długości dwóch lub trzech stóp, osadzone w drewnianą rękojeść jak siekiera; służą one do ścinania drzew, wyrąbywania lasów, i wycinania drogi w lesie. Jest to konieczny przewodnik każdego z podróżnych, i najpierwsza krajowa potrzeba. Każdy z mieszkańców ma taką szablę, a indyanin lub murzyn nie ruszy się bez niej.

się do Jurupari; w przeciągu dwóch dni opłynąłem wyspę; przez dwie noce gotowaliśmy na niej wieczerzę, ale w lesie daleko od brzegu, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi. Moi ludzie spali przy czółnie, leżąc na ziemi ukryci w trawie. Pierwszej nocy rozwiesiłem hamak w chatce opuszczonej przez zbiegów; drugiej w lesie.

Trzeciego dnia przed świtem, powróciłem do Kavianny; zamierzając również i ją opłynąć. Posuwałem się z moim czółnem poza brzegiem rzeki, tak jak koło Jurupari, zwiedzając każdą przystań, każdy ruczaj zdolny zastonić chatkę od *prororoki*.

Prawie o milę od mego mieszkania, Isidorio pokazał mi wychodzący dymek z małej przystani.

Tylko wzrok Indyanina mógł go dostrzedz. Już ominąłem był to miejsce nic nie widząc, i musiałem opłynąć w zygzag, żeby znowu na ten brzeg powrócić. Istotnie lekki dymek prawie niedostrzeżony, wychodził z pomiędzy drzew *muca-mucusów* zacieńających brzegi. Wznosił się on prosto ku niebu, zastonięty od południowego wiatru, wielkimi palmowemi drzewami zwanemi *mirilis*, o-

krywając ich liście szarawą i przezroczystą powłoką.

Płynąłem dalej wzdłuż wyspy; potem o sto kroków ztamtąd, przybliłem do małej zatoki zarzuconej także *mucu-mucusami*. Znacie ten rodzaj ogromnej trzciny okrytej szerokimi liśćmi, co zatapia w wodzie swe łodygi na dwanaście, a czasem piętnaście stóp; można dwie mile przepłynąć wśród jej giętkich łodyg, co się uginają i znowu podnoszą za czołnem, tak jak zielone zboże nad przepiórką na wiosnę.

Wpłynęliśmy. Zastona z liści zakryła się za nami. Skierowaliśmy się ku tej stronie z kądem wychodził. Maszt, teraz zupełnie niepotrzebny, zwinęliśmy i położyli w czołnie; moi ludzie trzymając się trzciny, bez najmniejszego szmeru, coraz więcej posuwali czołno w głąb zatoki; zaledwie słyhać było lekkie tarcie się czołna o liście i łodygi uginających się *mucu-mucusów*. Cienkość i giętkość trzciny dowodziły dna głębokiego na dziesięć stóp przynajmniej, gdyż nad wodą nie mieliśmy zieloności wyżej jak na cztery lub pięć stóp. Wystawały tylko wierzchołki łodyg. W kilka chwil, Indianin klęczący na przodzie czołna,

pokazał na migi żeśmy już przy brzegu. Zatrzymałem czółno, i nachyliwszy się do Indyanina, wskazując na ziemię, szepnąłem:

— Idź na wzwiady.

Zrzucił spodnie jak najciszej, wziął puginał, i spuściwszy się w wodę wzdłuż łodygi, żeby nie robić szelestu, zanurzył się.

Otoczony równikowemi roślinami, nie widziałem raczej odgadywałem, że to już ziemia, to jest pnie *miritisów*, proste jak trzony kolumn, a gęste jak palisada. Niedługo ukazała się głowa Indyanina przy jednym z takich drzew. Wreszcie wysunął się cały, nie robiąc najmniejszego szmeru, podług ich zwyczaju, kiedy czatują. Nawet nie usłyszałby go śpiący sylf na sąsiednich listkach. Stał na ziemi, i również cicho, natarł całe ciało błotem z brzegu; tak pomalowanego trudno było mnie nawet rozróżnić od szarych pni *miritisów*. Potem wsunął się między drzewa i zniknął.

Zaledwie w pięć minut, usłyszeliśmy pod wodą szmer taki, jak gdy ryba, przesuwając się musnie czółno. Wziąłem za rewolwer, Isidorio i murzyn uzbroili się pagejami, gotowi na wszyst-

ko. Ale była to głowa Rafaela wysuwająca się z wody koło samego czółna. Musiał płynąć długo pod wodą, bo zcierwieniał i oczy zaszczyły mu krwią. Jednakże nie zadyszał się, i został w wodzie trzymając się za trzcinę. Nachyliłem się do niego; patrzył na ziemię, mówiąc do mnie głosem lekkim jak tchnienie:

— Biali!

— Ilu?

Podniósł pięć palców.

— Skieruj czółno tam gdzie się znajdują, tylko cicho.

Zamurzył się i wypłynął za nami. Obróciliśmy się w tę stronę. Posuwał się bez szmeru, ciągnąc nas jedną ręką, a drugą opierając się o *mucu-mucusy*. Pomagaliśmy mu odpychając pagejami trzcinę, i za kilka chwil byliśmy już z nim na ziemi. Tu słychać było pomieszane głosy. Zgiąwszy się szedłem naprzód; poznałem dźwięk chrapliwego głosu, kuglarza. Musiał opowiadać jakąś zabawną historję, bo się śmiano. Ale szeroka i odkryta przestrzeń dzieliła nas od chaty i nie mogłem już iść dalej nie będąc widzianym.

Powróciłem do czołna, mówiąc do Isidoria:

— Weź strzelbę, schowaj się i czekaj na mnie. Strzelając celuj dobrze: ale tylko w największej ostateczności. I Rafaelo niech idzie za tobą.

Odmieniłem podsypkę na panewce rewolwera i dobrze nabity włożyłem do środkowej kieszeni mej koszuli. Obejrzałem czy puginał łatwo się wysuwa z futerału, i dając znak Johannesowi żeby szedł za mną, ruszyłem poza lasem w przeciwną stronę dochodzących nas odgłosów, żeby potem przez las więcej się do nich zbliżyć.

Najprzód chciałem zobaczyć z kim miałem do czynienia: byli tam zbiegi z Jurupari, lecz któż byli ich towarzysze? Gdyby mi się udało zwabić pierwszych do lasu, jakimkolwiek krzykiem, złapać i wyprawić do Belem, reszta byli to zapewne krajowcy włóczęgi, których łatwobym się pozbył. Trzeba było koniecznie, rozprawić się z nimi natychmiast; bo inaczej wrodzona do rabunku skłonność tego plemienia, poduszczana przez złoczyńców, w parę miesięcy sprowadziłaby mi na głowę całą zgraję flibustierów.

Uszedłszy jakie pięćdziesiąt kroków, z przeciwnego końca podszedłem do chatki gęstym lasem, prze-

suwając się od drzewa do drzewa. Stałem tak, że mogłem ich widzieć. Kuglarz ciągle mówił; od czasu do czasu widziałem go kołyszącego się w hamaku i machającego rękami. Ale nie mogłem zobaczyć jego słuchaczy, ani usłyszyć co mówił.

Nakoniec, to pełzając, to kryjąc się za kautczukowemi drzewami, dostałem się do pnia *miritisu* podpierającego chatę. Johannes szedł moim śladem, powtarzając każde me poruszenie jak gdyby mój cień.

Obejrzałem się gdzie Isidorio i drugi Indyanin. Zostali trochę za mną na prawo. Isidorio kłęczął, z fuzią na ramieniu, zakryty gałęziami; o trzy kroki od niego, leżał Ralaelo, zakopany w trawie; obadwa z rozwartemi nozdrzami, wytrzeszczywszy indyjskie oczy, nieruchomi, czarni jak Ereb, schowawszy głowy między ramiona, jak tygrysy gotowi do rzucenia się na zdobycz. Przy mnie był Johannes, trzymając *itauhową* pageję, ciężką jak maczuga starożytna. Pokonalibyśmy dziesięciu ludzi.

Położyłem palec na ustach spojrzawszy na Isidora, i postąpiłem krok dalej żeby zajrzeć do chaty. Pomiędzy miritisami a wyplecionemi ścia-

nami z liści, czas poczynił szerokie szczyrby. Spojrzałem na nieprzyjaciela. Rafaelo dobrze widział, było pięciu ludzi: zbiegi z Jurupari i trzech nowo-przybyłych. Słyszałem ich i widziałem wszystkich o dwa kroki od siebie. Gdybym z za miritisu wyciągnął rękę, dosięgnąłbym mówiącego galernika. Za każdym zakołysaniem łóżka, przesuwają się przedemną zaostrzone rysy jego twarzy, trupia cera, siwe latające oko, broda jasna i ruda, słowem cały profil. Przesadzonym głosem i ruchem przybieranym zwykle przez komedian-tów, kończył opowiadanie jakiejś historyi, przyjętej widać z upodobaniem, bo słuchacze wołali: Bravo, bravo, *Lasico!* i sypali oklaski.

Obok niego stał oparty o pień drzewa i palił fajkę *Ponury*, poznałem go po rysach cechujących złoczyńcę, zapadłem oku, zgasłem od nędzy i rozpusty. Nawet w uśmiechu i całym ułożeniu malowała się ponurość, którą zasłużył na tę nazwę. Naprzeciw kuglarza, po lewej stronie odemnie, dwóch nowo-przybyłych, leżało nawpół rozciągniętych na łożu z liści palmowych. Z ich twarzy można było odgadnąć galerników; oprócz tego, na ciele wszystkich tych ludzi były wypa-

lone piętna, ich zdradzające. Jeden miał na prawem ramieniu znak gilotyny niebieskiego koloru; był silnie zbudowany, brodaty, z nosem spłaszczonym, zakłęsłym czołem, okrągłymi oczami jak u sowy; prawdziwy szubienicznik. Drugi, blady, z nabrzniętymi powiekami, rudymi włosami, młody, ale z miną zuchwałą i bezwstydną.

A w głębi tego obrazu, siedział wspólny nasz przyjaciel John, z twarzą cechującą łotra i pijaka, a chociaż nie rozumiał on ani słowa, ale śmiał się naśladując drugich.

Na środku chaty, żółw cały w skorupie piekł się na ogniu, którego dym ich zdradził. W kącie leżały w nieładzie jedne na drugich, różne skorupy, miski, toporki, słowem wszystkie narzędzia potrzebne serengeróm. Na górze, zawieszony na wrębie, sechły skóry z moich baranów. Ściany chaty były otwarte ze wszystkich stron, a duży liść *bojuassowy* (1), długi na dziesięć lub

(1) Liście palmowe tego rodzaju, dochodzące często do piętnastu stóp długości, gęste, płaskie, najczęściej są używane do przykrycia domów. Dach ułożony z trzech lub czterech takich liści jest lekki, i nie przenika go ani deszcz ani promienie słońca.

piętnaście stóp, przykrywający kiedyś część dachu, spadał aż do ziemi, przez czas oderwany od innych.

Kuglarz podniósł się, i z ujmującą miną reżysera teatru, oznajmującego publiczności zmianę w afiszu, powiedział, że za pozwoleniem parteru zaśpiewa przed obiadem, romans ułożony w Paryżu.

Czekałem, szukając sposobu lub jakiej pomyslniej okoliczności, żeby go wywabić z chaty, schwycić, a następnie pokazać się z moimi ludźmi. Mając go w rękę, łatwiejby zmusił pozostałych trzech towarzyszy, do opuszczenia wyspy; John zaś był dla mnie więcej potrzebny niż niebezpieczny. On właśnie mógł ich zaprowadzić do Belem. Nadto dobrze znałem go żebym się mógł obawiać: dawniej już widziałem go w takim położeniu, które się nie zapomina, i pewno potrafiłbym zmusić go do posłuszeństwa.

Galernik namyślał się kilka chwil, a każda z nich wydawała mi się wiekiem, równie jak jego słuchaczom, bo mały blondyn wołał: «Kortyna! kortyna!» jak gdyby się znajdował na paradyzie w teatrze de la Gaité, i zaczął gwizdać. Nakoniec śpiewak się odezwał. Jeszcze mi brzmi

w uszach jego głos złamany, pusty i ten jego romans, jak go nazywał.

Była to pieśń galerów, sprośna i bezrozumna.

Już dwa miesiące jak ją słyszałem, a nie mogę zapomnieć, wszędzie mnie prześladowe jak zmora. Mógłbym powtórzyć obiedwie strofki. Lecz nie będę was tem męczył. Jednakże publiczność była zadowolniona; tłusty galernik tupał nogami z radości na swem liścianem postaniu,— a mały rudy krzyczał: «bis! bis!»

Dla mnie było tego już zanadto. Ta pieśń bezwstydną oburzyła me serce; ten człowiek niekzemny kalał nawet pustynię. Zawrzała we mnie chęć raz to już skończyć, obszedłem drzewo o którym się opierał i naprzeciw śpiewaka wszedłem do chaty.

Umilkł on i zbladł nieco.

Lecz wkrótce przychodząc do siebie, rzekł kłyszając się:

— Patrz! to Hiszpan!

Młody rudy podniósł się mówiąc pół głosem:

— Co za głowa!

Dwaj inni patrzali na mnie nic nie mówiąc.

— John chciał się wymknąć.

— Zostań tu, rzekłem po angielsku.

Wrócił się natychmiast, i odpowiedział tymże językiem.

— Panie, to nie moja wina; nie byłem z nie-
mi w pańskiej osadzie.

Nic mu na to nie odpowiedziałem.

Johannes stał za mną. Trąciłem go w ramię,
mówiąc doń po hiszpańsku:

— Spytaj ich dla czego mnie okradli.

Murzyn powtórzył.

Kuglarz odzyskał już całą bezczelność. Było
ich pięciu; ja byłem sam z murzynem tylko; a
on myślał żeśmy nie uzbrojeni.

— Powiedz twemu panu że dla tego zabrałem
jego barany, że sam byłby mi ich nie dał, a co
do kur, to może sobie zabrać pierze, co tam
leży.

I wszyscy zaczęli się śmiać na całe gardło. Złość
mnie już ogarniała: czułem żem bladł. Ale im
większa wściekłość mną miotłała, tem więcej sta-
rałem się pokazać obojętnym.

— Powiedz, żem tu przyszedł zapowiedzieć mu,
że jeśli się jeszcze odważy na coś podobnego, to
go zabiję.

Johannes przetłómaczył.

Patrzcie, odpowiedział złoczyńca, Hiszpan się gniewa.

Nie ma za co; jego kury i barany dobre były i dziękuję mu za nie. Murzynie, jeśli twój pan ma jeszcze takie wino, jakie mi dawał pierwszą razą, powiedz żeby jeszcze dał kilka flaszek. Ja i *Ponury* zagustowaliśmy w niem. Przybyliśmy tu jako posłowie Francyi; dzicy obowiązani składać nam daninę. Powiedz mu to.

I mówiąc to głosem przysadnym, wyprostował się i podnosił obydwoma rękami kołnierz od koszuli jak *Józef Prudhomme*.

Johannes przemówił do mnie po indyjsku:— Panie, niech pan wyjdzie. Ja z Izidorem zabijemy tych czterech ludzi.

—Nie, powiedz mu, że jeśli za godzinę nie opuści wyspy, źle z nim będzie.

Murzyn obrócił się do nich, chcąc im powtórzyć moje wyrazy. Ale kuglarz wstał z hamaku i zbliżył się do Johannaesa mówiac:

— Czarna potworo, słuchaj dobrze. Jeżeli jednym ruchem lub słowem dasz zrozumieć temu panu, co ci powiem, przybiję cię.

Potem obróciwszy się do towarzyszy.

— Kochani koledzy, przemówił, ten dziki co stoi przed nami,— i ukłonił mi się.— ma bardzo dobre wina i zapewne kilka panien z kędzierzawymi włosami. Ponieważ wyratował z toni *Ponurego* i mnie, chciałbym mu ująć kłopotu myślenia o tém wszystkiem. Ale zdaje się, że on nie chce naszego sąsiedztwa; otoż możemy się porozumieć po przyjacielsku i gotowiśmy go uszczęśliwić na wieki.

I znowu się mnie ukłonił.

— Wsiądziemy w jego czółno będące tu zapewne w pobliżu, i obejrzymy piwnice. Murzyn nas zaprowadzi. Za jego trudy zaś damy mu kieliszek wina i kije. Ja jestem przyjacielem negrów.

I włożył rękę za koszulę, podnosząc głowę z dumną miną.

— Zgadząmy się, wołał mały rudy.

Kuglarz zwrócił się do Johannaesa:

— Murzynku, oznajmij twemu panu, że namyślamy się nad tém co nam powiedział. Ani słowa więcej; umiem po hiszpańsku i zrozumieć co powiesz.

Ale *Ponury* podniósł się mówiąc:

— Nie chcę żeby go zabijano. Uratował mi życie. Zwiąż go lepiej.

— *Tarrlata, tarrlata.* Otóż *Ponury* marzyć zaczyna. Nie mam powrozów; a zresztą tak mi już ręce zniedołężniały, od czasu jak jestem w tym psim kraju. Teraz trudno mi nawet zabić i barana. Czy inni, zgadzają się na mój projekt?

— O tak, tak, odpowiedzieli dwaj złoczyńcy leżąc na ziemi.

— Kiedy tak, to się nie mieszam do niczego przerwał *Ponury*.

— Dobrze. Ale pamiętaj, że ani wina, ani kobiet nie dostaniesz.

— No, niechże i tak będzie, ale kończmy prędko.

— Za chwilę! Ułóżmy jakiś porządek. Ty murzynie, jeśli się ruszysz, to już wiesz!

Johannes ani okiem nie mrugnął. Przybrał wyraz twarzy niedbały i obojętny, cechujący niewolnika.

Byłem błądy i nic nie mówiłem; ale gniew

mię dławili prawie. Jednakże chciałem czekać do końca, nie chcąc uderzać pierwszy.

Galernik przez chwilę się namyślał, i rzekł:
— *Ponury* i *Żaloszny*, z obu stron, wezmą kurczę za skrzydełko; a ja mu gładko krwi upuszczę.

I zawinął rękawy od koszuli.

— Nie trzeba psuć odzienia, co mi dał ten pocziwy dziki. Ty, *Marchewko*, będziesz miał oko na murzynka, — czerwony zaś na czarnego. Jak wymówię słowo *gracias*, zaczynajcie!

Dwaj złoczyńcy co siedzieli na liściach, wstali.

Ja zaś wziąłem się nieznacznie za rewolwer będący za nadrami.

Kuglarz obrócił się do mnie, i kłaniając aż do ziemi, przemówił prowincjonalnym swoim językiem na wpół hiszpańskim:

— Czy chcesz pan pojednać się z nami?

Wziął fajkę zawieszoną na petelce od koszuli, i schylił się do ognia chcąc ją niby zapalić. Potem z wyrazem niedbałym, podniósł szablę od rąbania drzewa leżącą na boku, i zaczął poprawiać niby ogień.

— Widzisz, zawołał śmiejąc się, rozgrzewam

żelazo, żeby ci zimnem przykrości nie zrobić, jakim ja dobry dla ciebie!

Najmniejszy jego ruch nie uszedł mej uwagi. Grzebał tak przez kilka chwil, podniósł się i opierając o szablę, powiedział do mnie mrugając trochę oczami.

— I cóż, nie chcesz się z nami pojednać? A więc, *gratias!*

I zbliżył się do mnie z obojętną miną.

Dwaj drudzy także się ruszyli. Oparłem się lewą ręką o *pageję* i doskoczyłem trochę.

Potem, wyciągając rewolwer, wycelowałem do złoczyńcy.

Jeszcze widzę jak twarz jego pobladła: cofnął się, przechyliwszy na tył głowę.

Strzeliłem z obydwóch luf, on upadł. Obróciłem się do jego towarzyszy. Jeden z nich, *Ponury*, zwalony uderzeniem *pagei*, borukał się bezsilnie pod *Johannesem* chcącym go udusić; drugi, z zakrwawionem czołem, leżał koło *Isidora*, który strzelił jednocześnie ze mną.

Co zaś do małego *czerwonego*, *Rafaello* siedział na nim jak *żaguar*, i kolanami przyciskał mu ramiona do ziemi. Widać tylko było, wy-

kręcące się po ziemi nogi złoczyńcy, usiłującego podnieść się, a Rafaelo trzymał swoją ofiarę jedną ręką za czuprynę, a drugą kierował ostrz pugiuału, chcąc przebić arterję szyi.

Nie zabijaj go, wołałem, zwiąż raczej. I skinąłem na Isidoria, żeby podał skreconą wiązke powrozów, leżącą w końcu chatki i pomógł Rafaelowi.

Poszedłem do Johannes'a. *Ponury* leżąc pod nim dostał już śmiertelnego chrapania.

— Daj mu się podnieść, rzekłem.

Murzyn puścił go. Złoczyńca na wpół uduşzony, wziął się za szyję obydwoma rękami, odetchnął, i trochę podniósł.

Schyliłem się do kuglarza. Już nie żył. Kula z mego wystrzału trafiła go w oko i wyszła przez czaszkę, druga roztrzaskała mu nos.

Czwartemu, kula Isidoria, porała tylko skórę na czole. Leżał na ziemi ze strachu. Zawołałem Johannes'a.

— Zwiąż go, rzekłem mu.

— Przebaczona! wołał; to nie, ja, to *Łasica*, winien wszystkiemu.

— Milcz.

Johannes z Isidoriem związali go. Mały czerwony, dobrze skrępowany, pieniał się ze złości i przeklinał.

Jednakże *Ponury* zaczął oddychać. Podniósł się, i nagle rzucił na fuzję leżącą na ziemi. Wycelowałem do niego; ale w mgnieniu oka, Indyanin powalił go na ziemię.

— Panie, czy mam go zabić?

— Nie! odbierz mu tylko strzelbę.

Galernik ciągle się borukał z Rafaelem.

— Jeśli nie uspokoisz się, rzekłem do niego po francuzku, każę ci w łeb wypalić.

Oddał strzelbę Indyaninowi i usiadł na ziemi.

Johannes związał trzeciemu ręce.

— Teraz, powiedziałem, zawiozą was ztąd daleko. Jeśli którykolwiek odważy się kiedy powrócić na tę wyspę, zabiję go jak psa. Dziś daruję wam życie dla tego tylko żem Francuz jak wy; ale rozumiałem wszystko.

Mały blondyn mruknął pół-głosem:

— Oto mi kolor skóry, co się nazywa.

Potem odezwał się głośno:

— Jako rodak, proszę, żeby mi nieco rozpuszczono więzy na nogach.

— Gdzie John? Rafaelo, przyprowadź go tu!
Ale John zjawił się natychmiast.

— Masz czółno?

— Jest, panie.

— Idź przyprowadź je do mego statku; Rafaelo pokaże ci gdzie.

— Ty zaś, rzekłem do *Ponurego*, wezmiesz to ciało, i będziesz je niósł przedemną do czółna. Jeśli najmniejszym ruchem okazesz chęć ucieczki, damę szlacheckie słowo, że cię zabiję.

Nie mówiąc już ani słowa, wziął ciało na ręce i poniósł je na brzeg.

Czółno Johna przy płynęło do mojego. Kazałem, żeby wsiadł weń Rafaelo i Isidorio z dwoma związanymi złoczyńcami, i żeby zabrali wszystkie naczynia serengerskie. Johannes podpalił domek; John i *Ponury* wsiedli ze mną i wypłynęliśmy z *Mucu-Mucus*.

Ztamtał podążyliśmy prosto do trzęsawiska, w rodzaju takiego, z którym już dziś zanadto długo zaprzyjaźniłeś się, mój drogi gościu. Kazałem tam złożyć na ziemi ciało złoczyńcy; potem obracając się do więźniów, rzekłem:

— Jeśli, który z was przywiązuje jeszcze do czego wiarę, i umie jaką modlitwę, niech ją zmówi.

Mały *czzerwony* odpowiedział:

— Jeśli pan chce, powiem nad zwłokami *Łasicy* modlitwy jak proboszcz, ale pozwolisz pan za to zdjąć z niego *warezę* (1).

Na rozkaz mój *Ponury*, rozwiązał mu ręce. Podniósł się, przez chwilę, wyciągał na wszystkie strony swe ramiona, próbując niby sił, potem zaczął modlitwę. Był to pacierz poprękrecany, wyuczył się go może siedząc jeszcze na kolanach matki, a podczas życia przepełnionego zbrodniami, przechował się w pamięci jego jak zwiędła niezapominajka przeszłości. Ale tylko usta wymawiały święte słowa, serce wszystkiego zapomniało.

Wtém niespodzianie spostrzegłem, jak postawił nogę na brzegu czołna; potem oglądając się naokoło z niewymownym wyrazem, zadowolonej

(1) Wareza (Vareuse) koszula z grubiej wełny, nazwana warezą, bardzo jest używaną przez majtków i użyteczną w gorących krajach.

chytrości, puścił się naprzód pędem żaguara. Las zaczynał się o kilka sążni, spodziewał się więc z łatwością przeskoczyć przez bagno, żeby go dosięgnąć; ale wiecie, że nawet ptaki nie chodzą bezkarnie po tych glejowatych trzęsawiskach (1). Zapadł on wnet po pas, przez chwilę szamotał się, potem strwożony obrócił się do mnie:

— Panie, panie, zaklinam cię, wyratuj mnie. Nie będę więcej uciekał; uczynię wszystko co każesz, będę posłuszny; jeśli zechcesz, powrócę nawet do Kajenny.

Zuchwały i podły, był w nim prawdziwie na-

(1) Bagna muliste, glejowate, bardzo są pospolite przy Amazonce, szczególnie przy jej ujściu; nikną one i znowu się zjawiają w miarę przypływu lub odpływu. W ogólności nie są niebezpieczne, wchodzi się w nie po pas jak w wodę, lecz w takiej głębokości, nogi zwykle opierają się na twardszy grunt. Jednakże ostrożność radzi unikać ich, a nadewszystko nigdy samemu nie polować w takich miejscach, bo zagrząższy w błoto po pas, trudno wydobyć się bez pomocy, a w puszczech Południowej Ameryki, rzadko zdarza się spotkać podróżnych lub myśliwych. Oprócz tego, można wpaść w trzęsawisko, nie różniące się niczem od bagna.

szkicowany człowiek, dziecko, z występkami wielkiego miasta, na galerach zaś popsuty do reszty. Kazałem mu rzucić *pageję* i podać hak. Wrócił na brzeg, ale tą razą zmieszany i milczący.

— Weź *pageję*, i zagrzeb twego towarzysza, rzekłem do niego. Pochylił się ku umarłemu, rozwiązał koszulę i chciał zdjąć; ale gdy skostniałość ciała, niedopuszczała mu tego z łatwością uczynić, wysunął więc nogę z czołna, i obdarł trupa, stawiając na nim nogę.

Widzieliście jak psy lub kruki, przyciskając łapą zdobycz, rozrywają oną na kawałki, podnosząc w górę dziób lub głowę. Było to tak właśnie. Ludzie ci, tylko z twarzy przypominają jeszcze człowieka.

— Czy słyszałeś, żem kazał zagrzebać go natychmiast.

Odrzucił *pageję* ziemię z jednej i z drugiej strony trupa. A że ciało mniej prędko wsuwało się jak on żądał, przygniótł je rekami, żeby zapadło jak najspieszniej.

Smutny to był widok: galernik na trupie, jak upiór; naokoło nas ponurość puszczy i cisza po-

łudnia, jaką zwykle przybiera przyroda, kiedy słońce ciska ogniste swe promienie prostopadle; nad naszemi głowami unosiły się czarne *urubusy* (1), ci zgłodniali grabarze Południowej

- (1) *Urubusy*, pospolicie znane w koloniach pod nazwiskiem *krukówo*, a w Peru pod nazwą *gallinasos*, są to ptaki najpospolitsze, najpotrzebniejsze i najwięcej szanowane w Południowej Ameryce. Zakazano je zabijać pod karą pieniężną. Istotnie, najczęściej one to jedynie oczyszczają miasta. Ich żarłoczność, bystrość wzroku i zuchwałość są nadzwyczajne. Jeśli kto rozbiera jaką zwierzynę, przylatują i pochwytyją zakrwawione szczątki, przy tej samej osobie, prawie z rąk je wydzierając; dojrzą też i zwietrzą każdy łup w wielkiej odległości; nakoniec, pożerają wszystko, najzgnilsze i najsmrodliwsze nieczystości. Jest ich wielkie mnóstwo w każdym mieście i wszędzie. *Urubu*, jest to mały sęp, z łysą szyją, zakrzywionym dziobem, na dość wysokich łapach, trochę większy od naszego kruka, czarny jak on, ale ta czarność nie ma żadnego połysku; najpospolitszy gatunek ma czarną szyję; najrzadszy, dający się tylko spotkać, w okolicach Gujany, ma szyję różową. Mówią, że są *urubusy* zupełnie białe, ale te dają się widzieć nadzwyczaj rzadko. Wszystkie wydają bardzo mocny, zapach jakby piżma. Nigdy nie słyszałem krzyku żadnego z tych ptaków; w największem rozjątrzeniu burczą tylko, choć nieco ciszej, jak kot rozdrażniony.

Ameryki, wietrzący śmierć i opisujący jak sępy koła w powietrzu.

W kilka chwil wszystko się skończyło. Złoczyńca otrzepywał z rąk błoto, Johannes obmywał pageję, a bagno przybrało zwykłą lskniącą powierzchnię. Jak mało znaczy człowiek na tym świecie! przed kilką chwilami żył szumno i hałaśliwie; teraz nikt o niego nie dba; nawet grób zniknął!

Kazałem znowu *Pouurego* związać i małego *czerwonego*. Poddali się nie mówiąc ani słowa; potem wzięwszy Isidora na stronę, rzekłem:

—Odprowadzisz tych ludzi do Marajo, na zachód Szawes (Chaves), tam gdzie uprawiają kautczuk; zostawisz im sześć koszów mąki, i wszystkie naczynia potrzebne dla serengerów.

Kazałem Johannesowi i Johnowi przejść do mego czółna, a *Pouuremu* z towarzyszami na drugie; potem, obracając się do zbiegów, rzekłem im:

—Okradliście mnie i chcieliście zabić. Mógłbym was trzech kazać zabić; odwiozę was wszak-

że na wyspę z dostatecznym zapasem mąki (1) na dwa miesiące. Zajmujcie się tam rybołówstwem i uprawą kautczuku; przyszlę do was zakupić cały zbiór. Isidorio i Indyanin odprowadzą was. Jeśli w drodze okażecie chęć ucieczki lub zbuntujecie się, mają rozkaz zabić was bez litości. Pamiętajcie, że nie przebaczam dwa razy, i nie pokazujcie się nigdy koło mego domu.

Gdym do siebie powrócił, kazałem zamknąć Johna w murzyńskiej chacie. Isidorio i Rafaelo powrócili przy końcu trzeciego dnia, wypełniwszy wszystko podług mego rozporządzenia, Podczas drogi trwającej całą dobę, złoczyńcy ani się ruszyli; śpiewali tylko i rozmawiali z sobą. Rafaelo rozwiązywał naprzemiany jednego z nich i puszczał wolno, przez dwie lub trzy godziny, potem znowu wiązał.

Przybywszy do Marajo (2), wysadzili na ląd

(1) Mąka z manioku zastępuje chleb, we wszystkich krajach leżących pod zwrotnikiem.

(Zob. rozdział o Manioku).

(2) *Marajo* albo *Johannes* jest największą wyspą na Amazonce, a raczej deltą (wielki trójkątny kawał ziemi, między dwoma ramionami ujścia rzeki), całą poprzerynaną strumieniami i bagnami bez

więźniów, oddawszy im przywiezione zapasy; rozwiązali *Ponurego*, i niezwłocznie odpłynęli.

Oddałem Johnowi czółno, a on, nim odpłynął, opowiedział mi kto byli galernicy, z którymi miałem doczynienia.

Ci, których napierwej spotkałem, byli zbiegami z *Srebrnej-Góry* (*Montagne-d'Argent*) (1). Uciekwszy we trzech, cały dzień siedzieli ukryci, bez pożywienia, zakopawszy się po szyję w szlamie stawu będącego pod górą. Za nadejściem nocy dostali się do *paletuwierów* (2), przebyli wpraw

liczby, które w czasie wielkiego wylewu wody, lub silnego przypływu morza, łączą się z nurtem rzeki. Ma więcj jak sto osmdziesiąt mil fran. obwodu, i dzieli się na dwie części prawie równe i zupełnie oddzielne: jedna z nich położona od Wschodu, to jest od Atlantyku, pokryta tylko obszernymi łąkami; druga, zupełnie od Zachodu, czyli od strony stałego lądu, okryta wyłącznie samemi lasami.

(1) *Montagne-d'Argent*, tak nazwany zakład karny Gujanny francuzkiej, leżący przy ujściu rzeki Oyapock.

(2) Nazywają *Paletuwierami*, drzewa rosnące na wybrzeżach Oceanu; sama wysokość ich i grubość jest rozmaita, korzenie powiązane jak węzowisko, pnie gładkie, a liście blado-zielone, wieczno-trwa-

Oyapock, i lasami przedarli się na brzegi rzeki Kaszypury (*Cachipour*) (1).

Idąc jakiś czas jej brzegiem, napotkali chaty Indyjskie, i ukradli czółno; popychając je następnie wzdłuż brzegu rzeki, za pomocą żerdzi. Tak dostali się do jeziora *Mapa* (2). Tam jedli tylko korzenie i dzikie owoce, i cały dzień przesiedzieli w chatce: lecz gdy *Tapuyasy* (3) z *Mapy*, chcieli ich odwiedzić do *Kayenny*, uciekli: jeden z nich tylko został schwytany i zapewne

łej, po odpływie morza, stoją one na suchem miejscu; w czasie przypływu zaś zalewane bywają balwanami rozmaicie, w miarę falowania Oceanu i wysokości brzegów.

(1) *Cachipour* albo *Caschipur* nazywają rzekę na gruncie neutralnym, leżących między Gujanną francuską a Brazylią.

(2) *Mapa*, nazywa się jezioro, znajdujące się na ziemi neutralnej rozdzielającej Gujannę francuską od Brazylii. Francya długo miała osadę wojskową na wyspie leżącej w środku tego jeziora. Dziś na jego wybrzeżach, zaledwie znajduje się ze dwadzieścia chat rybackich.

(3) *Tapuyas*, nazywają zwykle wszystkich Indyan niższej Amazonki, których pokolenia pomieszane i zjednoczone z białymi, tworzą większą część ludności.

oddany władzom Gujanny. Dwaj drudzy, żyli przez dwa tygodnie owocami i rakami, tak jak opowiadali, i byliby zginęli, gdybym był ich nie wyratował.

Ci, co później przybyli, uciekli również z osady francuzkiej; ale John nie wiedział dobrze jakim sposobem. Jednego dnia przywiózł ich do *Mexiany* jakiś awanturnik, których tu pełno na wszystkich pograniczach różnych krajów. Są to przemyccarze na wpół Francuzi i na wpół Brezyljczykowie; podający się za należących naprzemiany według osobistych widoków, do pierwszej lub drugiej narodowości. W *Para* uchodzą oni za wygnańców *Kayenny*, a w *Kayennie*, jako zbiegi z *Para*, są też znani i zostają pod opieką konsulów obojdwóch narodów. Człowiek ten często widywany w *Kayennie* i *Para*, mówił, że dopomógł galernikom w ucieczce, pod warunkiem, że przybędą do *Amazonki* wyrabiać dla niego kauczuk. Istotnie zajmowali się tem jakiś czas. Ale mieli częste spory z przemyccarzem swoim naczelnikiem. Ciągłe się kłócili ze wszystkimi *serengerami* *Mexiany* (1), którym chcieli wykraść kauczuk,

(1) *Mexiana*, wielka wyspa przy ujściu *Amazonki*.

nawet wśród dnia. I do tego przyszło, że odważyli się zabić Brezyljczyka z *Pernambuco* (1), który im stawiał opór. W kilka tygodni stali się postrachem wyspy. Zaniesiono skargi do zwierzchności brezyljskiej. Ale naczelnik policyi tego obwodu (obecnie już nieżyjący) był wierzyicielem przemycarza z Kayenny, na sumę 400,000 reisów (300 rub. sr.), dano mu więc do zrozumienia, że jeśli przytrzyma zbiegów wyrabiających kautczuk jego dłużnikowi, to ten nie będzie w stanie mu się wypłacić.

Pomimo tego, gdyby nawet naczelnik policyi chciał był przytrzymać zbiegów, niktby się nie ośmielił podjąć tak niebezpiecznego zlecenia; a zatem puszczone ich wolno, prosząc tylko po przyjacielsku, żeby się przenieśli do Kavianny, gdzie zbiór kautczuku miał być obfitszy. John zajmując się także przemycarstwem, był właśnie w tamtych stronach, zabrał ich z sobą, a gdy objeżdżał brzegi wyspy, chcąc wynaleźć dla nich dogodne miejsce, spostrzegł raz wieczorem ogień

(1) *Pernambuco*, nazywane przez Francuzów Fernambouc, jest to przystań Brezyljska.

w *Jurupari* (1). Popłynęli więc tam, znęceni zapewne nadzieją rabunku, a spotkawszy dwóch zbiegów z *Srebrnej-Góry*, wszyscy razem powrócili do Kavianny; John utrzymywał że *zupełnie pomimowolnie* pożyczył im czółno, którym dla okradzenia mię przyплыnęli.

John odплыnął do Belem; i zapewne złamąđ dostał się do was, możecie więc pojąć jego przestach, kiedy mię ujrział wczoraj na waszym statku.

Co do zbiegów, dowiedziałem się potem, że znowu powrócili do Kavianny, ale z drugiej strony wyspy od Oceanu; tam znaleźli tego samego przemycarza, który ich przywiózł. Nieprzebyte bagna rozdzielają mnie od nich, i mam nadzieję że się już nigdy nie ośmielą mnie odwiedzić. Przy tem pracują i zarabiają jak mi mówiono, od czterdziestu do pięćdziesięciu franków dziennie, przy wyrobie kautczuku. Dobrze was uwiadomiono że się znajdują na tej wyspie, tylko zmienili miejsce. Zapewne mieliście mnie zrazu za którego

(1) *Jurupari*, w indyjskim języku znaczy *diabeł*, i pod tem razwanierz znana jest ta wyspa na ujściu Amazonki.

z nich; ja powziąłem złe wyobrażenie o was i o waszym statku, i przekłete o nich wspomnienie, tylko co mnie nie pozbawiło miłego z wami spotkania. Tą razą, błogostawię myśliwski zapał pana Karlosa, a nawet *prororokę!* Ale teraz, drodzy goście, kiedyście wysłuchali do końca mojego opowiadania, warto już udać się na spoczynek; zaprowadzę was do namiotu.



X.

D w a s n y.

POZEGNAWSZY naszych gospodarzy, udaliśmy się na spoczynek, było już bowiem dość późno, tembardziej że zajęcia dzienne nie dozwoliły nam przespać się po południu, podług codziennego zwyczaju. Karlos ruszył natychmiast do chatki, a ja poszedłem obejrzyć czółno. Na pokładzie był tylko John i Isidorio, przystany na noc przez don Henryka, na proźbę. Wiedziałem jak nieograniczone zaufanie posiada on u swego pana, kiedy więc zostawał na statku, mogłem spokojnie przemocować na lądzie, na com się nie odważył jeszcze od wyjazdu z Para, gdyż woziłem z sobą w tej podróży mappy, papiery, różne rzeczy i zapasy, słowem wszystkie owoce mej pracy ze-

brane w trzechletniej podróży; pokładałem też bardzo słabe zaufanie w moich majtkach i całej służbie, a z trwożliwą niespokojnością skąpcą powracałem zawsze nocować na statku. Ale u don Henryka byłem tak jakby we Francyi, Isidorio, jak strażnik paryzki, zaręczał za zupełne bezpieczeństwo; zaufanie zaś jest rodzajem społeczcucia; niekiedy trudno go nabyć, dołożywszy nawet najusilniejszych starań, czasem też od razu się wkłada w serce, i wtenczas chyba znika, kiedy zostanie zawiedzione.

Cała służba okrętowa rozeszła się po lądzie, i nakształt starożytnych pogan, obchodziła uroczyscie, tajemnice dobrej Bogini. Każdy Indyanin wylądowawszy, najpierwej odbywa takie całopalenia; potem dopiero oddaje cześć bożkowi Taffi. Aż nadto dobrze były mi znane podrównikowe zwyczaje, żebym się mógł temu dziwić, powróciłem więc do mego samotnego łóżka.

Bujałem się już od kilku chwil, coraz mocniej ulegając temu drzemaniu, co to jeszcze zupełnym snem nie było; słodka to godzina, gdy nikną myśli, jak przy zmierzchu gasnącego dnia, zaczynają zstępować nocne cienie; gdy dusza u-

niesiona za granice rzeczywistego świata, kołyszę się w sennych marzeniach odbijających nasze ostatnie życzenia; kiedy na skrzydłach snu, unoszą się niekiedy czarujące złudzenia, miłośne upojenia, jakby nadzieje rozkoszy obiecywanych wiernym przez proroków, lub jak skutki opium dla tych co go używają. Podrównikowe upały, i kołyszające się hamaki, czynią nas skłonniejszymi do marzeń, niż zwykle postania w zimnych naszych klimatach.

Wtem we śnie czy na jawie, ukazała się przed mojem łóżkiem kobieta, trzymając w ręku alkarazę z świeżą wodą; a głos jej słodki przemawiał z cicha:

— O branco, biały, czy nie chcesz ugasić pragnienia, nim zaśniesz? wtedy sen twój będzie miłszym.

1 przy blasku nocnej lampy, ujrzałem mulatkę piękną, jakby ozłoconą

Promieniem słońca;

z młodą pochyloną głową tchnącą rozkoszą; z kwiatami we włosach, z uroczeni egipskiemi oczami, lubieżnie nawpół przymkniętymi miłością, które

zdobiły czarne brwi; dodajcie do tego powabne koralowe usta, białe zęby, obnażone ramiona; i na szyi roztwarta przezroczysta z batystu chusteczka. Cała jej postać była tak nęcąca jak Agara, w czasie rozmyślań Abrahama o niepłodności Sary.

Podług mnie, najlepszym południowo-amerykańskim zwyczajem jest ranne wstanie, a więc z pierwszym brzaskiem dnia wstałem, i podnosząc matę dzielącą mnie od Karlosa, wszedłem do niego, bez oznajmienia, jak to się zwykle dzieje na pustyni. Przy bladym świetle powstającej zorzy, zdało mi się widzieć żwawo uciekającą, z drugiej strony namiotu, jakąś postać, nakształt cienia tak czarnego jak noc co go okrywała. Wbrew powziętemu wczoraj zamiarowi długiego wypoczynku, zastałem już Karlosa wcale nie śpiącego, tylko wesoło gwizdał, jakąś hałaśliwą pieśń myśliwską, z miną niewypowiedzianej jakiejś zarozumiałości. Bo też pod równikiem, w świeżości woni rannej, jest jakiś upajający urok co budzi i raduj każde stworzenie.

— Czy wiesz, kochany kumie (tak mnie Karlos zawsze nazywał), czy wiesz że gościnność twego ziomka jest prawdziwie starożytna? Kie-

dym zasypiał wczoraj wieczór, niewolnica z Nubii, cała czarna przysłała w imieniu swego pana prosić mię na czarną kawę.— Wypiłem ją.— Czy don Henryk czarnoksiężnik, że wie jak bardzo lubię Afrykańską kawę?

— Stałeś się prawdziwym kreolem, kochany Karlosie, a mój ziomek zna kreolskie upodobania.

Wtem nadszedł i don Henryk.

— Jakżeście spali pod równikiem? zapytał. Czy słodkie sny nawiedziły moich gości?

— Jesteś moim cudownym prorokiem, odpowiedział Karlos, i z pełną wiarą, spałem dziś jakby w najpiękniejszym raju.

— A więc! przerwał don Henryk, łazienka blisko; naśladując ludy wschodnie idź obmyj się, a potem jeśli zechcesz mam cybuchy i pachnący tytoń,— będziemy palić fajkę na sposób wschodni.

— Jesteś gospodarzem godnym uwielbienia; myślisz o wszystkim, i przepływając morza zostawiłeś za niemi niepotrzebne Europejskie przesady. Jednem słowem pojmujesz wszystko; rozkosze, wybór jadła i lenistwo.

Don Henryk wyszedł pierwszej od nas.

— Kochany Karlosie, rzekłem, zawsze nazy-

wasz przesądem wszystkie zdania i obyczaje przeciwnie twym zwyczajom, których nabyłeś między kreolami.

— Kumie, jesteś tylko upartym Europejczykiem: nie pojmujesz wcale podróznikowego życia. Na cóż się zda podróżowanie, jeśli nie nabierzemy od każdego z ludów najlepszych zwyczajów i nie pozbędziemy się wszystkich tych staroświeckich wyobrażeń. Bo, szczególnie wy Francuzi, jesteście napojeni przesądami i niewypowiedzianie fałszywą skromnością. I tak naprzykład, u was bardzo uchodzi, nie dbając o moralność, potakiwać przywarom gościa lub przyjaciela. Jeśli lubi wykwintne jadło zapraszacie go na obiady, i częstujecie winem póki się nie spije; jeśli to szuler, wyszukujecie mu apartnerów, z którymi traci majątek po całych nocach; ale nie macie litości nad miłośnikami rozkoszy.

— Bo w Europie, mój drogi Karlosie, mniemamy że bardzo przykro oddawać ciało bez duszy, i że na tym świecie wszystko można ofiarować, wszystko zupełnie, oprócz miłości.

— Fraszki to są kumie, stare androny! Kupują i rozkosz tak jak każdą inną rzecz. Co zaś

do miłości o jakiej mówisz, gdzie ją można znaleźć?

Czy nie w waszej Europie, gdzie się żenią podług uowo-żytnych praw cywilizacyi, dla zaspokojenia materialnych potrzeb i próżności? Nie możecie nawet w waszej ojczyźnie zdobyć się na to naj-słodsze w świecie uczucie, oddać się mu z całą duszą i wszystkimi siłami. Cywilizacya, nie pozwala na taką miłość bez małżeństwa, a to małżeństwo jest najczęściej frymarkiem handlowym, do którego nie radzą się ani serca, ani zmysłów. Jeżeli się spotkają dwa majątki, przypadkiem lub czynionemi zabiegami, dwóch notaryuszów układa z wielkim kosztem umowę, pełną nieufności i widoków na zgon jednej lub drugiej strony. Wtedy ogłaszacie się z ambon, i tym sposobem profanujecie najpierwej świętą tajemnicę szczęścia, co powinna być zachowana w największej skrytości. Następnie, w licznym orszaku, czar-no ubrani jak na pogrzeb, idziecie przysięgać dozgonną wierność, wieczną miłość, nieznaną wam kobiecie, która i was nie zna; a jednak w obliczu Boga przysięga was kochać, w tej samej może chwili, i w tym nawet kościele, gdzie

rozlegają się pienia żałobne, nad zwłokami tego, którego ona kocha. I wy to nazywacie prawą miłością! Codziennie zdarza mi się widzieć w waszych Europejskich dziennikach ogłoszenie zaślubin, i na tej samej stronie doniesienia o zgonie; słusznie tak postępują wasze dzienniki, małżeństwa takie jak wy zawieracie, są już jakby pierwszą przedwstępną śmiercią. Właściwie więc donoszą razem o nowo-zaślubionych i umarłych. Wolę żyć tu, żeniąc się i rozwodząc podług wydarzonej okoliczności; przynajmniej wybór zależy od mego gustu, i pan sam kiedyś, chociaż ściśle zachowujesz europejskie obyczaje, zechcesz powrócić i na pustynię i do mojego wyobrażenia o miłości.

— Być może, na pustynię! ale nie do waszego pojmowania miłości; o nie! nigdy! serce moje więcej spragnione jak usta, i jak naszemu poecie, potrzeba mi odtąd:

Na ugaszenie pragnienia,
Mieć strumień nie skażony, czysty jak zwierciadło,
Mętną wodą psy tylko zapijają jadło.

Przyjeżdżaj do Francyi, przybywaj, nawróci-
my cię; jak przypatrzysz się naszemu szczęściu,

zapagniesz i twego; przyjeżdżaj; prędzej czy później, nadejdzie dzień, w którym ułatwimy ci sposobność spotkania na świecie jakiej pięknej, młodej dziewczyny, z długimi włosami, spokojnem czołem, jasnym spojrzeniem; tak jaką była Małgorzata, nim poznała Fausta, z wyrytą na czole prawością duszy; tak piękną, że trzeba ugiąć kolana, tak czystą, że się marzy, jak o siostrze. Wtedy ujrzemy jak wyprzesz się przeszłości, żeby uklęknąć, nieśmiało przed miłą postacią. Widziałem już tak wielu prawdziwych rozpustników, uginających się nagle przed spojrzeniem dziecka!

— Biedny kumie, jeśli tak sądzisz, ożeń się. Ja zaś zachowam kreolskie uczucia; nie mógłbym ich ugiąć do rojeń waszej cywilizacyi. Ale ty, jedź, jedź i ożeń się jak najprędzej.— Człowieka można porównać z koniem: dzikie konie na puszczy mogą ciągle błąkać się, pędząc swobodne życie; ale te co się w stadzie urodzą, pragną w niem pozostać i ocierać się jedne koło drugich, lub być porozdzielanemi. Takie też chcą mieć zawsze gotowy owies, czystą stajnię, dla pomagania sobie wzajemnie w ciężkiej pracy i bandażowania rąk zadawanych im batem; dla podtrzymywania się

także kiedyś zohopólnego, gdy spracowane nogi będą się spotykać po bruzdach. Takie zawsze powinny się zaprzęgać w parę, żeby żyć, kłócąc się jak kot z psem w jednej chacie, przeklinając swe pęta, i szamocząc się w nich jak małpy w sieci; trwa to dopóty, aż wycieńczone walkami, zbite i pokaleczone zaprzęgiem,— ruszą sobie, jedno w prawo, drugie w lewo.

— Są to zdania starego kawalera, mój dobry Karlosie. Wszystkie stworzenia na tym świecie żyją w parze, równie orły jak łabędzie. Często w małżeństwie dopiero poznaje się szczęście. Można spotkać połowę swej duszy; *animae dimidium meae*. Lecz jeśli nawet tak nie wypadnie, dwie dusze złączone na zawsze z sobą, wylewają potrochu wzajemnie swe uczucia, ustępują sobie wspólnie, i uszczęśliwiają się przez przyzwyczajenie lub też i wyrachowanie. Jak tylko wiadomo, że takie więzy są wieczne, nie rażą już one wcale. Takie zaś, co można zerwać za pierwszym urojeniem, prędszej się sprzykrzą, jak każda rzecz na świecie, a wtedy, osłabione codziennem zużyciem, zawiedzione w mglistych na-

dziejach, kruszą się od najmniejszego powiewu wiatru.

— Nie, nie, w tym razie jestem Indyanineu, przekładam moją wolność nad wszystko, zawsze i wszędzie. Lękam się wszelkich związków. Dla tego mieszkam w pustyni, żeby być zupełnie wolnym. Ale, gdybym kiedy mieszkał i w Europie, żyłbym jak tu, czyniąc zawsze zadość moim chęciom, nie dbając o świat i próżne jego zdania.

— Tak! uchodzi to czas jakiś, ale prędzej czy później trzeba się zestarzeć. Jak znikną pierwsze zapaty uczuć i przesyca się, dusza zwraca myśl na siebie i cierpi. Każdy, choćby najsilniejszy, potrzebuje czasem wynurzyć swe cierpienia lub szczęście, wsparłszy czoło na ukochanem ramieniu. Oddając się zawsze smutnym myślom coraz większy smutek osiada na sercu, jak pleśń na zbolałym drzewie. Dusza nie czuje miłości, tylko smętność w tych krótko-trwałych mniemanych małżeństwach. Nadejdzie dzień, gdy się przebudzi ze łzami i rozdartem sercem. czując swe stargane życie. Chcąc się zagłuszyć, napróżno szukamy

nowych rozkoszy, ubiegając się o nie po wszystkich rozdrożach, żeby gdzie spotkać nowy uśmiech; zawsze jednak wieczór trzeba koniecznie powrócić do opuszczonego mieszkania. Nakoniec obudzamy się znużeni zgiełkiem świata i ludźmi, ujrawszy nagle żeśmy już starzy, a przy nas tylko pies i jakiś służalec, czatujący na kość którą ogryzasz. Wtedy nieszczęścia żonatego sąsiada wydają się błogostawieństwem, i przejęci żalem, powtarzamy: gdybym był wiedział! Smutne to, o! bardzo smutne, i ci tylko, którym serce zamarło, lub przyszli na świat bez duszy, mogą tak żyć zawsze. Nie, nie, jeśli małżeństwo przestrasza cię hazardowną i długą trwałością, jeśli się obawiasz jarzma jak mówisz, jeśli się lękasz przeciwnego losu w niecofniętych jego wyrokach, unikaj przynajmniej zupełnej samotności. Ale jeśli masz żyć tylko samolubnie, to już lepiej wyszukuj i oddawaj się tym miłym związkóm miłości, skłonnościom i przyzwyczajeniu do jakich twe serce czuje pociąg, które wydają się zawsze nieskończone, a jednak zawsze się przerywają; marzenia żyjące tylko technieniem miłości, są boskie, a ludzkie wąż

się chciwością złota; świat pobłaza im choć nie upoważnia; śpiewak *Andrzeja*, Jerzy Sand, tak o tem napisał:

«Cóż może być nagannego między dwójką dziećmi pięknymi, smętnymi i opuszczonemi od reszty świata? dla czegoż pozbawiać świętego związku dwie istoty, natchnione od Boga wzajemną miłością?»

— A ja, odrzekł Karlos, mówię ci pod równikowem słońcem: cóż jest złego szukać przyjemności natchnionych gorącym niebem? dla czegoż pozbawiać się szczęścia nieszkodzącego nikomu? Godziny prędko uchodzą, śpieszmy się. Skwar słońca rozplomienia uczucia, zapominajmy o wszystkim oddani zmysłowym rozkoszom; a więc kochajmy! kochajmy! i śmiejmy się z próżnych snów starej Europy!....

I Karlos jako negrofil, gdy chodziło o Afrykanki, długo mi opowiadał o zwrotnikowych cnotach murzynek i jakie ma zdanie o zasadach miłości.....

Ale cóż tak długo rozpisałem się o zdaniach innego świata, pamiątkach kreolskiej gościnności, i urojonem widzeniu, znikłem w nocy prze-

pędzonej pod równikiem? O niech to wszystko zostanie pod zwrotnikami. Ludzie odurzeni pałającym słońcem, niepodlegli żadnym prawom w dzikiej wolności pustyni, mają zwyczaje i zdania, o których nie warto wspominać pod zimną strefą zimnej Europy.



XI.

Mieszkanie pod równikiem.

UDALIŚMY się do kąpieli wskazanej nam przez don Henryka, gdzie wkrótce i on nadszedł, zacząwszy nas namawiać żebyśmy poszli obejrzeć jego osadę i plantacye.

— Wszak wczoraj jeszcze mieliśmy ten zamiar, a przy tem jest to fatalny obowiązek każdego właściciela; idźmy więc zaraz nieodwlekając, żeby już później o tem nie myśleć.

Nigdy bardzo nie lubiłem tych przechadzek bez końca, na które zawsze zdają się skazani odwiedzający i odwiedzani: jedni, konieczni wielbiciele, a drudzy *cicerone* mimowolnie skromni którzy oprowadzają po tysięcznych zakątkach i u-

stroniach swych posiadłości. Od Japonii do Rzymu, wszędzie te same dziwne wymysły nagromadzone jeden na drugi według kaprysu człowieka, zadowolnionego ze swego gustu i dowcipu. Dla zobaczenia jednej rzeczy pięknej lub dziwacznej, w swoim rodzaju, trzeba wytrzymać oglądanie nudnych i głupich, lub tak pospolitych jak bruk w mieście. Tu wzniesiono nowy mur, którego jedyną zaletą, że zakrywa wspaniały widok; tam znowu ścięto drzewo co chroniło swym cieniem, od skwarne go słońca Sahary. Jednakże, przy pokazaniu każdego nowego przedmiotu, trzeba się unosić, o ile tylko potrafimy, nad błogimi pomyślaniami właściciela; gdyż właściciel, jest jak ojciec co nie przebacza ani przygany, ani obojętności, względem swych dzieci, w których widzi same tylko doskonałości. Jakkolwiek bądź poszliśmy z don Henrykiem.

Nie będę opisywał tysiącznych rozlicznych rzeczy; po większej części koniecznych w osadzie położonej nad brzegiem Amazonki; każdy je łatwo odgadnie. We Francyi, w mieście czy na wsi mamy liwerantów dostarczających hurtem wszystkie potrzeby życia; dosyć mieć tylko sprzęty do

codziennego użytku; ale na puszczy trzeba mieć wszystko swoje i w domu. Trzeba wystawić sobie dom, zrobić hamak, koszulę, siatkę, chleb; i gdyby mieszkańcy tych szczęśliwych krajów, mieli nasze nieskończone potrzeby, trzebaby całego pokolenia do usług dla jednego człowieka. Na tem więc skończę moje opowiadanie, że każdego rodzaju rzemieślnik znalazłby u don Henryka, potrzebne do swej roboty narzędzia.

Najprzód ujrzelśmy, pod obszerną szopą, okrytą liścianym dachem, starego murzyna, z pomarszczoną twarzą, z siwą rzadkimi włosami okrytą brodą i głową, palącego długą indyjską fajkę, który siedząc na ziemi robił słomiany kapelus z *Uaruma-miri* (1). Koło niego, *Tapuyas*, skulony, rozłupywał pień *murutisu* (2) przeznaczono-

(1) *Uaruma-miri*, jest to roślina z szerokimi liśćmi, której włókna pokrajane na słomki rozmaitej długości i grubości, służą do wyrabiania kapeluszy, koszów, *tipitisów* i t. d. Jest ona bardzo pospolita w dolnej Amazonce.

(2) Drzewo palmowe zwane *muruti* albo *miriti* jest najwyższém i najgrubszém ze znajdujących się w dolnej Amazonce. Znajduje się obficie na wszystkich prawie wyspach leżących przy ujściu tej wielkiej rzeki.

ny na podłogę do chaty, i chociaż nie był zmęczony, sapał jak kowal. Nie widziałem nigdy tak zręcznych cieśli jak Indyanie z Amazonki. Przyzwyczajeni wszystko obrabiać siekierą: czółna, deski, belki etc.; obcinają z niezmierną zręcznością drzewa od których często szczyrbi się żelazo, jak naprzykład korzeń stojowaty *Kopahyby* lub *Murapinima*. Naokoło tych dwóch ludzi, znajdowały się rozrzucone różne narzędzia, zagaszony piec kuźniany, warsztat stolarski, koło tokarskie, kleszcze, krosna tkackie, etc.; dowodziło to żeśmy byli w wielkiej pracowni osady pod równikiem.

Nad brzegiem wody, stopy orzechów z *Andiroby* (1) okrywają do połowy nieprzeliczone mnóstwo glinianych garnków i próżnych butli przeznaczonych na olej z leżących przy nich owoców. Ziarna z *urukurikajów*, z których się wyrabia kauczuk, stoją w dużych koszach gotowe do wystania do *serengalów* (2). Osłaniający je lekki dach

(1) Z jądra orzechów *Andiroby*, najczęściej wyrabiają olej do palenia, będący w powszechnem użyciu w dolnej Amazonce.

(2) *Serengal*, jest to buda w której wyrabiają kauczuk.

zrobiony z bananowych liści, przystawiony i oparty o stodołę przykrytą liśćmi *boiu-assu* (1), w której złożono stosami ryż nie otluczony jeszcze, podobny do ziarna owsa okrytego białawą plewą. Nad nim, poprzywiązywane tuzinami, setki kłosów kukuryzy, żółtej jak złote ziarna, lub fioletowej jak *oberżynki*, wiszą z dachu, nawpół okryte żółtawą korą; ranny powiew wiatru szeleścił po tych uschłych liściach, a gospodarz przechodząc rzekł do mnie:

— Czy ci to nie przypomina wiatru szumiącego po zeschniętych liściach w naszych lasach?

— Niestety! odpowiedziałem, nie jest to ojczysty wietrzyk.

— Tak; ale też i nie mroźny wiatr zimowy. Zobaczysz, pożałujesz kiedyś pobytu pod równikiem, i ten wiatr ciepły, i to słońce, któremu złorzeczysz, kiedyś będziesz przywoływał, tak jak w cierpieniu wzywamy matki. Ci co mieszkali w naszym gorącym klimacie i powracają do Euro-

(1) *Boiu-assu* albo *bassu*, jest rodzaj palmowego drzewa z długimi liśćmi od dziesięciu do piętnastu stóp.

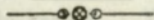
py, podobni są do jak wzbogaconego biedaka, co znowu popada w ubóstwo. Kiedy na przyszłą zimę, w czasie waszych śnieżnych i mroźnych nocy, będziesz przechodził przez bulwary, znosząc zimno i kuląc się pod ciężkim płaszczem, wspomnij sobie don Henryka.

— Przyjacielu, gdybyś wiedział ile razy wspominałem już o tém od trzech miesięcy!

Niedaleko od pola okrytego trzcinaą cukrową, ujrzeliśmy młyn postawiony z małym zachodem, prosty na wzór starożytnych, podobny do tych, które spotkać można we wszystkich osadach. Zupełnie taki sam jakie się znajdują w Peru. Dwa trzony drzewa wygładzone i obok siebie leżące, podparte dwoma słupami, poruszane siłą ludzką, jak przy naszych studniach we Francyi, obracają się koło jednego punktu i rozgniatają trzcinę. Ztąd zbierają sok i trzcinę startą na miazgę w miedziane kadzie, ustawione na glinianych piecach, skąd wkrótce wydobywają syrop lub melas. Przystawiony do jednej z tych kadzi, duży alembik pół-miedziany a pół-drewniany, służy do przepędzania taffi.

— Czy poznajesz młyn Peruński zwany *trapisz*?

zapytał mnie don Henryk; zrobiony on po prostu, lecz inaczej musiałbym sprowadzić całą czeredę mechaników i robotników, a ci odkryliby moją *Tebaide* i popsułoby mi wszystko. Niech lepiej będzie taki młyn prosty jakim jest. Zresztą syrop z trzciny wyrabiam tylko do tafii, i ile potrzebuję go na własny użytek, mam zaś większy dochód z kauczuku.



XII.

M a n i o k.

ZA MŁYNEM w dole złożono Maniok gotowy do wytarcia. Ten rodzaj zboża południowej Ameryki i wszystkich podzwrotnikowych krajów, powszechnie jest znanym. Jest to korzeń dosyć podobny do czarnej rzodkwi, chociaż dłuższy i podługowatego kształtu, wyrasta przez sześć lub ośm miesięcy, formując krzak około siedmiu stóp wysoki. Gatunków manioku jest od piętnastu do dwudziestu. Zwykle sadzą go w Maju i Czerwcu. Gdy dojrzeje, ścinają krzaki i wrywają korzenie, zagłębione w ziemi kupkami jak nasze kartofie.

Indyane z górnej Amazonki sadzą go zwykle na wyspach znajdujących się na tej rzece, dla tego żeby nie karczować gruntu przed posadzeniem. Jak tylko wody zaczną opadać, opuszczają swe siedziby, przybywając na wyspę, gdzie płaskie i otwarte brzegi, przed kilką dniami jeszcze były zalane wodą, na dwie a czasem i trzy mile. Takie grunta naniesione są najżyźniejszym w świecie mułem, przesiąknięte błotnistą wodą Amazonki, rozgrzane palącym słońcem, przy ożywiających świeżością, lecz nie zimnych nocach, i zawsze ciepłych deszczach. Wszystko tam w oczach rośnie, drzewa, krzewy, trzcina. W tydzień po posadzeniu ukazują się liście manioku, a w sześć miesięcy i korzenie są dojrzałe. Oczekując na żniwo, przebywają tam całe pokolenia, i trudnią się tymczasem polowaniem i rybołówstwem. Kiedy woda znowu zaczyna podnosić się i zalewać brzegi, każdy wyrywa korzenie swego manioku, dojrzałe lub nie, i powraca do swych sadzib albo rozsianych daleko mieszkań. Indyane pędzą życie koczujące, spokojne, niedbałe, życia takiego nie pojmują w Europie; rozszerzająca się bowiem cywilizacya wygnała ich do środ-

kowej Ameryki; a wkrótce może życie takie nawet zupełnie zniknie w tym kraju.

Zdaje mi się że widzę teraz jeszcze, a zachowam bardzo długo w pamięci, to com tak często widywał w Amazonce, w Peru, lub Brezylji, kiedy cały dzień oddani pracy, spóźniliśmy się nieraz i przepędzili noc na brzegu. Zaledwie błysznie pierwszy promień słońca, już czółno a częściej jeszcze *uba* na której wiosłuje cztery lub pięć Indyanek przybija do brzegu. Na środku czółna leży rozparty na bananach Indyanin, mąż lub ojciec tej rodziny. Dużo dzieci nagich jak robaki, wysiada najprzód i biega po brzegu szukając muszli lub kijów naniesionych wylewem rzeki. Potem wysiada mężczyzna, spokojny, powolny, milczący; całe jego ubranie składają spodnie z czerwonej i grubej bawełny, okrywające go od pasa do kolan. W jednej ręce trzyma szablę do wycinania drzewa i długą indyjską zatrutą rurkę (1), którą zabija bez huku ptaki i

(1) Rurki te długie na pięć lub ośm stóp, są zrobione z dwóch kawałków wydrążonego drzewa, wyglądzone we środku, złożone z sobą i związane korą; a po wierzchu pociągnięte żywicą.

tygrysy; w drugiej niesie siatkowy woreczek, zawierający w sobie garnuszek z trucizną, haczyki do wędki, krzesiwo, jedwab z *suma-uma* (1) do strzały (2), fajkę i tytoń skręcony w powrozy. Ogląda się on obojętnie naokoło i siada na

(1) Jedwab ten wyrabia się z pewnych wielkich drzew, jest on cienki, krótki, świecący, trochę podobny do naszych jedwabnych włóków. Bywa biały i rudawy. Znajduje się nader obficie na brzegach Amazonki i mógłby być przedmiotem użytecznym w handlu. Robiono różne próby w tym względzie, lecz się nie udały. Uważano że włókno jest zbyt krótkie i dla tego trudne do przędzenia. Jednakże sądzę że byłoby łatwo i korzystnie wprowadzić go w użycie, szczególnie teraz z wydoskonaleniem maszyn mechanicznych. Z jedwabiu *suma-uma*, wyrabiają w kraju poduszki, materace, etc. Indyjanie używają go wyłącznie do strzał swych zatrutych. *Sarbakanami* zwanych.

(2) Strzały te długie od siedmiu do dziesięciu cali; grube jak dobre zapałki, zrobione są z lekkiego drzewa, ale tak twardego że przebić niém można prawie każde drzewo. Jeden koniec strzały jest spiczasty jak igła i zatruty tak gwałtowną trucizną, że w kilka minut zabija tygrysa i inne zwierzęta. Środek strzały i przeciwny koniec są okręcone jedną lub dwiema małemi kulkami jedwabiu z *suma-uma*, ale nie mocno, tak że za dmuchnięciem przesuwa się strzała przez długą rurkę.

najwynioślejszym brzegu. Następnie wysiadają kobiety, wyciągają czółno na brzeg, i kładą u nóg Indyanina banany, paki pokrajanego manio-ku, i kilka glinianych garnków. Elegantki noszą spódnice i otwarte koszule kończące się u pasa przed spódnicą. Starsze zaś lub mniej dbające o siebie, które już niczego nie pragną i niczego się nie spodziewają, mniej zwracają uwagi na swe ubranie, i takie—koło Amazonki—noszą tylko spódnice. A przy wpadających do niej rzekach, to jest u zupełnie dzikich Indyan, pierwsze noszą muszle, konchy, albo korę z drzewa; — a inne nic wcale. Wszystko jest względne na tym Bożym świecie.

Kobiety zaledwie przyplłyną, biorą szable do ścinania drzew, rozchodzą się w różne strony i nacinają długiej trzciny *canna brava* (1), wysokości na dziesięć stóp; jest ona podobna do dzikiej cukrowej trzciny. Po kilku chwilach każda z nich powraca dźwigając wiązkę, jak owa nie-

(1). Trzcina tego rodzaju rośnie nadzwyczaj obficie, osobliwie w górnej Amazonce, gdzie całe płaszczyny są nią okryte, na wyspach i brzegach tej wielkiej rzeki.

wiasta biblijna, wybiera z przyniesionej kopy cztery najgrubsze trzciny, i każdą wbija w ziemię, o pięć stóp jedną od drugiej. O cztery stopy nad ziemią przełamuje one na w pół uderzając szablą, i zgina w przełamaniu każdy z czterech wiszących wierzchołków. Następnie spaja po dwie razem, przywiązując łykiem lub liśmi *canna bravy*: później, gdy już są należycie zgięte, mocno powiązane i tworzą jakby zrąb chatki, przykrywa je pozostałą trzcina. Otóż i dom skończony. Wiele nocy przespałem pod takimi dachami, i częstokroć daleko spokojniej niż pod naszymi przepyszными pokrowami, gdzie trudno czasem sen znaleźć. Nie znane tam troski ni trwoga: polowanie lub rybołówstwo wystarczają na codzienne potrzeby; życie upływa bez gorzkich myśli, jak sen jaki.

Jeżeli jest kilka kobiet Indyjskich z jednej chaty, wtedy, podczas, gdy jedna robi namiot, drugie idą po inną trzcinę na łożko, i na brzeg po drzewo, żeby ogień rozpalić; jeśli tylko jedna, idzie ona po kolei sama po wszystko, i milcząc zbiera drzewo i trzcinę. Tymczasem dzieci ciągle bawią się na brzegu, a Indyanin za-

wsze poważnie siedzący kraje sobie spokojnie tytuń.

Kiedy już jest dość drzewa, gotowy ogień, Indyanka idzie do rzeki, czerpie wodę w kociołek, ustawia go na ogniu podpierając deską wbitą do ziemi, potem napełnia bananami, soloną rybą i pieprzem tureckim.

Wtedy mężczyzna przychodzi zapalić fajkę i siada przy ogniu, przypatrując się spokojnie lecz zdaleka, przygotowującej się uczcie.

Gdy ryba już ugotowana, zajada; najadłszy się po uszy, wstaje, bierze długą rurkę, i odchodzi nie wymówiwszy ani słowa. Wtedy dopiero jedzą kobiety i dzieci, a jeśli co zostanie, wyrzucają to rybóm w Amazonce.

Poczem, każda Indyanka bierze wiązkę swą manioku, którą niesie na obrane przez siebie pole. Tam aż do nocy nie zważając na deszcz lub upał, uzbrojona ostrym kijem zahartowanym w ogniu, robi w ziemi dziury w nieregularnej odległości, gdzie zasadza swe gałazki. Gdy zmrok zapada powraca do namiotu. Jest tam już i Indyanin, śpi on rozciągnięty na brze-

gu lub kąpie się w rzece. Ona znowu ogień rozpala i gotuje jedzenie jak rano; a nazajutrz zaczyna od tego, co robiła w dniu poprzednim. Gdy już skończy sadzić, opiela maniok z rosnących chwastów; lub też suszy na słońcu ryby i zwierzynę co przyniósł Indyanin; albo tka, szyje, pierze i łąta ciągle to spodnie dla ojca czy męża, albo własną spodnicę podartą cierniem w lesie. A jak maniok dojrzeje, znowu ona słabemi rękami pójdzie ścinać gałęzie krzewów i wyrywać z ziemi ich korzenie; sama porobi kosze z *uaruma-miri* do przenoszenia zbioru, i jeszcze ona, zawsze ona, sama jedna, zgięta, z pochylonem czołem, pod twardą korą, przytrzymując na grzbiecie pełen kosz korzeni, pozanosi aż do czółna całoroczny plon. I taka praca trwa sześć miesięcy, i następnie i zawsze.

O! wy Panie nasze, co narzekacie, kiedy codzienna suknia nie dość kosztowna, wy ukochane serc naszych, żony, siostry, lub kochanki; wy co życie zawsze ubóstwiane: którym ojcowie, bracia, mężowie, kochankowie, przychodzimy poświęcać wszystkich, wszystko i zawsze; popłynicie do Amazonki, przypatrzcie się, jakie

życie pędzi Indyanka, taka sama jak i wy piękna połówka rodzaju ludzkiego!

Gdy już pozbierano wszystkie korzenie manioku, tłuką je miedzianami lub blaszanymi raszplami, które są wyrobione w dziurki i ząbkowate jak tartki do cukru w cukierniach. U dzikich Indyan, gdzie metale nie są znane lub zbyt drogie, taka tartka składa się z deski pościągniętej stwardniałą żywicą, przytrzymującą potłuczone kości, które są poosadzane na wierzchu, jak na szczęce rekina.

Następnie biorą *tipiti*; jest to jakby długa kiszka od czterech do pięciu stóp, mająca cztery cale średnicy, podobna do rury od pieca, wypleciona z kory *uaruma-miri*, mocniejszej niż drut żelazny i tak sprężystej jak kauczuk. Taka rura jest zakończona z każdej strony wyplecioną sprzączką. Napęniają ją całą utartym maniokiem, bardzo wtedy podobnym do utartych kartofli. Ponieważ ta długa rura jest elastyczną, rozciągają jej średnicę w miarę długości, napychając miazgą z utartego manioku. Wieszają takową na belce od dachu na jednej obręczce, a za drugą zawieszają się człowiek tak jak dzwon-

nik, gdy chce poruszyć wielki dzwon. Rura coraz więcej się wyciąga ściskając utarty maniok, którego sok sączy się przez ciasne oczka *tipiti*. Wyciskają go tak przez kilka dni, a potem wyjmują dla przyrządzenia mąki.

Trzeba koniecznie maniok mocno wyciskać, ponieważ ten sok jest trucizną. Za pomocą *tipiti*, którą łatwo by zastąpić jakąkolwiek prassą, trucizna ścieka i zostaje sama mąka. Kreolowie twierdzą, że skóra, którą okryte są korzenie manioku, jest środkiem przeciw truciznie soku. Mówią, że gdyby tarto korzenie nie oskrobując, sok przerabiałby się ze skórą, i zarazyby można suszyć mąkę na słońcu lub przy ogniu, nie obawiając się osadu zatrutego, który usuwa wyciskanie prassą. Na zasadzie tego zdania, pokazują krowy, tapiry etc. pożywające nieszkodliwie surowy maniok. Ponieważ widywałem w naszych lasach krowy jedzące zatrute grzyby bez złego skutku, a że zupełnie nie rozumiem w czem zachodzi podobieństwo lub różnica między ludzkim, a bydlęcym żołądkiem, nie umiem powiedzieć nic stanowczego w tym względzie.

Ale i tego także zrozumieć nie mogę, dla czego tego korzenia, co tak obficie rośnie, wydają-

cego zarazem i drzewo, które starte na miazgę ma smak przyjemny i tak prawie nasycający jak zboże, z którego mamy *tapiokę* ogólnie znaną, nie zaaklimatyzowano dotąd w południowej Francji, szczególnie zaś w Algierze, kiedy już się znajduje w Piemencie. Jeżeli obawiano się części truciznowych, jakie są w manioku, to przecież jest pewien jego gatunek, szczególnie zwany pospolicie *youca macachera* czyli słodki maniok, nie mający w sobie wcale trucizny, i ten możnaby spróbować. Kto wie jakie jeszcze zrobiłby przysługi dla starej Europy maniok, to zboże Południowej Ameryki?

Tak jak u nas zboże, maniok służy do różnych użytków. Trucizna wyciśnięta z *tipiti*, potem przegotowana i pomieszana z pieprzem tureckim, tworzy rodzaj musztardy i sosu bardzo znanego koło Amazonki pod nazwaniem *tucupi*. Indianie wygotowują z korzeni *youki* napój, mający smak przyjemny, i bardzo używany w Południowej Ameryce. Ze sposobu wyrabiania tego napoju, można powziąć wyobrażenie o obyczajach indyjskich.

Przy wielkiem ognisku rozpalonem na środ-

ku namiotu, gotuje się maniok nalany wodą, w czterech lub pięciu kotłach glinianych. Naokoło kobiety nagie lub na wpół okryte, podług plemienia z jakiego pochodzą, z rozpuszczonemi i spadającemi na ramiona włosami, z poczernionemi zębami *rifaję* (1) stoją, to znowu przysiadają, ale zawsze baczniem okiem pilnując kotłów, wyciągając korzenie, gdy uważają, że się już ugotowały, i wrzucając je do *uby* (2) postawionej blisko ognia.

Po upływie jakiegoś czasu, z kolei każda Indyanka opuszcza swe miejsce i idzie z powagą plunąć do *uby*, z miną i ruchem podobnym do majtka żującego tytoń. Z boku czółna, na ziemi siedzą dwie inne Indyanki, i palcami obłupują rozpaloną korę z *youkasów*; za każdym

(1) Małą tę roślinkę Indyanki żują dla poczernienia sobie zębów. Utrzymują one, że ta farba dobrze zachowuje zęby i chroni je od bólu. Nie używają tego powszechnie, tylko wyłącznie w niektórych plemionach.

(2) Stare czółna lub *uby* służą Indyanom za sprzęty. Z całych robią łózka, i wielkie naczynia do wody, oleju etc., a przecięte na wpół z przyprawionemi nogami, służą zamiast ławek etc.

sparzeniem się zaprzestają na chwilę roboty, a potem znowu biorą się do niej nie wyrzekłszy ani słowa. Kiedy już wszystko, co się gotowało przy ogniu do ostatniego kawałeczka, zostanie wrzucone do *uby*, wszystkie kobiety kłękają naokoło czółna; potem tak jak praczki piorące bieliznę, rozgniatają rękami ugotowane korzenie; i przez cały czas trą, żują i wrzucają znowu do czółna kawałki manioku. Mówią, że tym tylko sposobem napój będzie fermentował!— Chociaż wiele Indyanek utraciło zęby przy tem zajęciu, jednak wszystkie uważają sobie za chlubę, że potrafiły utworzyć rodzaj drożdży służących do napoju dla mężczyzn! Kiedy już wszystko wygniecione, najstarsza podnosi się, i daje znak; wtedy każda z kobiet idzie po swe wielkie naczynie, podobne do starożytnej amfory bez uszów, dziwacznie pomalowane, jak one same. Następnie wrzuca w nie pięć lub sześć garści ciasta *youki*, a potem napełnia je rzezną wodą. A zaniósłszy do swej chaty, przykrywa naczynie kawałkami liści bananowych, i w przeciągu czterech do ośmiu dni, *chicha* już jest dobrą do picia, ma smak kwaskowaty podobny do mleka

kwaśnego. Mówiono mi, że nie trzeba patrzeć jak wino robią ani jak jeść gotują, ponieważ kucharze dodają do sosów różne nie nader przyjemne mieszaniny, a uprawiający winnice wylęczają winogrona nogami wątpliwej czystości.

Korzenie manioku służą również do pędzenia wódki znanej w Brezylji pod nazwiskiem *beizu*, i robienia różnych innych napojów, słodkich i fermentowanych, które są odmienne w każdym kraju; powszechniej wszakże używają je na mąkę, chleb i ciasta.

W całej prawie Brezylji jedzą tę mąkę nieosobliwej dobroci; gdyby jej używano we Francji, potrafiłoby przyrządzać ją smaczniej, przynajmniej przy zaprawie sosów; ale do pieczenia chleba jest ona mniej dobrą. Na Amazonce, białym podają w filiżankach taką mąkę; a murzydom w koszach. Panowie i niewolnicy biorą takową palcami, suchą lub rozpuszczoną w wodzie albo rosole. W osadach Kayenny, Peru, Boliwii, pod równikiem etc. i u wielu dzikich Indian Południowej Ameryki wypiekają z tej mąki rodzaj chleba w kształcie placków płaskich i okrągłych, nazywanych przez Brezyljczyków

beizu-xica; a przez kreolów w Kayennie *cassave*. Wszędzie wypiekają ciasta, suchary, etc.

Na brzegach wielkiej tej rzeki, wyrabiają dwa rodzaje mąki przedawane zwykle w handlu dużemi koszami od 30 do 60 funtów. Jeden nazwany *farina secca*, albo sucha mąka, jest to maniok wysuszony zaraz po wydobyciu z *tipiti*. Z wycisniętego manioku robią także *tapiokę*, czyli maniokowy łrochmal. Chcąc go otrzymać myje się mąka w wodzie. Mączka będąca *tapioką* ustaje się. Zlewają wodę i cząstki drzewne, potem suszą mączkę. Po zlanii wody, mąkę trzeba zaraz rozcierać z wodą w kadzi, potem wygotowywać do zupełnej suchości. Sama długo się przechowuje, nawet przeszło rok i nie podlega zepsuciu: i to jest *couaqua* Kayenska. W całej brezylijskiej Amazonce służy za chleb, i wraz z rybą soloną składa główne prawie pożywienie murzynów i Indyan. Spożywają jej nadzwyczaj wiele.

Każdą razą, gdy Indyanin je lub pije, a oni jadają i piją na sposób kaczek, idzie do kosza z mąką i nasypuje z wierzchem szeroki swój *kui*, duży jak filiżanka od kawy dawniejszych czasów. Jeśli je, za każdym połkniętym kawałkiem

ryby, pięcioma palcami nabrawszy z *kui* mąki, wkłada do gęby niezmiernie otwartej, całą garść mąki; jeżeli chce pić, schyla się do rzeki, i płynącą wodą dopełnia filiżankę, pełną już manio-ku. Mąka zwierzchu porwana pędem wody spływa zostawując żółty ślad unoszony biegiem rzeki. Dozwala jej tak długo spływać przypatrując się, w którą stronę płynie unoszona mąka. Nakoniec namyśla się wyjąć z wody swój *kui*. Wtedy miesza palcami pozostałą mąkę, pije ile tylko może, jednym tchem, a czego nie może wypić, wyrzuca na rzekę. Nazywają to oni *mingao*. Ponieważ w przecięciu, 1 funt mąki wynosi wartości tylko 40 reisów czyli 3 grosze, więc *mingao* niewiele kosztuje. Ale mało to ich obchodzi, czy wiele czy mało, trzeba żeby mąka koniecznie popłynęła po rzece.

Z początku żeglując po Amazonce, powstajemy przeciw takim zwyczajom. W miesiąc później, pobłażamy im, a przy końcu roku sami robimy *mingao*, i jak Indyanie zmywamy mąkę i przypatrujemy się unoszonej pędem wody, i razem z nimi pijemy ten gęsty napój, najnie-smaczniejszy, jaki mi się zdarzyło kiedykolwiek

pieć w życiu. Przykład jest to kusiciel, który zacząwszy od Adama naszego praojca, pociąga i uwodzi wszystkich ludzi na tym świecie.

Brat mój i ja zawsze zaliczaliśmy to przyzwyczajenie na karb wielkiej nieogłędności Indyan, gdy pewnego dnia jeden z naszych majtkow, co zanadto uczył Bachusa, wziął kosz maki stojący przy nas i poważnie, z sumienną powolnością korzennego kupca zlewającego syrop do beczki, zaczął spuszczać maniok do rzeki. Mój brat wstrzymał to jego bachusowe dziwactwo: lecz Indyanin obrócił się do niego i rzekł z rodzajem brytańskiej flegmy.

— Panie, czemu nie pozwalasz mi pokarmić ryb tej rzeki? wkrótce może złowię kilka z tych właśnie, co teraz karmię.

Zresztą mówią, że Cesarz zeszedł raz strażnika rządowych lasów wypalającego umyślnie drzewo na popiół, sam nawet pamiętam, jak pewnego razu w dzień a raczej w noc, gdym pracował w bibliotece *Luxemburskiej*, spostrzegłem młodego Owerniaka, siedzącego przed ogniem, i z powagą rzucającego węń polana, jakby gwardzista narodowy będący na odwachu.

— Co tam robisz, malecze, i na co tak duży ogień?

— Wypalam popiół.

— Jako popiół?

— Tak, panie, dwóch nas kolejno co noc wypalamy drzewo na popiół; potem oddajemy naszemu panu, a ten sprzedaje.

Chociaż jako podbibliotekarz, nie miałem obowiązku przeszkadzać rujnującej spekulacji tego młodego przemysłowca, prosiłem go wszakże, żeby zaprzestał wypalać popiół z uszczerbkiem skarbu.

Lecz niestety! niestety! ileż to ludzi na świecie, bez własnej korzyści, z cudzego mienia, wypala popiół lub robi *mingao*! Chciwe samolubstwo wrodzone ludziom, przybiera rozmaite barwy, lecz w gruncie zawsze też same.

Przeszliśmy pola manioku, gdzie ubiłem kilka małych synogarlic, nazywanych *ortolanami* w Kayennie. Są one cokolwiek większe od naszych skowronków, jak przepiórki we Wrześniu; nigdzie ich napotkać nie można, tylko w bliskości mieszkań. Niezmiernie są liczne w okolicach Kayenny i Peru, i bardzo pospolite w całej Po-

łudniowej Ameryce. Widać je jak biegając podlatują między łądygami manioku, wyszukując ziarna lub owadów po wykarczowanym gruncie. Strzeła się do nich tylko trzecią częścią naboju, gdyż podleciawszy zostają tak blisko strzelca, że byłyby rozerwane na kawałki całym nabojem. Tylko Europejczycy polują na nie; zwyczajni krajowcy nie dbają o to, jak i o każdą drobną zwierzynę. W kilka godzin można ich łatwo ubić dwadzieścia pięć do trzydziestu, na przestrzeni plantacyi manioku tak wielkiej jak plac *Zgody* w Paryżu. Niezawodnie jest to najlepsza zwierzyna południowej Ameryki, a jadając je we właściwej porze, nie ustępują naszym tuczonym ortolanom i są większe.

XIII.

Gujana i folwarki na Sawannach.

ZWIEDZIWSZY pola okryte trzcina, ryżem, kukuryzą, etc., spostrześliśmy kilka krów krajowych, niewielkich i tłustych, wolno pasących się na polu okrytym *kapimem* czyli gwinejską trawą, która bywa zalewana w czasie pzyżywu morza, i zawsze jest zieloną. Zapytałem mego gospodarza, dla czego mieszkając w Kawiannie, mającej zapewne tak obszerne łąki jak *Marajo*, nie utrzymuje bydła, przynajmniej na domową potrzebę.

— Mam o kilka mil ztąd, odpowiedział, prawie w środku wyspy, mały folwark (1), z trzy-

(1) Mały folwarczek gdzie wychowują bydło, albo raczej blisko którego bydło same się wychowuje, nazywają w Gujanie *hatterie*, a w Brezylji *fazenda*.

stu sztukami bydła, co wystarcza, a nawet przewyższa moje potrzeby, bo chociaż zawsze jadamy mięso, pomimo tego corok sprzedaję jeszcze sztuk kilkanaście. Po kautczuku jest to najlepszy handel w tych stronach, można na niem wiele zarobić, i nie pojmuję dla czego w Gujanie nie hodują więcej bydła. Obszerne łąki rozciągające się wzdłuż wybrzeży morskich od Orenoku do Amazonki, mogłyby być dostatecznym pastwiskiem dla bydła na cały świat; smutna to rzecz, widzieć tak dużo żyznych łąk pustych zupełnie, tyle urodzajnej ziemi zarosłej lasami, kiedy tam, w naszej Europie, ludzie żyją tak ciasno i gromadnie jak mrówki, tłocząc się prawie jeden na drugiego, i z trudnością mogąc się wyżywić. Gdyby jednak Francya chciała! coby to być mogła za przyszłość takiej kolonii.

— Ba! zawołał Karlos, który znał Gujanę tylko z książek, tak jak wielu, łącząc przy tem jeszcze europejskie przesady, wasza Gujana jest grobem, umierają tam i zawsze umierać będą. Jest to wielki cmentarz i nic więcej. Różnego rodzaju próby czynione co do kolonizacyi, uprawy gruntów, zakładania osad, i małych folwarków,

nakoniec wszelkie doświadczenia nieudały się i musiano ich zaniechać.

— Otóż to, rzekł don Henryk, we Francyi mówiąc o Gujannie, wszyscy tak sądzą, Rozliczne robiono próby, wszystkie się nie udały! Lecz nikt nie bada dla czego, kiedy i jak. Ach! nie-szczęśliwa Gujano! jeśli wygnańcy Sinnamary u-cierpieli na niegościnnych twych brzegach, sro-dze się za to zemścili oczerniając twój klimat i grunta! Czy bez pieczołowitych starań twej matki, bez czasu, stałeś się od razu dużym i silnym Karlosem jakim cię teraz widzimy? Mniemasz-że iż Hollandya, ta wasza delta (trójkątny kawał ziemi uprawnej), była zawsze tak obficie okryta uprawnemi zagonami, ogrodami, tulipanami? Są-dzicie może, iż wasza Europa była zawsze tak jak dziś rozsadnikiem ludzkości? Czy myślicie że osada wschodzi jak grzyby? to istne szaleństwo ta-kie mniemanie!

Mówicie o próbach bezużytecznych; a więc po-wiem wam tylko o tem co się tycze chowu by-dła; wszakże zakładano folwarki, i one udały się najzupełniej; żadną zatem miarą nie byli zmusze-ni ich porzucać; a jeżeli dziś już ich nie ma, i

nawet w całej Gujannie francuzkiej nie znalazłoby się więcej jak dziesięć; to dla czego? oto dla tego, że je wyczerpywają nie czyniąc żadnych nowych nakładów. Kiedy przez wasze rewolucye zrujnowani zostali nieszczęśliwi kreolowie, brak przezorności i potrzeby nędznej ludności, coraz więcej się wzmagające, wyczerpały zasoby, z których na przyszłość nie mogli już korzystać. Nie ganię im zresztą tego. Kiedy trzeba żyć, nieraz przychodzi eskontować przyszłość, i sprzedać wszystko aż do strzechy swych pradziadów.

— Jeśli te folwarki są tak korzystne, dla czegoż nie hodujesz bydła? Zapytał Karlos.

Ponieważ mam większe zyski a mniej kłopotu wyrabiając kautczuk, który bez pracy, bez wydatków i prawie bez dozoru, przynosi mi za każdego robotnika niemal dochodu dziennie od 25 do 30 franków; któryż wiec w świecie folwarek czyni taki dochód; lecz gdybym mieszkał w samej Gujannie, zająłbym się pewnie chowem bydła.

— Dla czegoż jednak nikt tam o tem nie pomyśli dotąd? Często widać kajeńskie statki przybywające do Para, które jak o łaskę błagają Brazylijczyków o mięso, a ci dają je jak jałmużnę,

sprzedając jeszcze po niesłychanej cenie. Nie lepiej-że byłoby zamiast kupować wołowinę, uganijając się za nią ciągle z Orenoko do Amazonki, nakupić bydła i zająć się jego hodowaniem?

— Mój drogi Karlosie, będzie też tak prędeż, czy później. Znam Gujaunę; wiele razy polowałem po obszernych jej Sawannach podobnych do naszych; miałem stosunki z wielu *fazenderami*, jak tu nazywają tych co zajmują się chowem bydła, i sam jestem *fazenderem*. Wierzaj mi, jest to najkorzystniejszy handel w tych stronach. Oto masz czysty jego rachunek: Jeśli puścisz na łąki sto krów, ocielą się najmniej sześćdziesiąt. Z sześćdziesięciu przybyłej młodzieży, niech dwadzieścia zdechnie, nim dorosnie trzech lat, od zarazy lub pochwytnie przez tygrysów, piętnaście wystarcza na rozmnożenie stada, a dwadzieścia pięć zostaje corok na sprzedaż.

Zwykle u nas zauważano, że stado bydła, jeśli się wychowuje cielęta, a na mięso obraca się tylko sztuki już starsze, w cztery lata podwaja się. A przez ten czas, skóry i mięso zarzniętych bydła, wynagradzają koszt dozoru i przynoszą pięć do dziesięciu procentów od sta od

summy wydanej na kupno przy zaprowadzeniu stada.

Przedsięwzięcie takie równie się udaje i w Gujannie. Czy wiecie ile stado rogatego bydła, wprowadzone do Kayenny w 1763 r. w ilości tysiąca pięciuset sztuk wynosiło w 1769, czyli w sześć lat później? Siedm tysięcy sztuk. Od Arawari do Oyapoku w naszym okręgu niestęśnie będącym pod kwestją, liczą przeszło osmdziesiąt mil kwadratowych samych łąk zupełnie pustych, a zacząwszy od Oyapok do Orenoku, cała nadbrzeżna okolica, której grunta wszęć ciągną się na dwie mile, jest pokryta niezmięzonemi łąkami, a na nich nie ma nawet ani dwóch setnych części tego bydła, któreby mogły one wyżywić. W obecnym stanie rzeczy, mila może wykarmić tysiąc sztuk, a łąki w Gujanie są jak każdy pastewnik im więcej pasą na nim bydła, tem jest żyźniejszy. Jedna francuzka osada, mogłaby wykarmić przeszło sto tysięcy sztuk rogatego bydła. Pomięmo to wszystko, za funt mięsa wołowego płaci się w Kayennie 1 fr. 10 cent. (27 kop. sr.), i to jeszcze rzadko można go dostać. W Brezylji takie same mięso kosztuje od dziesięciu do dwu-

dziestn reisów (3 do 6 centymów) 1½ kop. sr. za funt, a w Belem lub Para, pomimo cła brezylijskiego, i wielkich zysków naszych *fazenderów*, 50 do 56 reisów czyli 16 do 24 centymów to jest 4—6 kop. również za funt mięsa.

— Myślałem jednak, rzekł Karlos, że północno-wschodnia strona Marajo, a osobliwie Makapy, główne miejsca wielkiego chowu bydła, więcej były zbliżone do Kayenny jak do Para, sądząc z geograficznego położenia, kierunku wiatrów i biegu wody.

— To prawda; lecz znasz kajeńskie przysłowie: *Ca z'affai mouton, pas z'affai cabril*, czyli innymi słowami, że to rzecz rządu francuzkiego, a nie moja.

— O! odpowiedział Karlos, jest to jednakże wina i kajeńskich kreolów że nie utrzymują bydła, tak jak w Para, równie też że kolonia ich upadła zamiast co miałyby podnosić się i zakwitać coraz bardziej.

— A za jakież pieniądze chcecie żeby kupowali bydło? Jakim sposobem ma się im dobrze powodzić? Czy sądzisz że osada może wzrastać wśród wstrząśnień rewolucyjnych, zdzierstw i

gwałtów rozmaitych? Ja, dziwię się, jak ona żyć jeszcze może! Muszą chyba mieć osady jakąś niesłychaną ukrytą siłę żywotności i patriotyzmu, jeśli koloniści nie opuścili ich oddawna, i że one nie zostały stracone dla Francji! Łatwo Europejczykom szeroko się rozwodzić nad *negrofilstwem*, potępiać nas kreolów, i niszczyć jednym pociągiem pióra, ubolewając nad nieszczęściami murzynów i zarzucając nam mniemane nasze okrutne z niemi obchodzenie się; a potem powiedzieć żeśmy zapłaceni, gdy nam dano jak jałmużnę skąpe i pozorne wynagrodzenie.

W Europie zabierając człowiekowi ziemię lub dom, płacą mu w miarę wartości tej ziemi, i podług jej przychodów; jest też sąd, gdzie zasiadają równi mu, którzy rozstrzygają jego sprawę, podług praw narodowych. Czy tak postępowano z właścicielami murzynów, kiedy nadawano wolność ich niewolnikom? Odpowiadają, że murzyni nie są to domy przecie. Nie, zapewne. Ale każdą przecie własność ocenić potrzeba! Czyż kreolowie nie kupili murzynów na mocy ówczesnych praw i zabezpieczeń swej ojczyzny? Czy ich własność była mniej świętą jak

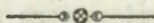
czyjakolwiek inna? W imię ludzkości i chrystyanizmu Europa zniosła niewolę, i miała racya, gdyż wolność ludzi jest najpierwszem prawem, niewygastem i świętem. Lecz trzebaż było przynajmniej tak uczynić jak wasi sąsiedzi Anglicy, jedną ręką wyzwolić niewolników, a drugą hojnie wynagrodzić ich panów. Lecz zamiast tego, nagle uwolniono murzynów, a kreolom dano tylko zwodnicze wynagrodzenie. To jest, z początku zaraz zniszczono ich wszystkich gwałtownie, bez litości, bez powrotu; a następnie tym, co mieli prawo upomnieć się o słusność! tym dzieciom jednej ojczyzny! temu wiernemu i dumnemu plemieniowi! rzucono zbyt późno nędzną jałmużnę, jakby biednym zaprzańcom. I to nazywają sprawiedliwością!

— Wszystko to prawda rzekł Karlos; ale dla czegoż inne osady podnoszą się, jak naprzykład Martynika, wtedy kiedy Gujanna, na której pomieszczono osadę karną, zaledwie trzyma się tak słabo, że gdyby rząd metropolji usunął od niej opiekuńczą swą rękę, upadłaby zupełnie?

— O! przemówił don Henryk, na to mógłbym zapewne dostatecznie odpowiedzieć; jednak wolę

powiedzieć, jak Hiszpanie:— *Quien sabe?* kto wie, co nastąpi?— Jak Gujana będzie miała dosyć rąk; a w Południowej Ameryce mając ręce, można wszystko zrobić. Lecz czyż nadeszła właściwa chwila dla naszej osady? nie wiem tego. Z krajami tak jak z ludźmi, godzina ich stanowcza w rękę Boga.

Ale zanadto was utrudzam, drodzy goście, tak długim opowiadaniem o osadach, chodźcie zwiedzić moje czółna; gdyż mam tu ich całą flotyllę, potem wrócimy do domu.



XIV.

W ą ż S u c u r i j u.

PRZECHODZILIŚMY przez pole okryte ananasami; jedne wychodziły z ziemi jak karczochy, których ścięto łodygę, inne już zeszyły zupełnie, lecz jeszcze zielone pod okrążającemi je liśćmi; gdyż jak tylko ananas zaczyna żółknąć i przybiera kolor złotawy, jak te co widzujemy w Paryżu, jest dojrzały i można go już ścinać.

Przeszliśmy bardzo śpiesznie koło zagrody wieprzów i kurników. Don Henryk zatrzymał nas.

—Jako człowiek co mieszkał w Peru i Północnej Ameryce, rzekł do mnie, niepowinienbyś przechodzić tu bez wspomnienia.

— Bo za wiele może pamiętam, zawołałem. Widziałem tak dużo wieprzów włóczących się po miastach i wielkich wsiach, że aż zawałały ulice; przechodzę więc nie patrząc na waszą trzodę chlewną chociaż tak bardzo spała. W rzeczpospolitach hiszpańskich utrudzają one przejeżdżanie po ulicach, ryją sobie jamy w środku ulic i tarzają się w nich, tworząc jakby żyjącą barykadę najeżoną kłami kiernoza, który krzaka na każdego przechodnia gniewnym głosem, jakby wyzywając do walki. Przynajmniej w New-Yorku, jeśli przechadzają się swobodnie po ulicach, nie chodzą po Broadway; i tak to jakoś pojmują, że nigdy nie przekroczą wytkniętej im granicy.

— Poszlemy im węże zwane *Sucurijus*, odparł don Henryk. Oczyszczą one ich miasta jak nowi Herkulesowie. Cztery lata temu, tu właśnie, jeden taki wąż przestraszył mnie niestęchanie. Miałem w tej zagrodzie rozmaitego rodzaju zwierzęta. Jednej nocy zginęła mi nagle część ich znaczna; nie mogłem pojąć coby to być mogło: kaczki, koguty, kury, kurczęta, świnię; ktokolwiek był ten złodziej, wszystkiego zakosztował.

Nie mógł tego zrobić tygrys, ani *mucura*, ten dziki i smrodliwy dydelf, nie było żadnych śladów naokoło zagrodzenia, zamkniętego ze wszech stron wysoką palisadą lub rzeką; a krokodyłów tu nie mamy. Moi murzyni sami nie wiedzieli co mają o tem powiedzieć, posądzałem więc ich, że moim kosztem wyprawili sobie nocną biesiadę. Nakoniec, następnej nocy powiew wiatru, przyniósł mi okropny hałas pomieszanych głosów reszty pozostałych zwierząt. Wstałem, wziąłem strzelbę, nabiłem drobnym śrótem, postanowiwszy ukarać winowajcę. Odgłos ciągle mnie dochodził, lecz słabszy. Zbliżałem się nie robiąc szmeru. Przy świetle księżyca, ujrzałem ogromnego węża *Sucuriju* połykającego świnie.

Był on przerażający; leżał rozciągnięty po środku zagrody, a ciało miał podobne do niezmierniej wielkości pnia szaro-zielonkawego, nawpół okrytego mułem, które się dają spostrzeżać przepływając w dół Amazonki. Szkaradna jego głowa, podniesiona w górę, utrzymywała nawpół połkniętą świnie, której tylna część wisiała. Wszystkie pozostałe wieprze przyparty

się w jeden kąt przejęte trwogą, i cisnęły się do ogrodzenia chcąc uciekać; a zacząwszy od kur siedzących na pomarańczowych drzewach, co tam panowie widzicie, aż do swobodnych psów na dworze, wszystko wydawało straszne krzyki lub żałosne wycie.

Lecz nie było czasu przypatrywać się wężowi: nie wiem, czy on mnie poczuł, czy może zrobiłem szmer opierając się o zagrodzenie od podwórza, potwór podniósł głowę, i zaczął nią ruszać w prawo i lewo, nie puszczając wieprza, z tym dzikim i wściekłym ruchem, który mogliście zauważyć u białego niedźwiedzia w paryżkim botanicznym ogrodzie. Ogon jego zanurzony w rzece, a dziesięć łokci od głowy, poruszył się i zapienił wodę na brzegu. Zakołysało się całe olbrzymie cielsko raz tylko, a on nie puszczając swej zdobyczy, już był przy palissadzie z mojej strony. Cały drżący od przerażenia odskoczyłem, i czyniąc machinalnie poruszenie obrony, przyłożyłem fuzję do ramienia. Gdybym był wystrzelił byłbym zgubiony. Lecz dzięki Opatrzności strzelba moja była bez podsypki

na panewce, a ja też przypomniałem sobie, że nabita drobnym śrótem; taki zaś nabój na nic się nie zdał. Uciekłem aż do domu; tam wziąłem inną fuzję wyrobu *Lefaucheur*, nabita dwiema kulami, i powróciłem do zagrodzenia. Potwór pozbywszy się mnie, kończył spokojnie swoją ucztę, i już prawie nie widać było świni, którą połykał. Ostrożnie wycelowałem strzelbę i strzeliłem obydwojma nabojami. Wtedy spostrzegłem wśród dymu, jak głowa jego i cały przód ciała podniósł się na dziesięć lub piętnaście stóp wysoko; następnie jak podcięte drzewo zwałił się prosto, ciężkim i głuchym odgłosem. Chciałem jeszcze raz strzelić, lecz już się nie ruszał, a z głowy jego popłynęła struga krwi jakby z odkręconego kranu. Czekałem jeszcze kilka chwil, niedowierzając, z fuzją na ramieniu. Zawołałem Isidoria, Johannesa, a dwóch czy trzech innych murzynów, obudzonych wystrzałami, przybiegli usłyszawszy mój głos. Weszliśmy do zagrodzenia. Johannes poruszył węża: lecz już był zupełnie bez życia. Kule roztraskały mu głowę. Kazałem wyciągnąć z wody jego ogon, i chciałem, żeby go wynieśli na pole

dla zmierzenia jego długości, lecz w pięciu nawet nie mogliśmy mu dać rady.

Była zaledwie dziesiąta wieczorna godzina. Postanowiłem czekać dnia następnego, żeby zdjąć z niego skórę. Nazajutrz z brzaskiem dnia przyszedłem ze wszystkimi ludźmi. Lecz zastałem czwartą część węża zjedzoną; wieprze tak żarliwie zemściły się nad nim w czasie nocy, że cała trzoda leżała obżarta krzając w jednym kącie zagrodzenia. Jednakże można go było przemierzyć. Długości miał trzydzieści-ośm stóp, a wysokości dwie stopy średnicy. Był to największy wąż ze wszystkich, jakie mi się zdarzyło widzieć. Kiedyś w Peru, jeden z moich Indyanów zabił takiego węża długiego przeszło na trzydzieści stóp, ale ten znacznie był większy. Johannes zaręczał mnie, że kilka lat temu, niedaleko *Kamety*, na brzegach rzeki *Tokantin* zabito także jednego, który dochodził czterdziestu-siedmiu stóp długości, a średnica jego równała się objętości okseftu mieszczącego w sobie 300 kwart wina.

— Jest to niezawodna prawda, rzekł Karlos; czytałem protokół o zabiciu jego, ułożony i

stwierdzony podpisem proboszcza, gubernatora i kilku znaczniejszych obywateli tamecznego okręgu. Został zabity tak jak i pański wąż, wystrzałem kuli w łeb. Jedenastu ludzi zdołało go zaledwie ruszyć z miejsca.

— Bardzo temu wierzę, przerwałem; w Kameta obiecano mi, przystać do Francyi jedną sustawę pacierzowej kości tego węża, z której zrobiono taboret. Co do mnie nigdy nie widziałem węża tak nadzwyczajnej wielkości. Ze wszystkich, co mi się zdarzyło widzieć w czasie mojej podróży największy był *boa* długi na siedmnaście do ośmnastu stóp, i tego kazałem wypchać i mam z sobą na pokładzie. Wiem jednak, że *boa* jest daleko mniejszy od *sucuriju*; i w okolicach Santarem, moi Indyanie pokazywali mi nad brzegami Amazonki wyciśnięty wyraziście ślad, którym widocznie przesunął się był wąż olbrzymi.

— A widzisz, zawołał Karlos; jednak pomimo tego, powróciwszy do Paryża, będziesz może najpierwszy szydzić ze sławnego morskiego węża, o którym wspomina *Constitutionnel*, tak jak gdyby ocean i jego niezgruntowane głębie nie mo-

gły ukrywać potwór morskich, których ogrom miesza europejskie wasze rozумы!

— Niech każdy sądzi jak mu się podoba, odrzekł don Henryk, co do tego, o którym wam mówiłem, wszyscy moi ludzie zaświadczą prawdziwą rzetelność mojego opowiadania.



XV.

Murzyńska Ajupa i Karbet Indyanina (*).

SZLIŚMY coraz dalej, a nasz gospodarz pokazywał nam w oddaleniu z tej strony gdzie stał jego domek, murzyńskie *ajupy*, oddzielone od Indyjskich namiotów (*karbetów*), rogiem lasu *mangowego*, pod którym noc przepędziliśmy.

— Z budowy mieszkań, rzekł do nas, możecie powziąć wyobrażenie o przemyśle obydwóch plemion. Wielka różnica zachodząca między temi dziećmi pustyni, daje się widzieć nawet w ich domach.

Ajupa murzyńska, jest mała, niska, wązka,

(*) *Ajupa*, nazywają w tych stronach chaty Murzynów, a *Karbetem*, namiot Indyanina tuziemca

ze wszech stron zamknięta: jako niewolnik przyzwyczajony od dzieciństwa ograniczać się we wszystkim, zawsze pochylony, zależny tylko od pana, murzyn zamyka się i zdaje lękać wszystkiego: powietrza, słońca, nawet najmniejszego światła. Nad Indyjskim *karbetem* (namiot), jest tylko dach, ścian wcale tu nie ma; jest on szeroki, otwarty, wystawiony na każdy powiew wiatru. Jak król lasów, wolny włóczęga z upodobania, niezdolny mieć pana, ani innego prawa nad własną wolę, innego celu życia nad codzienne potrzeby, Indyanin żyje na wolnem powietrzu, na słońcu; jest to *zebra* okryta pręgowaną siercią, dziki on, niespokojny, nieugięty. Murzyn jest tego samego wzrostu co Indyanin, lecz nie maluje ciała, i nie ma w sobie dzikiej dumy. Nasze białe pokolenie, chciwe i śmiałe, co pragnie zagarnąć całą kulę ziemską, potrafiło pochwyć murzyna i ujarzmić w niewolę; pomimo okrzyków wolności, które z Francyi rozbrzmiewały po świecie, pomimo tego wszystkiego, murzyn zawsze jest jeszcze niewolnikiem. Lecz Indyanin! chociaż zabraliśmy mu połowę ziemi, a wcześniej czy później zabierzemy resztę, zawsze

wolnym być nie przestaje! Syn natury, dumny i dziki, kiedy go wzywają, ucieka na puszcze, a gwałtem pojmany, umiera. Plemie jego nieknie, ale nie daje się podbić. Podobny on do zwrotnikowych roślin, kolczastych i bez liści, co wydają jeden tylko kwiat, świetny, błyszczący, okazały, wytworny lecz nieużyteczny, bez wartości, jak bez woni, z którego jeden powiew wiatru zmiata liście, i co nie ma łodygi, za którą możnaby go ująć. Kwiat ten, to dzika ich wolność.

— Tak, odpowiedziałem, i jedyny sposób użycia ich do czegoś nieodbierać im tej wolności. Lecz jakżeście potrafili zebrać ich tylu? Wszak nie lubią oni brzegów Oceanu.

Mam u siebie kilka Indyanek; przyjaciele ich lub krewni przyjeżdżają tu, bawią zwykle cały tydzień upijając się; potem zaraz odjeżdżają po dwóch, trzech, lub czterech razem w czółnie; w sześć tygodni zaś, lub sześć miesięcy, powracają wioząc kautczuk, kasztany, żółwie i soloną rybę. Jeśli w miarę ilości mąki, co nabrali odemnie, nie dowiozą tego wszystkiego dostatecznie, gniewam się i wyprawiam ich; wiedzą, że ich to czeka, i rzadko kiedy mi się nie uiszczą.

Przybywają do mnie i inni, dzicy zupełnie, co nie rozumieją portugalskiego języka, a ja nie znam ich dyalektu. Tacy są najśłówniejsi. Rozmawiamy z sobą na migi; rozmowa nie trwa długo. Przybywają w czółnie mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy zupełnie nago. Po centkach pomalowanych na skórze, poznaję, że to są *Urukujanie* albo *Apamasy* mieszkający między Gujaną francuzką a Brezylją. Najstarszy wysiada; milcząc pokazuje mi siekierę, szablę, zwierciadła.... wszystko czego żąda. Prowadzę go do składu narzędzi i towarów. Tam wybiera co mu się podoba i zanosz do czółna; następnie powraca, chodząc w milczeniu w tę i ową stronę. Nakoniec spostrzega kautczuk, albo ziarna *tonkinu* (1), orzechy *tukasowe* (2). Z tego oddzie-

(1) Ziarna tego rodzaju zwane są w Kayennie orzechami *Gajakowemi*, a w Brezylji *kumaru*, wyrabiają z nich doskonałą oliwę. Dawniej używano jej do tabaki. Anglija prowadzi tem znaczny handel.

(2) Znane w Brezylji pod nazwiskiem *Kastanhas de Marahao*. Są to te Brezyljskie orzechy, co roznoszą nieraz na sprzedaż po ulicach Paryża, w jedzeniu mają one smak przyjemny; lecz powszechnie wyrabiają z nich olej. Jest to najgłówniejsza gałęź handlu w Para; Angliicy zakupują tego znaczną ilość.

la taką kupę, jakąby mi chciał ofiarować, w zamian, i patrzy mnie w oczy. Jeśli odmówię poruszeniem głowy, powiększa ilość. Czasem, lecz to rzadko się zdarza, powraca do czółna, odnosi co nabrał i odpływa. Jeśli się zgadzam skinieniem dowodzącem *tak*, co rozumieją wszystkie narody, wskazuje na księżyc, jeśli jest na horyzoncie; a jeśli go nie ma, pokazuje na niebo obracając się plecami do słońca, i podnosi w górę jeden, dwa, trzy lub dziesięć palców; to znaczy w języku pustyni że. za jeden, dwa, trzy albo dziesięć księżyców, odwiozę ci kautczuk, kasztany, inne jakie ziarna i t. d.

Potem, patrząc na mnie wyjmuje fajkę,— ja, każę mu podać trochę tytoniu. Następnie idzie on do ognia po rozżarzoną głównię, którą zanosi na swe czółno, lecz zawsze milcząc;— podnosi żagiel, chwyta za rudel, i wszyscy odpływają nic nie mówiąc, nie dając żadnego znaku. Zdawałoby się, patrząc na jego towarzyszków, że nic nie zrozumieli, nic nie słyszeli; a jednakże każdy z nich wszystko widział; każdy wie na czem stanęła umowa. Za nadejściem naznaczonego księżyca, nie chybiwszy ani dnia, przyплы

nie to samo czółno, z tymiż ludźmi,— wszyscy razem odniosą do mojej chaty obiecane artykuły zamiany, nie pomyliwszy się na ilości ani jakości;— naczelnik znowu pokaże swą fajkę i poda mi *kui* pękaty, jak puchar Homerowskich bohaterów. Jak tylko *kui* jest napełniony tafią, mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy piją po kolei; potem jeden z nich powraca do ognia po głównie. Następnie odjeżdżają takim samym sposobem jak przybyli, bez namysłu, lub podług konieczności swych potrzeb. I taki jest bieg całego ich życia, i wszyscy podobni do siebie; od dwudziestu lat jak widuję dzikich Indyan, ani jeden nie chybił danemu słowu. Lecz w niczem ufać nie można ucywilizowanym Indyanom, a tembardziej jeszcze białym, gdyż często zawodzą. Przywłaszczając sobie obce towary, odprzedają je drugim i trwonią cudzy pieniądz, tak zupełnie jak w Europie, gdzie się nieraz spotyka wczorajszego bankruta, który znowu swobodnie, z bezczelnym zbytkiem uwija się po ulicach, ciągnąc za sobą jak dawniej świetną liberyą.



XVI.

Czółna na Amazonce.

Wkrótce ukazała się nam flotylla Don Henryka.

W małej zatoce wyrobionej ręką natury, stało ośm czy dziesięć rzecznych statków, jedne wyciągnięte na ląd, drugie na wodzie, biorące kilka stóp głębokości.

— Patrzcie, rzekł do nas, te statki przedstawiają Amazonkę z całym jej przepływem tysiąca dwiestu mil, przecinającą sama przez się, tudzież z wpadającemi do niej wodami, pięć rzeczypospolitych, trzy europejskie osady i jedno cesarstwo. Spławiają po niej aż tutaj do bram Gujany naszej bez kosztu, bez niebezpieczeństw, płody pół świata całego: złoto z pod równika

lub z Nowej-Grenady, miedź i srebro z Peru, chininę z Boliwii, bawełnę i kawę z Brezylji, kakao z Wenezueli; zabierają zaś w zamian francuzkie żelazo, materye jedwabne, wina i t. d.

Ta *uba* przybyła od źródeł Amazonki, nie daleko Limy, prawie naprzeciw Oceanu Spokojnego; przywiozła mi *kokę*, złoto, wanilię, kapelusze panamskie. Wkrótce ją odesłał naładowawszy winem, francuzkiemi strzelbami, za które w Brezylji opłaca się cło, piędziesiąt od sta. Ta druga przybyła od źródeł Napo, blisko Quito, przywożąc dwadzieścia uncyi złota i kawę; kupiłem ją wraz z ładunkiem i Indyanami co nią kierowali; za rybę soloną, mąkę maniokową i olej z andiroby. Ta trzecia, na wpół rozbita, co mi dziś służy do przewożenia oliwy z żółwi, zrobiona była w Boliwii, koło jeziora *Titikaka*, o czterysta mil od tamtej; na niej to przybył do mnie Rafaelo ze skórami z alpaków i lam, przepływając *Aukajalę* i część Amazonki, czyli tysiąc pięćset mil rzekami przebieżonych. Ta *egaritea* była zrobiona na wybrzeżach Orenoku, w głębi Wenezueli, o siedmset mil od poprzedniej *uby*. Przybyła ona przez *Kassikiarę* i

Rio-Negro z hamakami i linami z *piassaby*. Druga, co widzicie na wprost rozpadłą, pochodzi z Boliwii; naładowana solą i materyami, przepłynęła w górę *Madeiry* i całą *Beni*, aż do pol Santa-Rozy w samej Boliwii, w środku Ameryki, gdzie sprzedają konie po dwa piastry, (2 r. 50 k.); dostała się ona do mnie z hiszpańskimi dublonami, chininą i tytuniem; wkrótce zaś odpłynęła znowu na drugi koniec Brezylji, do *Mato-Grosso*, przez *Madeirę* i *Guaporę*, aż do stóp gór skąd wypływają potoki wpadające do *La Plata*, o ośmset mil. Ta *koberta* przybyła przez *Tokanten* z *Sertao* czyli z wnętrza *Baji*, z Brezylji środkowej. Kupiłem ją naładowaną skórami za siedmdziesiąt *arrobow* (2,100 funtów) kautczuku, który płacono przeszłego roku po 3 fr. i pół za funt, a wyrabiałem go dziennie po 400 funtów (1).

-
- (1) Chcąc dobrze zrozumieć ważność, rozległość i bogactwo tego systematycznego spławu rzeczno, najdoskonalszego na całym świecie, trzeba wyobrazić sobie kraj trzy razy tak obszerny jak Europa, podzielony i poprzecinany w różnym kierunku rzekami lub kanałami, łączącemi się z sobą powiększej części, które tworzą tym sposobem,

Kazałem zrobić tę *wigilingę*, na brzegach *Jarry*, na gruncie naszej Gujany; gdyż dalej w górę rzeki, gdzie jest główny zbiór kautczuku, *Jary* przepływa sporną przestrzeń. Tym sposobem ze wszystkich stron tego rozległego lądu, tego świata, co go nazywają Południową Ameryką, przerzynająca go Amazonka, wszystko aż tutaj przyprowadza i odwozi; to jest o piętnaście godzin drogi od Kayenny, a o dwadzieścia dni drogi od Francyi, która zapomina o tej rzece, dawnej swej własności.... Lecz zapominam się, i podług wyrażenia pewnego z dowcipnych mieszkańców Gujany, tyle zawsze marzę o tej przeszłości i przyszłości, że już nie krew lecz woda Amazonki płynie w mych żyłach. Wracajmy do domu lub chodźmy pod mangowe drzewa; o dziesiątej godzinie słońce pali najmocniej.

— Mój drogi gospodarzu, rzekłem, tak przy-

jakby sieć dróg wyrobionych ręką natury, nie potrzebujących żadnego utrzymania, żadnych kosztów, niedoznających żadnej przerwy; tak zupełnie jak we Francyi drogi żelazne, a przytem rządowe i departamentowe trakty.

wykliśmy do słońca, że się go już nie obawiamy wcale. Twoje czołna to prawdziwe niespodzianki dla podróżnika, pozwól nam obejrzyć szczegółowie te twoje bogactwa.

— Ja zaś, przerwał Karlos, pójdę na brzeg, żeby przypatrzeć się każdemu z nich z osobna.

Wigilinga don Henryka, podobnie jak moja, mogła zabierać ładunku ośm do dziesięciu beczek, opatrzona była we trzy maszty i cztery żagle czerwone, podług zwyczaju na dolnej Amazonce. Z tyłu wisiały dwie kotwice i cztery spore wiosła z szerokich zaokrąglonych deszczek, co się używają w czasie zupełnej ciszy na morzu lub płynąc po mieliznach gdzie trudno dać sobie radę z żaglem. Wszystkie na niej powrozy były z *piassaby*, z tych jakby czerwonych włosów z drzew palmowych w górnem *Rio-Negro*, których dziś tak bardzo używają Anglicy, a jednak są one nam zupełnie nie znane! Takie liny nie psują się nigdy w wodzie, są elastyczne i trwałe, napróżnoby szukać trwalszych i tańszych na zawieszanie kotwic. Leżały tam ogromne stosy kautczuku, poukładane w kwadraty i kule aż do pokładu

statku, przygotowane zupełnie do odpłynięcia do Para, gdzie jest główny punkt tego handlu.

Przy wigilindze stała *koberta*, od piętnastu do dwudziestu heczek ładunku, podobna nieco do chińskich dżonków, kołysząca nad powierzchnią wody dom swój pływający, w którym zamieszkuje całe rodziny. Pokład jej dobrze okitowany, unoszący się nad samą powierzchnią wody, podtrzymuje obszerny pokój, o czterech oknach, wychodzących na tył okrętu. Tam to mieszka gospodarz ze swemi murzynkami, Indyankami i dziećmi. Środek i przód statku, zajmuje pokoiik zbudowany z okrągłem w kształcie sklepienia stallowaniem, mieszczący towary i nad którym wznosi się pomost zajmowany przez majtków. Dwa maszty, na jednym z których zawieszony ogromny żagiel, prawie czworokątny, pozwalają takiemu statkowi korzystać z powiewu regularnego wiatrów dolnej Amazonki; a dziesięć ogromnych wiosł, któremi Indianie kierują ze swego wzniesionego pomostu, ułatwiają mu zręczniejsze i prędsze przebycie przyływu i odpływu idących od morza w tych stronach. Wszakże budowa jego, wznosząca się nad wodą na dziesięć do piętnastu stóp, czyni

kobertę niebezpieczną na pełnej rzece; gdzie zdarzają się gwałtowne i nagłe wiatry. Można nią tylko pływać po krętych i ciasnych kanałach, co przeryniają ogromną deltę znajdującą się przy ujściach Amazonki.

Dalej przywiązane liną do *koberty*, stały dwie *egariteje* czyli czółna rzeczne, osłonięte jeszcze liścianym dachem, zgiętym w kabłak, jak kryty płótnem wóz praczek. Na takim czólnie zwykle pan siada z tyłu pod najwyższym dachem. Za nim, zewnątrz, stojąc na samym brzegu statku lub na dachu, sternik kieruje rudlem. Cały przód czółna ma dach zrobiony z drewnianych obręczy, okrytych liśćmi osłaniającymi tylko środek *egaritei*; po obu zaś stronach, wzdłuż ścian, zostawione odkryte miejsca, prawie na stopę szeroko. Tam to Indianie siadają po końcach ławek postawionych przez całą długość statku; potem bez wielkiego wysilenia, w lekkich poruszeniach, zagłębiają w rzece swe *pageje*, któremi zabierają wodę prawie z pod czółna, i wiosłując takim sposobem, można przepłynąć ciasne kanały, które podrównikowa roślinność nieustannie zalega.

Koło *egariteów*, *żangada* z Fernambuku rozwijała na słońcu dla wysuszenia go, trójkątny swój i biały żagiel: Widząc tę tratwę zbitą z powiązanych pni drzew, z słomianą chatką, wielkimi wiosłami, z masztem giętkim jak laseczka leszczyny, z kamienną kotwicą oprawną zębato w haki drewniane, któżby uwierzył że ten wąty statek przepływa morze, puszczając się niem o czterdzieści mil od lądu, przewożąc sterników i przemycane towary, i stawiając męzne czoło rafom i wiatrom panującym w tych stronach. Nigdy też on nie zatonie, i nie rozerwą go burze srożące się na północnym brzegu Brezylji?

Naokoło, poprzywiązywane jedne do drugich, oddalając się albo zbliżając do brzegu w miarę przypływu lub odpływu, stały małe czółna rozmaitego kształtu, małe wystające nad wodą: *uby*, *montarie*, *pirogi*; tak lekkie że dziecko może zmienić ich kierunek, zanurzywszy rękę w wodę; są to jakby pływające taczki co służą do wszystkiego w tych nadrzecznych krajach, jak u nas osły.

Dalej unosiły się na powierzchni wody; przywiązane linami do *żangady*, cztery *uby*, długie na trzydzieści do czterdziestu stóp, a głębokie

na trzy lub cztery, ukazując okrągłe swe pudła rzucane ciągle z jednej na drugą stronę. Bierące dwie stopy wody zaledwie, mocne jak żelazo, długie te indyjskie *pirogi*, są użyteczne do przepływania bystrych prądów, lub przesuwania się po mieliznach, lecz niepodobna rozwinąć na nich żaglu i niebezpiecznie puszczać się po dolnej Amazonce, której krótkie lecz silne fale rzucają niemi na wszystkie strony, i za każdym uderzeniem bałwana, napełniają zupełnie wodą. Ileż to tygodni przepędziłem z moim bratem, na tych długich pniach wydrążonych drzew z Huallagi lub Maranao. W dzień bywaliśmy zajęci pracą, mierząc głębokość rzeki i rysując ją podług kierunku igły magnesowej, mając Indyan za wiosłarzy i sterników, widząc zawsze tylko ich twarze, i ciągle słysząc ich głosy; przepływając prądy z niebezpieczeństwem, albo pieszo przechodziliśmy po skałach, następnie dostając się sami do czółna za pomocą liny. W nocy też, śpiąc na gorącym piasku morskiego wybrzeża, czasami czuliśmy się zadowoleni dzienną pracą, szczęśliwi z tego dzikiego i niezależnego życia; a czasem znowu nawskróś przemokli, napastowani

przez zjadliwe owady, trzęsąc się jak w gorączce, umieraliśmy prawie od dyssenteryi. I na cóż się zdały te wzgardzone prace! bezużyteczne trudy!

Statek don Henryka stojąc na kotwicy, trochę opodal od lądu, zaćmiewał swoją pięknnością wszystkie inne, tak jak w przystani koło okrętu, szalupa komendanta, przewyższa okazałością wszystkie czółna stojące przy brzegu. Mam go jeszcze w pamięci, *szczególnie takim jakim widziałem ostatnią razą, kiedy w ostatnim dniu don Henryk nas doń zaprowadził. Widzę jak ów statek *Juanną* zwany, puszczał się w drogę; cienkie jego liny, wysokie maszty, czerwone żagle, kształt wysmukły, błyszczące i pomalowane pudło, unosiły od brzegu Isidoria i jego pana, który stał o maszt oparty, smutny i ciągle patrzył na nas. Widzę jeszcze *Juannę* bujającą po fali, i w rannej mgle coraz bardziej niknącą przed nami; jak przesuający się wężykowato po falach morski zimorodek, który podnosząc się i zniżając jak one, zawsze porywany ich pędem, ukazuje się znowu igrając nad toniami.

Lecz o słodkie i drogie wspomnienia, czegoż chcecie odemnie? czemu zakłóćacie moje obecne

chwile?— I ty ciepła przyrodo, ogrzana gorejącem słońcem, cieniste acz puste brzegi, kiedym was opuszczał tęskniąc gwałtownie do ojczyzny, czemużście mi także nie przepowiedziały mego losu? czemuście nie przypomniały? czemu nie wyrzekły, że kiedyś będę was żałował, tak jak się żałuje utraconej miłości.



XVII.

J u a n a .

UPUŚCILIŚMY statki udając się ku *mangowym* drzewom. Karlos został przy czółnach. O dziesięć kroków od rzeki, ujrzałem między trawą, kilka pni drzew powiązanych łykami.

—Gdybym był u Peruwianów, rzekłem do Henryka, wziąłbym te stare pnie za *balsę* z *Huallagi* (1). Lecz cóżby tu porabiała ta biedna Kordylierska tratwa?

—Jest to takie *balsa*, odpowiedział; i'na niej właśnie przybyłem z *Szasuty* (2), aż tutaj; sta-

(1) *Huallaga*, najznacniejsza rzeka z wpadających do Amazonki, i prawie cała płynie przez Kordyliery.

(2) *Szasuta*, miasteczko peruwiańskie położone nad Huallaga.

rannie ją zachowuję, ponieważ na *balsie* spotkałem pierwszy raz siostrę Karminy, Juanę, którą tak mocno kochałem i wylałem po niej tyle łez: przy jednej tylko Karminie mogę jej zapomnieć, gdyż bardzo do niej podobna. O Juano! moja Juano! Don Emilio, gdybyś był znał Juanę?

O, gdybyś wiedział jak słodkie chwile pędziliśmy z sobą przez dwa lata. Po raz pierwszy ujrzałem ją w nocy na balu w Lima, była uśmiechająca się i powabna, miała *mantę* na twarzy. Ojciec jej był francuz, a matka hiszpanka; odziedziczyła po niej przesyłne oczy i ręce, dodawszy do tego czarującą piękność francuzkiej kreolki. Lecz Lima, hiszpańskie miasto, napełnione czarodziejkami; zapomniałem więc o niej prędko, i odjechałem w góry.

We dwa miesiące potem, przejeżdżając konno ulicę *Kaxamarki*, te grobowce Inkasów, ujrzałem ją jadącą w moją stronę. Zostawszy siemrotą od kilku tygodni, odjeżdżała z dwiema czy trzema niewolnicami, z całą swoją biedną spuścizną, do siostry swej matki mieszkającej w *Ta-*

rapoto (1). Znasz swobodę peruwiańskich obyczajów; jechałem sam jeden o kilka mil ztamtąd, do *Moyobamby* (2), tej królowy dolnego Peru. Wypadało nam razem podróżować konno przez cały miesiąc. Ona była piękna, smutna, opuszczona; a ja wtedy młody, pełen młodzieńczego zapału i bogaty.

Będąc tak we dwoje sami z sobą na pustyni, po dwóch tygodniach pokochaliśmy się. Żeby zaś mię ona kochać mogła bez wyrzutów sumienia, staruszek misyonarz, mieszkający jak pustelnik w górach, które przejeżdżaliśmy, połączył nas w obliczu Boga ojców naszych, i oddał mi ją. Och! drogie moje wspomnienia, towarzyszcie mi wszędzie! Przekonasz się Emilio, że, kiedy z wiekiem znikną już wszelkie nadzieje przyszłości, wspomnienie, ten cień przeszłości stanie się ci życiem samem, tak jako przy schyłku dnia, cień

(1) *Tarapoto* miasto w niższem Peru, położone między Kordylierami, nad brzegami Huallagi.

(2) *Moyobamba*, główne miasto, dolnego Peru, leżące nad Mayo, główniejszą rzeką z wpadających do Huallagi. Jest to miejsce ważnego handlu europejskich towarów, i kapeluszy Panamskimi zwanych.

oddalonych drzew, powiększający się ciągle, z zachodzącym za niemi słońcem, ogarnia stopniowie drogę i cały widnokrąg. Byłem bogaty, o nic się nie troszcząc; a przy tem życie jest tak słodkie w Peruwiańskich górach! Juana stała się wszystkim dla mnie: ojczyzną, rodziną, przeszłością, majątkiem; kochając ją namiętnie, cały oddałem się tej miłości. Nawet za pozostałe mi jeszcze życie, nie oddałbym wspomnienia o niej! Godziny wtedy tak szybko ubiegały! Wykształcona umysłowie jak Paryżanka, często czytywała ze mną, to naszych poetów, to Shakespeara albo Dantego;

Noi leggiavamo.....

.....
 Quel giorno piu non vi leggemmo avante

a kiedy i księga *Franceski* z rąk nam wypadła, wtedy także nikt szczęścia nam nie przerywał. To znowu, znudzeni odpoczynkiem, jechaliśmy na polowanie przez pola i łąki, bładzac konno tygodnie całe. Indyjanie postępujący za nami mieli z sobą różne potrzebne dla nas zapasy, najczęściej wszakże żywiliśmy się z myśliwstwa i dzikimi owocami. Wieczorem, nasi ludzie roz-

wieszali hamaki w lesie. pod przydrożną *tambą* (1), nad brzegiem jakiego potoku; i spaliśmy tam, podczas tych ciepłych nocy niższych Kordylierów, gdzie powiew wietrzyka miłe przynosi wonie. Albo też wreszcie, na *balsie* z dwudziestu pni, szerokiej jak starożytna komnata, przykrytej liścianym dachem, przepływaliśmy *Mayo* (2), lub Huallagę do poblizkiego miejsca połowu ryb. Tam, rączkami czarodziejki, rzucała ona na wodę *barbasko*, tę subtelną truciznę, co nie zabijając, odurza tylko rybę; potem podpływała tam ze mną na jeduém czółnie, i łapaliśmy ręką śpiące łososie. A gdy noc zapadła, płynęliśmy w górę na powrót i przy szmerze wody śpiewała ona z Lamartina:

O lac! l'année à peine....

Smutne wróżby! nieszczęście zbyt prędko uderza na bardzo wielkie szczęścia. *Juana* umarła.— Umarła wraz z dziecieniem któregośmy oboje oczekiwali.

(1) Nazywają *tambo* otwarte namioty, stawiane na drogach w pewnej odległości, i przeznaczone na schronienie dla podróżnych. Tak więc jedzie się od jednego *tambo*, do drugiego.

(2) *Mayo*, główna rzeka z wpadających do Huallagi.

W tej chwili uczułem jak w mojej ręce zdrząła ręka Henryka, i śmiertelna bladość okryła twarz jego.

— Ach! kiedym ją utracił, czemuż sobie życia nie odebrałem?— sam nie wiem. Dwa dni siedziałem przy niej, dwa dni wielkie, nie uro-niwszy łzy jednej, nie zamrużywszy oka, jak obłąkany!— Nieszczęsna ta godzina, i dnie owe tak są wyryte w mej pamięci, jakby się to stało wczoraj. Nakoniec, trzeciego dnia, nie mogłem już opędzić mrówek, które pełzły ze wszech stron, coraz więcej opadały tę ubóstwianą głowę!— Gorąco tak prędko rozkłada wszystko, w naszym klimacie palącym!— Zagrzebałem ją, pochowałem własnymi rękami, nie chcąc niczyjej pomocy. Niech cię Bóg zachowa żebyś kiedy miał doznać uczucia jakie obudza odgłos ziemi, spadającej grudkami na grób ukochanej osoby!

Gdy się wszystko skończyło, podniosłem się obłąkany, szalony. Ujrzałem z boku koło mnie, płaczącego Isidoria, który stał oparty na *pagei*. Przywołałem go. Jest to mleczny brat *Juany*. Czasami oko jego, tak jak tej mojej ukochanej się zaiskrzy. Kazałem wszystko przygotować do dro-

gi. Wyobrażenia Indian przypadają mi nieraz do smaku, chciałem ich raz naśladować, kiedy w szale pijaństwa lub w wielkiej boleści, narażają się na bystry nurt rzeki. Wkrótce czołno było gotowe. Puściliśmy się. Już noc zapadała prawie. Gwałtownie wiosłując *pageją*, za dziesiątym poruszeniem tego wiosła, popchnąłem już *ubę* na sam środek koryta rzeki. Przepływaście *pongi* na Hualladze, znasz więc te straszne wiry (1)?

(1) *Pongo*, w *Kweckim* języku, znaczy *bramę*. W istocie *pongi* są jakby wązkie, a ciasne drzwi, kręte jak wąwozy lub jaskinie, któremi rzeki południowej Ameryki, w Kordyliarach przepływają z jednej doliny na drugą. I tak, żeby dobrze zrozumieć, wyobraźcie sobie Sekwanę, płynącą spokojnie, rozkosznie przy mało znaczącej spadzistości łożyska, na jakie pół mili szerokości, i nagle przy pochyleniu koryta po 2 cale na sążen, ściśnionego przez strome góry, nie mające i 500 stóp roztworu, ci-skającą swe wody w tę wązką szyję. później znowu przedstawcie sobie, że jakby granitowa góra stawi zaporę pędowi prądu, zatrzymuje go niespodzianie i zmusza szukać nowego przejścia przez nowy przesmyk, ciaśniejszy i głębszy jeszcze. Wyobraźcie więc taką rzekę toczącą swe nurty od wąwozu do wąwozu, przez góry skaliste; ścisnącą, potrącaną, pieniającą się, wirującą w swoich

— Tak jest, odpowiedziałem, znam je lecz z brzegu.

— A więc, my przepłynęliśmy je środkiem wezbranej wody, we dwóch tylko, w nocy. Jakim sposobem? nic nie wiem. Kto się na to odważył, każdy śmierć znalazł. Lecz są chwile, w których nawet śmierć unika człowieka. Wiosłowaliśmy ze wszystkich sił; ja oszalały gniewem, cierpieniem, złowrogą nadzieją; Isidorio, szanując moje szalone dziwactwo, gotów na śmierć, lecz walcząc przeciw niej w milczeniu. Niezwykłe siły nasze tylko nas ocaliły; zaledwieśmy dotykali rozhlukanych bałwanów pędząc po wirach. Przy

prądach, skracającą się na jedną milę ze dwadzieścia razy wężykowato w różne strony, przy spadzistości 25ciu sążni, a na jakie sto stóp głębokości. Takie to są owe *pongi*.

Przy opadnięciu wód można je przepłynąć, tam i napowrót, przesuwając czołno pomiędzy skałami ciągnącymi się wzdłuż brzegu, lub też przytrzymując się za łodygi i gałęzie wijących się roślin i drzew po górach rosnących. Przy wezbranej zaś wodzie nikt tamtędy nie przepływa. Rzadki zdarza się rok, żeby najmniej dziesięć czołen nie zatoneło z ludźmi i ładunkiem, w nurtach Huallagi. Ta rzeka jest to wielki grobowiec Peruński, jak mówią mieszkańcy Dolnego Peru.

bladem świetle księżyca, widzieliśmy przesuwa-
jące się drzewa, góry, doliny, wiosłując i pę-
dząc gwałtownie jak upiory w Lenorze. Tak
pędziliśmy całą noc. Rano, wycieńczony utru-
dzeniem, zasnąłem na brzegu.

Mówił mi Isidorio, że w czasie tego snu po-
siwiały mi włosy, i widzicie jak są białe miej-
scami.

Mój biedny Indyanin, zawsze przezorny, nim
się obudziłem, przyrzucił mi jedzenie. Zjedli-
śmy nic do siebie nie mówiąc i ruszyli znowu
dalej. Przepełnąłem tak całą Huallagę, potem
Amazonkę, i przybyłem prawie bez żadnego od-
poczynku aż do ujścia *Aucayali* (1). Zwykle ra-
chują ośm dni na odbycie tej drogi; dla mnie
wystarczyło trzy dni. Tam zatrzymałem się;
z wielkiego wysilenia wiosłami, ręce mi osłabły
zupełnie, a tak z sił opadłem, żem nic prawie
nie widział, co się naokoło mnie działo. Isido-
rio zrobił mi namiot na wyspie leżącej naprzeciw

(1) *Aucayali* jest jednym z najgłówniejszych potoków
wpadających do Amazonki, przebiega do ośmset
mil kraju; początek swój bierze niedaleko jezio-
ra *Titikaka*.

Aukajali. Leżałem tam bez pamięci, bez uczucia, trawiony gorączką, umierający. Słońce nasze przyspiesza wszystko, równie śmierć jak i życie; przy końcu tygodnia wstałem daleko zdrowszy, lecz ogarnął mnie jakiś straszliwy smutek. Dla Juany zapomniałem wszystkiego; lecz Juany nigdy nie mogę zapomnieć!

Zacząłem z Isidorem płynąć pod wodę na *Aukajali*. Zapuszczałem się z nim w głuche pustynie tej *matki rzek*, jak mówią Peruwianie. Podpłynąłem aż pod *Sarajaku* (1). Spotykaliśmy niekiedy Indyan *Kampasów* i *Majorunów*, którzy obojętnie się nam przypatrywali. W dzień, łowiliśmy rybę lub polowali; w nocy, spaliśmy na jednym lub drugim brzegu.

Ale codzien, im więcej płynęliśmy pod wodę, tem większą liczbę Indyan zdarzało się nam spotykać; samo ich przesuwanie się, chociaż milcząco, zakłócało moją samotność. Prawie naprzeciw *Paszytei*, skierowałem się na jedną z odnóg

(1) Wielka wieś, położona nad *Aucayali*, gdzie się znajdowała dawniej missya OO. Jezuitów, a która teraz zalicza się do pogranicznej prowincyi Loreto.

Aukajali, i puściliśmy się przez jeziora i zarośla, znajdujące się na pograniczu Brazylii i Boliwii, w okolicę najsamotniejszą Południowej Ameryki (1). W czasie tej to samotnej wyprawy nauczyłem się prowadzić życie na puszczy; znam je dzisiaj tak, jak Indianin. Ileż to scen spotykanych tylko na pustyni, przedstawiło mi się podczas tych dni i nocy tego gorzkiego i ponurego smutku!

-
- (1) Ta strona jest zupełnie nieznaną. Znajduje się tam ogromny kraj, którego jedna część należy do Brazylii, druga do Peru, i Boliwii; nie mieszka tam żaden biały ani nawet ucywilizowany Indianin. Nawet w sąsiednich krajach w tej stronie Ameryki-Południowej, powzięte wiadomości od Indian, są bardzo niedokładne, i często z sobą sprzeczne. Długość rzek i ich kierunek, nie jest znany, domyślają się tylko, że zapewne łączą się wszystkie jeziorami lub przez wielkie bagna, i że tamtędy byłoby łatwo dostać się do rzek wpadających do la Plata. Lecz to tylko domniemanie; brat mój i ja, zbieraliśmy wiadomości o tej stronie z największą starannością, próbując różnych sposobów; długo bawiliśmy w tamtej okolicy, a nawet i w samej tej wielkiej pustyni; jednakże mamy o niej tylko niepewne wiadomości. Jakiegokolwiek-bądź są zdania podróżnych, ponieważ żaden dotychczas nie przebył tej strony, każdą wiadomość taką, uważam za niedokładną.

Po upływie dziesięciu miesięcy księżycowych takich podróży i koczującego życia, opanowała mnie chęć odwiedzenia grobu Juany. Przepełnałem *Jurua*, odnogę *Aukajali* i dostałem się na Amazonkę. Już oddawna podarła się nam odzież. Kupiłem sobie odzienie w Tabatinga, na granicy Brazylii, w chatce Francuza mieszkającego tam od dwudziestu pięciu lat. Doznałem nadzwyczajnej przyjemności słysząc nasz język; zdawało mi się że jestem znowu we Francyi, a śmierć Juany, i te przykre miesiące, kterem tylko co przebył, znikają przedemną jak straszny sen. Lecz niestety! chociaż bardzo smutne są sny, smutki tego świata jeszcze je przewyższają. Powróciłem do *Szasuty*, gdzie złożone zwłoki Juany. Huallaga (1) wylała nadzwyczajnie, i zajęła grób. Czekałem. Cały czas przepędziłem przypatrując się wodzie, jak gdyby rzeka, opadłszy, mogła mi oddać na brzegu moją ukochaną Juanę. Na koniec wody zmniejszyły się. Kazałem przybyć

(1) Są takie miejsca w Kordylierach, że Huallaga o sześćdziesiąt stóp corok przybiera i wylewa; sam widziałem jak ta rzeka przybrała przez jedną noc, więcej jak na dziesięć stóp.

kilku moim ludziom z *Mojobamby*, których zostawiłem dla bezpieczeństwa ciotki Juany.

Zacna ta kobieta, jak tylko się dowiedziała żem powrócił, przybyła do mnie, przywożąc z sobą Karmenę, siostrę mojej biednej nieboszczki, która przybyła do niej od niedawnego czasu z Limy. Próbowały one wszelkich sposobów żeby mnie skłonić do powrotu do *Mojobamby*: próśb, łez, namowy; lecz wszystko na próżno;— odmówiłem. Nie mogę bowiem przebywać znowu w tych miejscach gdzie byłem niegdyś szczęśliwy; cierpię tak, że mi serce z żalu pęka.

Kiedy, roku zeszłego wróciwszy do Francji, odwiedziłem w mojej starej Bretanii, zamek mego ojca, przez cały dzień, nie wchodząc, jak ów Olimpio, podług słów poety:

Błądziłem, zaglądając przez ogrodzenia,

Jakby parya jaki,

a wieczorem, odjechałem przepęłniony goryczą. Mało mnie obchodzi niepamięć ludzi: lecz zapomnienie przyrody, która przymiła się i upiękła kolejno dla wszystkich i zawsze i ciągle, śmiertelnie mnie zasmuca.

Kazałem sobie wybudować chatkę, na samym

grobie Juany; doznawałem dzikiej rozkoszy mieszając i spoczywając nad nią. Przepędziłem tak trzy lata, zajmując się myśliwstwem, rybołówstwem, czytaniem, opisywaniem mego życia i moich wspomnień. Czasami, gdym zbyt wiele cierpiał, wsiadałem do czółna, puszczając się sam jeden na rzekę za *Szasutą*, gdzie są bystre i niebezpieczne prądy, lecz nie grożące śmiercią przynajmniej jak na *Pongach*. Doznawałem nawet nieokreślonej przyjemności, narażając się na takiego rodzaju niebezpieczeństwo. Kiedy mnie porывały rozhukane pieniające się bałwany, kiedy porąc prądy *pagejami*, dotykał skał, i spostrzegałem wiry pochłaniające w swym odmęcie całe pnie drzew, czując że jedno chybione uderzenie *pagei*, mogło mnie rozbić jak słomkę albo pochwyć w wir bezdenny, wtedy tylko szybko i czynnie upływały mi godziny.

Kiedy ludzie gorącego, gwałtownego temperamentu cierpią, niebezpieczeństwa mają dla nich niewypowiedziane rozkosze, które ich przynajmniej odurzają.

Wieść o moich szalonych wycieczkach po rze-

ce, doszła aż do dony Arabelli i Karminy. Powróciły one znowu do *Szasuty* i rozgościły się w moim domu. Nic na to nie mówiłem. W kilka miesięcy później, zacna sędziwa kobieta umarła ze starości; Natenczas..... cóż ci więcej powiem? oto Karmena była opuszczona, młoda, piękna, chwilami zdawał mi się to żyjący portret Juany. Kochała mnie; postrzegłem to nakoniec. Pewnego dnia, popłynęliśmy razem, gdyż nie mogłem żyć z nią tam gdzie spoczywała jej siostra. Po wielu wycieczkach i poszukiwaniach miejsca na domek, nad brzegiem rzeki, przybyliśmy tutaj, i widzicie jak żyjemy. Kocham ją, jest to matka moich dzieci, siostra Juany,—lecz nie Juana!

Umilkł. Przechadzaliśmy się jeszcze kilka chwil, ale w milczeniu. Przyszedł tam do nas i Karlos pod mangowe drzewa. Henryk odszedł dla wydania ludziom różnych rozporządzeń. Opowiedziałem Karlosowi w kilku słowach smutną historję naszego gospodarza.

—Biedny don Henryk, zawołał Karlos, a ja sądziłem że on szczęśliwy; widać nie ma szczę-

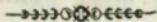
ścia na tym świecie. Każdy ma na tym padole płaczu jakąś żalobę, lub jakieś rany. Robak się lęgnie i w najpiękniejszym kwiecie. Wspomnienie Juany pożera go i zabija. Jeszcze najszcześliwszym z nas wszystkich jest Indyanin. Troski upłynionego dnia nikną, przy zaspokojeniu potrzeb codziennego życia. On nie ma przeszłości ani jutra. Henryk prowadzi życie Indyjskie, lecz zachował duszę europejską. Gdybym był nawet pomyślał wymienić moją wolność na jakikoiwiek łańcuch, wstrzymałyby mnie dzieje jego życia. Na pustyni trzeba żyć bez żadnych więzów.

—Nie, tak żyjąc serce jest zbyt próżne. Ponieważ na tym świecie, ogólnem przeznaczeniem jest cierpienie, lepiej więc jest cierpieć na ubitym gościńcu i za młodu nakłaniać swe serce i życie do pewnej spokojności. Dobrze mówi Henryk; kiedy już nie ma miłości, jest chociaż jej wspomnienie!

—Tak! ale jakież wspomnienie! Ponure troski lub rozpacz bez końca. Jesteś młody, bracie; wierzaj mi, najszcześliwsi na tym świecie są ci, co żyją z dnia na dzień, zagłuszając swe serca

w życiu zmysłowym, zapominają, i niedbają o siebie samych, równie jak i o świat cały.

— Nie, sto razy nie! Lepsza śmierć niż takie życie. Może śmierć jest przebudzeniem! Twoje życie oddane zmysłowym rozkoszom jest tylko nicością.



XVIII.

O d j a z d n a P r o r o r o k ę .

KARLOS i ja byliśmy jeszcze zajęci rozmową, gdy nam ją przerwał huk *prororoki*. Wyobraźcie sobie te pierwsze trzy sylaby tego słowa *proroka*, grzmiące do nieskończoności z niezmiernym hukiem i coraz straszniejszym krescendo nowożytnych koncertów, a następnie niknące zwolna w dalekiej pustyni. Mówią, że przejście *prororoki* po Amazonce daje się słyszeć o dziesięć mil wokoło; nie wiem tego z pewnością, bom jej nigdy nie słyszał zblizka; to tylko mogę śmiało twierdzić, że w chwili gdy ta fala przechodzi, niepodobna nawet mówić na ucho; taki jest bowiem

łaskot jak wodospadu Niagary, lecz stopniowo zwiększający się i przerażającej chrapliwości.

Jak tylko minął pierwszy wał *prororoki*, który bywa najsilniejszym z trzech następujących po sobie co pięć minut, Henryk powrócił do nas. Twarz jego zachowała bladość pozostałą po wspomnieniu Juany; ścisnąłem mu rękę w milczeniu. Właśnie wtenczas druga fala wału, pędziła przed sobą, koło naszej wyspy jakby huczenie huraganu, z świstem wiatru pomieszanego; czułem jak ręka Henryka silnie moją ścisnęła, i postrzegłem jak zajaśniało jego oko. Zaledwie huk przeszedł, nachylił się do mnie nie spuszczać ręki, i rzekł:

— Don Emilio, czy chciałbyś przypatrzeć się *prororoce*?

— Bardzo chętnie.

— Lecz zobaczyć ją całą z blizka, to jest tę wielką trąbę przechodzącą po Oceanie, nawet narażając się na niebezpieczeństwo, jeśli będzie potrzeba. Jakim sposobem? sam nie wiem, ale pragnę ją widzieć: zdaje mi się że widząc ją, zobaczę znowu Huallagę i Juanę.

— Ruszajmy, rzekłem.

Obrócił się do Karlosa.

— Czy masz nerwy, senor Karlos?

— Piuh! odpowiedział zapytany żartobliwym swym tonem, przecież musiałem się z tem urodzić; ale jak to mówią wasi kreole, zostawiłem ich *częstkę* w Indyach, *częstkę* w Jawie, tak dalece żem je wszystkie potracił; a panowie?

— Ach! my, my przybywamy z Paryża, lecz przez Niagarę i Kordyliery; więc nie zostało nam ani kawałka nerwów; a za to urosła ciekawość. Czy chcesz zobaczyć wielką *prororokę* po jutrze, przed cyplem Kavianny, na morzu?

— Ma się rozumieć, odrzekł Karlos. Kiedyż jedziemy?

— Natychmiast. Najprzód zjedzmy śniadanie: tymczasem nasi ludzie wszystko przygotowują, a zamiast zrobić siestę poobiednią w hamakach, zrobimy to samo w czółnach dla skorzystania z przyptywu morza. Do pojutra czas jest krótki; trzeba nam przebyć całą Kawianę, żeby dostać się na cypel północno-wschodni. Ztamtąd powinniśmy najlepiej się przypatrzeć prororoce, która powstaje w poprzek Maraki, wyżej przyładka Północnego, i wznosi się wzdłuż brzegu,

znikając w wielkiem ujściu, aby znowu podnieść się z całą siłą na wybrzeżach Bragancyi i wzdłuż naszej wyspy.

Henryk kazał Isidoriowi przygotować nam *ubę*, dwa czółna, i wszystko co potrzeba do polowania lub łowienia ryb po drodze. Śpiesznie zjedliśmy śniadanie. Postanowiliśmy między sobą żeby Isidorio i Lino zostali przy domu, dla pilnowania mego statku, a z nami miało popłynąć pięciu ludzi Henryka, czterech naszych ze starym Johnem, służący Karlosa i mój dziki Indyjanin. Henryk powiedział donie Karmen że jedziemy zwiedzić pewien *serengal* położony z drugiej strony Kawianny, i że zapewne przepędzimy kilka dni w drodze. Zrazu uwierzyła, lecz w kilka chwil, zawołała nagle:

— Senores, senores, często mówicie po francuzku i jesteście zamyśleni. Zaklinam was, nie rozpoczynajcie kłótni ze złymi ludźmi z waszej ojczyzny. Sądzę, żeście wszyscy trzej zmówili się żeby mnie oszukać.

— Senora, rzekł Karlos, przysięgam pani że jedziemy podziwiać przyrodę, i kąpać się; nic więcej. Zdawało się, że Karlos był jedynym do

zmyślenia, a miał on zawsze na zawołanie jakieś żarty, na końcu języka.

Dona Karmen kiwnęła głową z miną niedowierzającą. Każda kobieta ma w sercu jakieś wrodzone przeczucie, za pomocą którego odgaduje cierpienia lub niebezpieczeństwa grożące tym, których kocha.

Nasi ludzie byli gotowi; żaden z nich nie wiedział gdzie jedziemy. John z murzynami umieścił się w dwóch czółnach stojących obok siebie, a Indianie z nami w *ubie*. Trzech pomiędzy nimi ucentkowali sobie ciało na drogę. Twarze mieli pokolorowane, rumieńce na policzkach czerwono malowane aż pod oczy prawie; jakby jaka *Laïs* jadąca na bal lub przechadzkę, podbródek i piersi popstrzone czerwonymi pręgami idącemi naokoło; za cały ubiór mieli oni spodnie łątane;— bo u nich łąta jest ozdobą, i widziałem Indian poważnie sobie wszywających kawałek jakiej materji, na środku nowego ubrania, jak niektórzy modnisie w Europie, przyszywają z dwóch stron spodni kolorowe lampasy. Jednak, chociaż Indianin tak mało odziany, zawsze jest czysty i schludny; codzień kąpie się przynajmniej

dwa razy; chodzi nawpół nagi, ale nie ma nigdy na sobie nic podartego ani zbrukanego. Iluż to ludzi paraduje u nas wystrojonych od stóp do głowy, którzy nie kąpali się od roku, zalepiwszy tylko krochmalem podartą bieliznę, a kryjąc pod błyszczącym pokostem, niepewnej czystości pończochy.

W jednym z małych czóten złożono żywność, a w drugim nasze hamaki, powrozy, sieci na ryby i broń i zapasy wojenne. Nasza *uba* nie miała osłony; oprócz kilku jezior, bowiem ciągle prawie mieliśmy płynąć przez strumienie osłonięte drzewami, a nawet droga nasza wypadła lasami. Przy tem, Henryk i ja, zawsze na słońcu, opaleni jak Iudyanie, oddawna przestaliśmy się obawiać o naszą europejską skórę, a Karlos, chociaż obywatel wielkiego Belemu, jest zupełnie obojętnym na kolor twarzy. Nasze dubeltówki były pozawieszane wzdłuż ścian *uby*, nabite i z włożonemi pistonami; jeden nabój był ze śrótem jak na wilki; drugi z kulą; puginały myśliwskie w rękę. Pożegnawszy donę Karmen, która stała niespokojna na brzegu, ruszyliśmy w drogę.

Rozciągnawszy się wygodnie na liścianem posłaniu w *ubie*, wkrótce po pierwszym cygarze, zaczęliśmy drzemać. Była to godzina, o której w Paryżu, wszystko co żyje z giełdy, rzuca się do tej świątyni wspólnej Merkurego i Plutusa! Szaleni gracze, chciwe tłumy, Argonauci bez Medei, którzy codzien rozgłaszają nowiny o *prymach* skubiąc się wzajemnie, zawsze oszukując i będąc oszukiwanymi, a jednak marząc bezustannie o złotem runie. Potrzebą Europy jest ruch, jej rozkoszą, nieustająca gorączka; a pod równikiem *siesta* południowa jest codzienną szczęśliwością. Dla mieszkańca południowej Ameryki lub zwiedzającego ją Europejczyka, nic nie wyrówna temu pół-snowi w hamaku lub czótnie, tej drzemce co spada jak zasłona na ociężałe powieki: w której odgaduje się nie widząc, pojmuje się nie słysząc, w której się i śpi i czuwa zarazem. Niech ci co nie pojmują tego szczęścia, przeczytają wiersze śpiewaka *Namuny*, przekonają się tam, że od niepamiętnych czasów Wschodnie ludy sen szczególnie lubiły.

Wtem wystrzał z fuzji obudził nas;— jeden z Indianów strzelił do *paki* (*paca*) przepływają-

cego rzekę:— chociaż postrzelony, płynął on zanurzając się czasami, i farbując krwią swoją drogę na żółtej wodzie. Strzał z fuzji Karlosa dobił go.

— Trzeba być miejskim strzelcem, rzekł Henryk, żeby strzelić na wodzie do postrzelonego *paki*; zatonie on i będzie dla nas stracony.

Lecz już Rafaelo rzucił się był w pław do rzeki, i łapał *pakę* idącego pod wodą.

Zaniósł on go na czołno murzynów i popłynęliśmy dalej. W kilka chwil potem, usłyszeliśmy za nami jakiś krzyk boleści. Był to Bento, służący Karlosa, który z wyrazem przerażenia na twarzy pokazał nam zakrwawioną rękę, a Johannes powiedział:

— Panie, paka ukąsił mocno Bentego.

— Jakto?

— Myślałem że zabity, odrzekł Beuto, i chciałem go oprawić na obiad. Chciałem mu nóż włożyć do nosa, gdy uchwycił mię silnie długimi zębami za palec, i ukąsił, jak panowie widzicie. To mówiąc, mulat płakał myśląc że już umrze.

Nasi Indianie uśmiechali się w milczeniu, lecz z pogardliwym wstrętem, jakim te dzieci pusty-

ni są zawsze przejęte, na widok cierpień objawiających się łzami.

Obejrzeliliśmy palec Benta, z którego obficie krew płynęła. Ząb paka, tego groźnego rodzaju *strzyżaków* (1) mającego podobieństwo do naszej wydry, jest ostry i straszliwy. Na rozkaz don Henryka, jeden z Indian wyjął z myśliwskiej ładownicy buteleczkę zawierającą *sassafrę*, i nałóż z niej kilka kropel na podwójną ranę mulara. Ta essencya, przezroczysta i żółta, pomaga do zatamowania krwi, ma mocny zapach terpentyny i jest bardzo używaną przez Indian z Rio-Negro. Prawie natychmiast krew zatamowała się.

Gdy przyptyw morza ustał, posuwaliśmy się coraz dalej, płynąc pod wodę, za pomocą *pagei*. Z obydwóch stron wąskiej rzeki, po której płynęliśmy drzewa kautczukowe i *muritisy* rozposcierały nad nami zasłonę jednostajnej swej zieloności. Pnie ich zanurzone w wodzie lub na rozmiękłym gruncie, ukazywały się nam jakby umyślnie sadzone w równej odległości, i sterczały

(1) Rząd zwierząt ssących do których należą, szczury *glires*, zające etc.

prostopadle. Naokoło nich, pnące się rośliny z węzłowatemi i pokręconemi łodygami, rozmaitej grubości, wiły się jak gałązki powoju, oplatając te drzewa na dwadzieścia pięć do trzydziestu stóp wysokości. Tam nikły one pomiędzy liśćmi, tworząc jakby gałęzie rozrzucone w różne strony, okrążając drzewa, łącząc się z niemi, albo też wijąc same około siebie w nierozwikłane siatki. Z wierzchołków drzew kautczukowych inne pasożytne rośliny, wyrosłe na samychże gałęziach, spadały aż do wody; to jako powrozy wdół spuszczone, to znowu całe okryte liśćmi i kwieciem różnokolorowem, którego opadłe szczątki brzeg i rzekę zasypywały.

Wiatr zrywający się co chwila, podnosił te giętkie posplatane i ruchome winne gałązki, i kołysał niemi nad rzeką, jak firanką na wiatr puszczoną. Czasami, wielka biała czapla, siedząca na drzewie, wystającym nad wodą, podlatywała niespokojna, przebiegając kilka kroków po gałęzi, wyciągała długą swą szyję, przechylając głowę na wszystkie strony dla popatrzenia się swem żółtym i jasnym okiem. W chwili gdyśmy przepływali pod tem drzewem, wzleciała,

wydając krzyk przerażający i żałosny, jak chorego dziecka; potem, rozwijając w powietrzu, długie swe łabędzie skrzydła, przez kilka chwil leciała przed nami, i odpoczywała aby znowu dalej uciekać. Więcej zdziwiona jak przestraszona naszym widokiem, zdawała się powątpiewać o naszej obecności, czekając do ostatniej chwili, aby się przypatrzeć bliżej dziwnemu zjawisku, zakłócającemu jej samotność. Uchodź, biedny niebiański ptaku! leć, jeśli nie chcesz umrzeć! my jesteśmy dopiero rzadkimi pionierami starej Europy, która tu wkrótce wyszle więcej swych dzieci; uciekaj, pióra twe są kosztowne, a niedługo ujrzysz po twych rzekach, jeziorach, po twych pustych płaszczyznach, chciwych ludzi, którzy od rana do wieczora ścigać cię będą, jak zdobywcy sobie należną!

Za zbliżeniem się naszym, uciekały wielkie szare, lub żółto nakrapiane czaple, *spatule* z różowemi skrzydłami, jak nasze róże, czerwone *guarasy*, białe lub blado-różowe *ibisy*. Czasem, czy to był przesyt, czy lenistwo, dozwalaliśmy im przelatywać spokojnie; to znowu strzelaliśmy do którego z nich, dogadzając to naszemu kapry-

sowi, to chęć strzelania, to jakimś drapieżnemu instynktowi odkrywającemu się w sercach ludzkich. Murzyni chwyтали je, znosząc do czółen i przygotowując do jedzenia, lecz oskubywali tylko piersi, nie dbając o resztę, a ślady powyrzucanych szczątków i powyrywanych piór okrywały za nami rzekę, zostawując w tem zniszczeniu pamiątkę przejścia nienasyconego niszczyciela Europejczyka.

Na godzinę prawie przed zachodem słońca widok nagle się zmienił, ujrzeliśmy na obydwóch brzegach rzeki obszerne łąki, jakby zasadzone nędznymi drzewami tu i ówdzie porozrzucanymi. Jak tylko oko dosięgnąć mogło, wszędzie prawie ziemia była okryta gęstą jasno-zieloną trawą, wysoką od trzech do czterech stóp; miejscami ukazywał się grunt gliniasty, obłany wodą, nawpół przysłoniony trochę rzadkiej i krótkiej trawy. Z obydwóch stron rzeki cyranki, słonki, kaczki rozmaitego koloru i wielkości, podnosiły się z tych baguisk, i niespełna w godzinę nabiliśmy ich dosyć na wieczerzę dla nas i dla naszych ludzi. Murzyni z obydwóch czółen zbierali je zabite na wodzie lub po obydwóch brzegach. Nakoniec dzień zbliżał się ku schyłkowi,

i nagle noc nastąpiła jak to zwykle bywa pod równikiem; Henryk kazał Indianom opuszczać śpiesznie łakę, i żeglowaliśmy jeszcze czas jakiś. Nakoniec znowu las się ukazał; wysłaliśmy naprzód jedno czółno, żeby upatrzeć na brzegu suche miejsce gdzieby można rozłożyć ogień, zgotować obiad, i rozwiesić na noc hamaki.

Służący Karlosa, zabrał do oczyszczenia nasze strzelby, bo w tych wilgotnych okolicach, przez jedną noc więcej może broń zardzewieć, niż u nas w przeciągu lat kilku. Zostawiliśmy tylko przy sobie dla obrony pistolety i puginały: potem położyliśmy się znowu w *ubie*, gwarząc o różnych rzeczach. Tak upłynęło dwie lub trzy godziny. Niecierpliwie doczekując posiłku, pooglądaliśmy ciągle, po za przód czółna; Karlos co chwila wyjmował zegarek i przy blasku cygara, ogłaszał nam głośno godziny, przeklinając po marynarsku, co dowodziło u niego wygłodzonego żołądka. Wreszcie wykrzyknął że już dziewiąta.

Noc była głęboka i cisza panowała w około; rozlegał się tylko odgłos pagejów, uderzających po wodzie jednostajnym ruchem, i energiczne na-

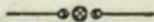
rzekania Karlosa rozchodzące się wśród puszczy ponurej. Nakoniec Rafaelo oznajmił, że słyhać szelest powracającego czółna; i rzeczywiście wkrótce przy płynęło do nas wraz z murzynami.

— Panie, rzekł Johannes, byliśmy bardzo daleko; nie widać nigdzie wyniosłości. Lecz przy płyn już tutaj nie dosięga; grunt dobry pod lasem, możemy ogień rozłożyć. Po drodze nazbieraliśmy drzewa: mamy go pełne czółno.

— Panowie, zapytał Henryk, jakże myślicie?

— Wioślarze zmęczeni, odpowiedziałem; Karlos umierający prawie z głodu; wysiadźmy. Niech rozwieszają na drzewach nasze hamaki, a ludzie będą spać w czółnach.

— Tak, tak! zawołał Karlos; posilmy się najprzód, później pomyślimy o reszcie. Lecz nie traćmy czasu..... Przybijaj do brzegu, przybijaj Rafaelo!



XIX.

P o l o w a n i e n a d z i k i .

UBA przybiła do brzegu i wysiedliśmy. W tej-
 że chwili zabrzmiał w około nas okropny koncert
 z kwiczenia i ryków; zdawało się że cały las
 drży; potem słychać było tętent przyspieszonych
 kroków, jakby biegnącej trzody, łamiące się ga-
 łązie, rozmaite kwiki i krząkanie na różne tony,
 wszystko to przechodziło jak trąba powietrzna i
 zniknęło wkrótce zwolna w ciszy nocnej.

— Dobrze, dobrze zawołał Karlos: otóż i dzi-
 ki w lesie. Sądząc po odgłosie, zdaje się że ich
 jest cała trzoda. Będziemy więc mieli na jutro
 polowanie i zwierzynę.

— Panie Karlos, nie łów ryb przed niewodem,

rzekł don Henryk. Zbyt prędko zemknęły i muszą być już bardzo daleko. Już nic nie słyhać.

—A! ba! obudzę was wszystkich przededniem i zrobimy prawdziwą obławę. Tymczasem dopilnujemy wieczery.

W kilka chwil ogień był gotów, taki zapewne rozpalali niegdyś dawni burgrafowie w Niemczech, piekąc całe woły na przyjęcie swych gości, taki teraz jeszcze rozniecają nad brzegami Amazonki. Jeżeli Indyanie nie mają w czółnie przygotowanego drzewa, obcinają zeschnięte i usychające gałęzie drzew, na rozpalenie ognia; potem przydają znalezione na wilgotnej ziemi, i w kilka chwil wielki już płomień goreje.

Henryk kazał wziąć z domu dostateczny zapas żywności: mieliśmy przy tem świeżą zwierzynę, wino i różne owoce smażone w cukrze na sposób francuzki. Wpół godziny wieczera była gotowa. Lecz ziemię znaleźliśmy wszędzie tak wilgotną, że nawet przykrywszy liśćmi niepodobna było usiąść na niej; podano więc nam wieczere w *ubie*.

Zjedliśmy smaczno, jak ludzie czekający na jedzenie do dziesiątej wieczór, gdy nakoniec uj-

rzą smakowicie zastawioną wieczerzę; po czem mając już pod drzewami rozwieszone hamaki jedno koło drugich, położyliśmy się paląc cygara i zasypialiśmy.

W pustyni tualeta dzienna równie jak i nocna nie jest ani długą, ani wymyślną: potrzebna tylko rzeczna woda, potem koszula i spodnie; a kładąc się spać zdejmuje się tylko kapelusz. Czuli się na zimno okrywają się jeszcze sukniem albo cienką kołdrą z amerykańskiej wełny; inni nieprzykrywają się niczem, kładą się do hamaku,— i wybornie zasypiają.

Henryk i ja obudziliśmy się przededniem, który pod równikiem zaczyna się zwykle o kwadrans na szóstą. Karlos spał jeszcze.

— Jeżeli chcesz, rzekł Henryk, jak tylko rozwidni się, pójdziemy śladami dzików i upolujemy kilka. Jeśliby były bardzo daleko, powrócimy. Obudzmy Karlosa, i bądźmy gotowi. Ja każę wstawać Indyauom.

Poszedłem wołać Karlosa; lecz ten spał rozciągnięty w swym hamaku jak *pięciuset* szczęśliwych, o których mówi w swym poemacie *Goethe*.

Wziąłem go za rękę. Otworzył oczy i patrzył na mnie szklannem okiem jakby nic nie widział.

— Na polowanie! rzekłem do niego z cicha.

Obrócił się, spojrział znowu, i krzyknął po francuzku z takim *crescendo*, że mógłby wystraszyć wszystkie dziki z okolic Amazonki:

— Polowanie, wieprze i wy, idźcie..... do milion.....

Położyłem mu rękę na ustach mówiąc:

— Wrzeszczysz jak *Guarib*: wszystko od ciebie o milę ucieknie. Czy chcesz iść z nami?

— Skurczył się w hamaku i nic nie odpowiedział. Karlos jest największy śpioch naszego czasu, a ja go przebudziłem w śnie najtwardszym! Wszelkie nasze próby na niego się nie zdały.

Powróciłem pod moje drzewo. Wziąwszy tam puginał, i powierzwszy młodemu dzikiemu Indianinowi moją torbę myśliwską, która zawierała rozmaite przedmioty: naboje, krzesiwo, flaszkę z amoniakiem, lancet, fajkę i tytuń; Bento podał mi strzelbę, i poszedłem do don Henryka.

Z niecierpliwością mnie oczekiwał, chcąc wyruszyć, i wskazał mi powstającą zorzę.

— Karlos śpi, rzekłem do niego cichym głosem.

— A więc ruszajmy!

Potem, obracając się do naszych ludzi, tak powiedział im:

— Pierwszy z was który odkryje dzika, niech krzyknie naśladując głos *coro* i zatrzyma się. Don Emilio i ja staniemy, a wy będziecie pędzić na nas zwierzynę. Potem i wy możecie strzelać. Johannes, pójdiesz za mną.

Ruszyliśmy; szeroki ślad ułatwiał przejście w lesie: stado dzików przechodząc przetarło tę drogę, zasypując ją gałęziami i poobijanemi liśćmi jakby po przejściu uragann; zdeptana tysiączeniemi śladami, wyglądała ona jak wiejska ulica, gdy wieczorem liczna przez nią przejdzie trzoda.

Stąpając jak najciszej, wstrzymując oddech, szliśmy już od dwunastu do piętnastu minut, poprzedzeni przez Indian. Wtem, poczułem dotknięcie po ramieniu. Był to *Biszo* (Bicho), mój młody dziki, który nie mówiąc ani słowa, wyciągnął rękę w lewą stronę i przyłożył palec do ucha. Zatrzymałem się; don Henryk uczynił toż samo i zrozumiałwszy znak dawany przez Indianina krzyknął jak *coro*. Natężyliśmy uwagę.

Było cicho zupełnie! - lecz chłopczyk potwierdzał znakami pierwsze swe ostrzeżenie. Spojrzałem na innych Indyan; oprócz Rafaela, na którego twarzy malowała się niepewność, żaden nic nie słyszał.

Don Henryk przemówił pół-głosem:

— Twój Indyanin jest prawdziwie dziki mieszkaniec pustyni, zapewne ma słuszość, idźmy za nim.

Dałem znak *Biszowi* żeby nas prowadził. Poszedł na przód, z pochyloną głową, z nadstawionem uchem, zatrzymując się za każdym stąpieniem. Szliśmy za nim. We trzy minuty, wprost naprzeciw nas rozeszło się w głębi lasu głucho i przeciągłe krząkanie.

Kazaliśmy ludziom poczekać jakie pół godziny, nimbyśmy mogli tymczasem umieścić się dogodnie, a następnie żeby się starali napędzić na nas zwierzynę. Henryk i ja wzięwszy z sobą *Johannesa* i *Biszo* poszliśmy w bok wiatru wiejącego z lewej strony, dla obejścia trzody i przybliżenia się do niej jak można najbardziej; w przeciwnym zaś razie, mieliśmy zająć dobre

miejsce i doczekać jej przejścia blisko wolniejszej przestrzeni.

Obydwa byliśmy wiele razy na takim polowaniu i obroty dzików były nam tak dobrze znane jak samym Indyanóm. Po obydwóch brzegach Amazonki zwierzęta te żyją stadami, składającymi się ze stu do pięciuset, a czasami nawet do tysiąc dwieście i tysiąc pięć-set sztuk. Są one podobne do naszych dzików, chociaż czerwone. O brzasku, małe tarzają się zaraz w błocie, a warchlaki uderzają kły jedne o drugie, a następnie ostrzą je o korzenie drzew, co daje się słyszeć więcej jak o ćwierć mili. Przed wschodem słońca żaden dzik nie rusza się z kałuży, ale jak tylko promienie jego las przenikną, cała gromada podnosi się i rozpierzcha, lecz nie tak daleko żeby jedno drugiego nie słyszało. Przechodząc ryją wszędzie ziemię i pustoszą co tylko natrafiają; jedzą ogólnie wszystko co się nadarzy; owoce palmowe, opadłe orzechy, latorośle, korzenie, korę i młode drzewka. Jeśli które z nich usłyszy lub przewącha jakie niebezpieczeństwo, cała gromada skupia się niespokojna, rozdrażniona, i wtedy słyhać gwałtowniejsze

chrupanie. Jeśli ścigający je tygrys, nie uchwycił śpiesznie swej zdobyczy, to jest odbiegłego warchlaka; lub nieroztropny strzelec dał się spostrzedz albo zwietrzyć, biada im! Cała trzoda gromadą rzuca się jak swora rozpuszczonych chartów, i rozrywa w kawałki tygrysa lub strzelca. Lecz podszedłszy z nienacka tak żeby je od razu postrach ogarnął, co zawsze prawie następuje kiedy się napada na nie z krzykiem, gwałtownie, wtedy strwożone uciekają jak owce, przeciskając się jedne przez drugie, trącąc o drzewa, rzucając przez las, bez żadnego porządku, bez celu, jak gwałtowny wylew wody. Wszystkie żyjące stworzenia które zaludniają tę ziemię, mają pewną cechę podobieństwa do siebie, których człowiek tylko w swem zarozumieniu pogardliwym dla wszystkich istot, nie chce uznać, lecz które niemniej są wyraźne i oczywiste. Pamiętam jak w czasie niezgod domowych, widywałem najdzielniejszy lud ulegający kolejno to niespodzianej trwodze, to gwałtownym wybuchom szalonej odwagi.

Las był zbyt rzadki, żeby można się było zbliżyć do dzików na wystrzał ręcznej broni; trzeba

więc było tak się umieścić, aby musiały przejść pomiędzy nami i Indyanami, zwracając przy tem uwagę na kierunek wiatru, i żeby nas nie mogły ani usłyszeć ani zwietrzyć, i w takim stanowisku oczekiwaliśmy. Henryk szedł po pod lasem ze dwadzieścia minut blisko, o trzydzięści kroków przedemną okrążając w półkole miejsce z kąd wychodziły krząkania, i zatrzymaliśmy się nakoniec.

Prawie w pół godziny rozległo się po całym lesie donośne ryczenie i straszliwy kwik, a potem okropne krząkanie; i w parę minut, cała gromada przejęta strachem, leciała pędem prosto na nas jak uragan. Wszystkie dziki koło nas przebiegły. Ukryty za krzakiem kauczuku, otoczonego pnąciami się roślinami, na który łatwo mogłem wskoczyć, umyślnie przepuściłem pierwsze, a następnie wtedy dopiero wystrzeliłem obydwie naboje dubeltówki jeden po drugim, gdy przierzadzony las, napełnił się zwierzętami, tłocząciami się jedne na drugie. Lecz żadne nie zostało zabite. W tejże chwili usłyszałem dwa odgłosy strzelby, która spaliła na panewce, a później wystrzał przecięty z *Karamby* (rodzaj fuzyi).

Rzuciłem więc strzelbę Biszowi, i wyjmując tylko sztuciec myśliwski, rzuciłem się na całą gromadę. Wszystko pierzchało przedemną; przekłete zwierzęta zdawały się mieć skrzydła: raziłem tylko jedno z nich, które kwicząc okropnie, jeszcze prędzej uciekało niż przed pchnięciem puginału.

Byłem już tyle razy na polowaniu na dziki, że nie chciałem ich ścigać bezużytecznie; powróciłem więc pod moje drzewo. Był tam już i Henryk. Gdy spudłowała jego strzelba, rzucił się także w pogoń za dzikami, lecz równie jak i ja bezskutecznie. Przybyli i nasi Indianie. Kazaliśmy szukać do koła spodziewając się że znajdą kilku rannych dzików. Lecz gdy przez pół godziny nic nie znaleźli, daliśmy znak odwrotu.

W chwili gdy zabieraliśmy się do drogi, dało się słyszeć blisko nas niewyraźne kwiczenie małego prosięcia. Bafaelo postąpił kilka kroków, lecz nagle ukazał się Biszo, trzymając małego warchlaka którego kłuł szablą zmuszając do krzyku, i idąc powolnie podług zwyczaju Indian, spoglądał kolejno na każdego z naszych ludzi z winą niewymownej pogardy. Jak tylko zbliżył

się do mnie, wyjął z swej torby dwa naboje, i podawszy mi je, dał znak żeby iść za nim. Nic nie rozumiejąc nabiłem moją strzelbę, ufając tylko w jego przenikliwość. Uszedł tak dwadzieścia kroków, potem stanął. Warchlak raniony i kłóty ostrzem nadzwyczajnie kwiczał. Zrozumiałem o co idzie, i rzeczywiście, wkrótce pod lasem o piędziesiąt blisko kroków, ujrzałem piękną maciorę, która siedząc na tylnych łapach, podnosiła głowę krzając, tak jak pies gdy wyje. Zamiast śrótu nabiłem strzelbę dwiema kulami i przywitałem ją jedną z nich. Powaliła się od pierwszego wystrzału. W kilka chwil potem Indianie zanieśli ją na czółno. Henryk przywołał Bisza chcąc zobaczyć małego warchlaka; przyniósł lecz nieżywego; udusił go zaraz po moim strzale.

— Barbarzynie! zawołałem, na còś go zabił?

— Biszo, *zjeść*, odpowiedział po portugalsku. Dodawszy jeszcze *spać*, były to jedyne wyrazy, które nauczył się dobitnie i czysto wymawiać, i przejęty tą swoją umiejętnością, Biszo jadł i spał od rana do wieczora.

XX.

B i s z o.

BIEDNY Biszo! przywozłem go był z sobą aż do Francyi. Już on teraz nie żyje! Umarł przed dziesięcio dniami, właśnie kiedy kończyłem kreślić te słowa co dziś poprawiam.

Nic go nie mogło uratować; ani biegli i przeczorni lekarze, ani starania tych pobożnych dziewic, aniołów boleści, które nieraz śmierć odwracać umieją. Przywiązałem się był do tego biednego dziecka pustyni, nieużytecznego lecz drogiego kwiatku, któryśmy przechowywali jako żyjącą pamiątkę tej podróży. Moj brat i ja kupiliśmy go przed dwudziesto miesiącami w wielkiej wsi górnej Amazonki, gdy powracał z la-

su, będąc niewolnikiem już od kilku tygodni; był on cały drżący od febry i znużenia, dręczony żalem za wolnością. Właściciel sprzedał go nam, sądząc że już nie wyjdzie z tej choroby.

Z początku usiadł skuliwszy się w głębi czółna; dziki, milczący, odpychający wszystko. Oczami błędził ciągle po widnokręgu; tylko wielkie osłabienie wstrzymywało go od ucieczki. Czasami podnosił się przyciśniony głodem; chwycił resztki zwierzyny, lub ryby leżące w jakim kącie, i rzucał w ogień palący się przed nami. Jak tylko przejęte zostały płomieniem, rozrywał je palcami o długich, twardych paznogciach, i połykał gorące kawałki. Wieczorem łapał szarańczę, odrywał skrzydła i łapki, przypiekał pozostały korpus, nad naszą lampą, i zjadał nie zważając że jest celem pośmiewiska naszych majtków, szydzących z jego dzikich ruchów, dziwnych przyzwyczajęń i pochodzenia. O! bo i w pustyni dzielą się ludzie na różne kategorie. Indyanin z nadbrzeża Amazonki więcej ucywilizowanego, nasmiewa się z życia swego brata z Japura albo *Aukajali*, tak jak wczorajszy dorobkowiec, zajądając w jednej z lepszych traktyerni miasteczko-

wej, szydzi z potraw wiejskich. Lecz Bóg w swej przedwiecznej sprawiedliwości, patrząc na tych wszystkich małych i nędznych, którzy w Jego świętem obliczu wszyscy są równi, chociaż się wzajemnie pogardzają, pełen jest miłosierdzia i przebaczenia tak dla jednych jak i drugich.

Wszakże stopniowie, dołożywszy starań i łagodności, przewyciężyliśmy chorobę i przemogli dziką jego naturę. Bardzo prędko przywykł do naszego życia nawpół Indyjskiego, jadał pieczone banany i mięso, tak jak my nie chcąc już szarańczy. Brat mój dawał mu palić francuzką fajkę i uczył krajowego języka; śmiał się on wraz z nami tym swoim śmiechem Indyjskim miłym i dźwięcznym, kaleczył francuzczyznę, nadając gardłowe brzmienie naszym wyrazom, podług dzikiego języka. Umiął o każdą rzecz poprosić i przedstawić ją ruchami z niewypowiedzianą wymownością gestów. Opowiadał nam na migi smutną swoją historję. Przekłóte jego nozdrza dowodziły że pochodził z plemienia *Miranas*, w Japura. Pewnego razu, zapewne podczas jednego z tych barbarzyńskich napadów, które tak często zdarzają się między plemionami o-

siadłemi w Ameryce, gdzie jedno stara się ucie-
miężyć drugie, ojciec jego został zabity, matka
pojmana, on związany i zabrany wraz z innemi
dziećmi, mniejszemi i większemi od niego, jak
można się było domyśleć z tego co pokazywał na
migi; długo walczył, lecz napróżno, i z chlubą
dawał nam dotykać się trzech blizn, co się za-
ledwie przygoiły, dowodzące jego młodzieńczej
odwagi. Tak więc na całym Bożym świecie, od
bieguna do bieguna, od wschodu do zachodu, od
starego do nowego świata, od Afryki do Ame-
ryki, pod tym lub owym pozorem, wszędzie czło-
wiek czyha na swego bliźniego: plemiona ludzkie
nielitościwe napadają i przesladują jedne drugie.
Anglo-Saksończyk z nad brzegów Mississipi, za-
pędza przed sobą i zabija mieszkańca step Sijun-
skich; Franko-Gall z nad brzegów Sekwany roz-
pędza i zabija Araba afrykańskiego; *Munduruk*
z Amazonki, ściga i zabija *Mirana* z *Japury*. Pod
rozmaitem nazwaniem, wszędzie jest jedno i zu-
pełnie to samo!

Chcąc nam powiedzieć ile za niego ostatni pan
zapłacił. brał z czołna noże, siekiery, naszą o-
dzież, potem pokazywał każdą rzecz osobno,

przywodząc sobie pierwiej dobrze wszystko na pamięć i podnosząc tyle palców ręki, jaką chciał ilość oznaczyć. Portugalo-Brezylijczyk co go nam odprzedał, nabył ich czterech od tych samych ludyń przez których byli zabrani; dawszy za nich dwanaście siekier, tyleż noży i wiele czerwonych i niebieskich materyj. Poczem wszyscy czterej byli poprowadzeni przez nowego pana; dwóch umarło w drodze i on byłby pewnie nie wyżył, gdyby nie ten napój cośmy mu dali. Opowiadał nam jeszcze jakim sposobem w jego pokoleniu robiono *beizu* z manioku; jakie walki toczyli między sobą, poczem jak jedni drugich zjadali. On sam jadł już mięso z pięciu ludzi, dwóch białych a trzech Indyan; i pokazywał na dłonie swych rąk i stopy nóg, dając do zrozumienia, że te części były przeznaczone dla naczelników, a resztą ciała i uda zostawiano całemu tłumowi bez wyjątku. Z naiwnością też dziecka i Indyanina, na przemiany śmiał się na całe gardło, lub unosił, opowiadając o złołyczach i ucztach uroczystych swojego pokolenia.

Coraz hardziej zaczynał nabierać upodobania w naszym życiu, a osobliwie w ubiorach, codzien

zmieniał bieliznę. Kiedy jechałem z Kayenny do Francyi, prosił żeby mógł jechać ze mną; przywiozłem go więc aż do Paryża; lecz tak gwałtowną zmianę klimatu i sposobu życia przypłacił utratą zdrowia. Najpierwej zachorował w Parra, potem w Kayennie i Martynice. Tam kazałem go ochrzcić. We Francyi zaczął być nieco zdrowszym, a z odzyskaniem zdrowia i przy dobrym bycie, zapomniał po trochu o przeszłości. Stopniowo zaczął pogardzać obyczajami i ubóstwem swego pokolenia, wyrzekał się uprzednich swych upodobań, a nawet swego pochodzenia. Kiedy go zapytywano gdzie się urodził, odpowiadał: «W Paryżu». Gdyby jeszcze rok jeden, rok tylko, może byłby przybrał jakie głośne i z tytułem nazwisko, jak tylu innych, których tu znajduję, a którzy nie wiedzą wszakże, nawet imienia ojca swego.

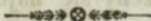
Ale, biedny Biszo, ja żartuję, a śmierć go już zabrała! Doktor utrzymuje, że była to gorączka tyfoidalna, a ja mówię: zepsute miejskie powietrze i ostre mrozy, przyspieszyły zgon jego; i czynię sobie wyrzuty, że go przywiózł pod zimną strefę naszego klimatu. Umarł w dzień

wielkiej burzy przeszłego miesiąca. Zdaje się że usłyszawszy ten grzmot co bezustannie rozdziera powietrze na tamtej półkuli, dusza jego nie mogła się oprzeć wezwaniu jego ojczyzny; zapewne uleciała na błyskawicy, marząc o lasach, polowaniu i pięknych jeziorach, podług ich religijnych wyobrażeń, Ojciec przedwieczny bowiem w nieskończonem swem miłosierdziu, nie może karać tych biednych dusz indyjskich za ich niewiadomość. Kapłan wiejski pobłażliwy i dobry jak oni wszyscy we Francyi, czynił już pewne zarysy wiary w młodem jego sercu; lecz nie znając naszego języka i nie pojmując wyobrażeń, chłopczyzna nie rozumiał jeszcze pocieszających myśli o życiu wiecznem i nadziei zbawienia. Umarł z poddaniem się jak zwykle umierają Indyanie.

Jednakże był on tu szczęśliwym; stara nasza cywilizacya, której zaledwie poznał tylko wdzięki, wydała mu się powabną i dobroczynną. Przychodził z domu mojej matki do mnie, mało czem się zajmując, pieszczony od wszystkich; przesiadywał to w Paryżu, to w lesie Rambouillet, gdzie sobie trochę przypominał pustynię i nie-

zależne życie. Wiejskie dzieci uśmiechały się zadziwione, widząc przesuającą się piękną jego indyjską głowę, lekko pobrązowaną podrównikowem słońcem z chińskimi błyszczącymi czarnymi jak sadza oczami, i lśknącymi włosami, co połyskiwały jak krucze pióra. Działwa zbiegała się do niego, pytając o nazwisko ojca i ziemię jego pradziadów. Chłopczyk śmiał się patrząc na nich i nic nie odpowiadał. Potem wszyscy razem zapominając o czynionych zapytaniach, o odmiennem plemienu, przebiegali leśne drogi, śmiejąc się, borukając, jak dawni przyjaciele: on pokazywał już jak się strzela z łuku, oni uczyli go gier francuzkich; a gdy zmrok zapadał, wszyscy powracali do wioski żeby się najeść i przenocować w domu, nie troszcząc się o nic, nie wiedząc nawet czy ojcowie zarobili dla nich na chleb powszedni. Szczęśliwe dzieci! igrajcie ile możecie, bawcie się, godzina w której myśleć zaczniecie, zbyt wczesnie nadejdzie! Powiew nieszczęścia, wionie na was, i rozproszy jak wichur żdzbla słomy. Jeden z was popłynie przez dalekie morza bez żadnej nagrody, drugi będzie zapoznany w swych pracach i poświęceniach, inni rozpierz-

chną się po obcej ziemi. Wszyscy oszukani w uczuciach, zawiedzeni w nadziejach, będziecie liczyli dnie wasze tęsknotą, a lata żałobą. On umarł, biedny chłopiec! umarł, i zaledwie mam tyle czasu, aby mu rzucić w przelocie to przyjazne wspomnienie. Godzina ubiega, a drukarnia czeka. Dzięki tym jednak, którzy mi zostawili wolną chwilę żeby go pożałować i skreślić te kilka wyrazów. Dzięki tym co mnie zachowali w pamięci! dobrodziejstwa równie jak zuiewagi, wkładają pewne obowiązki, a ze wszystkich uczuć, najpiękniejszem jest wspomnienie!



XXI.

Podróż na przeciw Prororoki.

Po skończonem polowaniu, wróciliśmy do czółna. Karlos już wstał i kąpał się; my poszliśmy za jego przykładem, i nasi ludzie również, a następnie udaliśmy się w dalszą podróż. Płynęliśmy szybko, rzeka przerzynała las przerywany łąkami. Niekiedy, w poprzek zwalone drzewo, tamowało jej bieg; natenczas dwaj nasi ludzie wysiadali i włazili na pień, dla przesunięcia przez niego *uby*, jeśli leżał na powierzchni wody, a w przeciwnym razie, przepływaliśmy pod nim, kładąc się w czółnie, które płynąc, brzegami swemi dotykało pnia poziomie leżacego. Murzyni

zmieniali naszych ludzi dla odpoczynku. Kazaliśmy rozłożyć ogień w jednym z małych czóten, na skorupie żółwia napełnionej ziemią, i żeby nie tracić czasu, w drodze zjedliśmy śniadanie.

Około dziesiątej godziny, rzeka zaczęła się zwęźać; obalone pnie drzew coraz częściej tamowały nam drogę; rośliny bluszczowate, wiły się zawalając koryto rzeki, kręcąc się od jednego brzegu do drugiego, i tworząc jakby różnokształtne sieci, o nierównych okach, które trzeba było przecinać szablami. Kazaliśmy aby jeden człowiek płynący na małym czólnie przed nami, przecinał drogę. Wkrótce odnoga stała się tak wąską, że niepodobna było dalej wiosłować; zaledwie mogła się zmieścić sama *uba*; co chwila *pageje* naszych wiosłarzy dotykały brzegu, lub drzew i krzewów, coraz gęściej na nim rosnących. Czasami długa łódź obracała się z wielką trudnością, na bystrym zakręcie rzeki, a woda aż dotąd mętna, błotnista i żółta, stawała się czystsza, lecz mniej głęboką,— *pageje* dna dotykały.

Gdyśmy z godzinę tak ciężko i powoli płynęli, woda była coraz płytsza, tak dalece żeśmy

zmuszeni byli porzucić *pageje* i gdyby nie przypływ morza, pędzący trochę wody, nie można byłoby wcale płynąć dalej. Nasi ludzie, nacieli długich żerdzi, zakończonych w kształcie haków, jak *bosaki*, i ciągnęli nas, zaczepiając je o drzewa i inne rośliny będące po drodze. *Uba* przesuwawała się raczej po mulę niż płynęła po wodzie. Wystaliśmy Rafaela na rozpoznanie miejscowości.

Don Henryk obawiał się żeby nie zabłądzić. Zdawało mu się, że kanał którym płynęliśmy prowadził do jeziora obszernego, na trzy lub cztery mile i ciągnącego się ku stronie północno-wschodniej na naszej drodze. Lecz wspomnienia te sięgały czasów jego przybycia na wyspę, to jest przed pięć laty, mogliśmy więc byli mylnie puścić się innym kanałem, gdyż w drodze było ich z piętnaście, wpadających do naszego w rozmaitych kierunkach, tak iż często byliśmy niepewni którądy wypadało płynąć.

Lecz wkrótce powrócił Rafaelo; jezioro było już blisko nas. Wysiedliśmy na ląd wraz z ludźmi. Obadwa małe czółna włożono do *uby* i wszyscy ludzie wzięli się do wyciągnięcia jej na

brzeg; woda znikąca zupełnie; nie było już ani śladu rzeki, lecz łódź ciągniona przez dziesięciu ludzi zachęcanych tafią, spieszenie posuwała się po mokrej ziemi, i w godzinę ujrzeliśmy jezioro.

Henryk nie omylił się; tylko że kanał którym można było odpłynąć aż do jeziora, zamknął się zupełnie, zawałonym będąc mułem Amazonki i szczątkami lasu, tudzież że cały pokrył się bujną podrównikową roślinnością. Takie zmiany na gruntach koło Amazonki po całym jej nurcie od źródeł aż do ujścia, tak często się zdarzają, że rozmaite indyjskie narzecza używane przez tamecznych nadbrzeżnych mieszkańców, chociaż bardzo ubogie w wyrażenia, mają odrębne nazwy, czy to na zamknięcie się kanału, czy otwarcie się nowej drogi, którą sobie rzeka przerywa podczas wielkiego wezbrania wód. Sam widziałem mnogie przykłady, podobne tylko co przytoczonemu, i całe mile koryta rzeki, napelnione i pokryte drzewami w przeciągu lat kilku. Orzeźwiający wietrzyk w kierunku naszej drogi, powiewał przez jezioro. Namawiałem Henryka żeby popłynąć z żaglami.

— Niebezpiecznie to, odpowiedział; *uba* nie u-

mie płynąć pod żaglem; lecz nas jest tylu, możemy więc pilnować się, a w najgorszym razie umiemy pływać. Tym sposobem też wypoczną ludzie.

Jezeli tylko można uniknąć wiosłowania, Indianie i murzyni prędko rozumieją o co rzecz idzie. Jeszcze Henryk nie skończył mówić, a już nasi ludzie rozchodzili się w różne strony. Kazaliśmy im zrobić cztery małe maszty i szesć żagli.

Te przygotowania powinny były zająć godzinę lub dwie czasu. Ruszyliśmy więc na polowanie, zabierając z sobą dla posługi starego Johna i Bisza. Brzegi jeziora zawałały lilije i inne rozmaite wodne rośliny. Nasza europejska wyobraźnia, zaledwie może wymarzyć sobie owe miryady ptaków, zaludniających bagna w pustych okolicach położonych nad Amazonką; czubate kury, kaczki, cyranki, dzikie gęsi, morskie czaple, bąki, czaple sułtańskie, mewki, chróściele, koniki, kszyki, i t. d., wlatywały wystraszone naszym głosem i znowu siadały o kilka kroków dalej. Henryk został dla przyspieszenia roboty żagli, a Karlos i ja poszliśmy po za brzegami je-

ziora, brodząc w wodzie po kolana. Biszo uzbroił się w długą i cienką pałeczkę, której jeden koniec był spiczasty, a drugi kończył się haczykowato. Podnosił on zabite ptaki i nawlekał je za poddziobowe błony, ciągnąc za sobą pierzastą swoją zdobycz; pogardzając resztą postrzelonych, które uciekały ku środkowi nurtu, lub na brzeg przeciwny. Strzelałem tylko do stad, i drobnym śrótem. Gdym powracał, zabiłem na brzegu dwa czy trzy bekasy, które się podniosły z trawy pod memi nogami, i w przeciągu godziny powróciliśmy obciążeni większą ilością zwierzyny, niżby można spotrzebować przez dzień cały.

Maszty zastaliśmy już umieszczone i podparte gałęziami, przywiązane łykiem, dwa na *ubie*, z których każdy miał nieść żagiel z boku, a po jednym w każdym czółnie. Indianie kończyli żagle. Każdy z nich zrobiony był z czterech dużych palmowych liści, długich na dwanaście stóp, od których długie wiszące strąki jak szerokie warkoczki wierzb, były z sobą posplatane i trzymały się mocno przeciw wiatru jak tkanina z konopi. Wszyscy nasi ludzie z dawna mieli wprawę w ro-

bieniu takiego rodzaju podrównikowych żagłów, i prędzej niż w godzinę było już ich sześć gotowych, poprzywiązywanych wzdłuż masztów. Kazawszy wrzucić trochę ziemi na dno czółen, dla większego ciężaru, popłynęliśmy dalej.

Wiatr pędził nas szybko i nieprzerwanie. *Uha* płynęła pochylona ku stronie wiatru, przerzynając pieniające się fale, i bałwany wpadały niekiedy aż do czółna naszego; lecz prostowaliśmy *ubę* popuszczając cokolwiek żagiel, a tymczasem ludzie wylewali wodę kubkami od mąki, *kui* zwanemi. Murzyni w czółnach pośpieszali tuż za nami, oskubując ptaki przeznaczone na obiad, i śpiewając nieskończone swe Afrykańskie pieśni hałaśliwe, jakby amatorski koncert. Przez trzy godziny płynąc ciągle ku północy i północo-wschodowi, przebyliśmy bez przeszkody od brzegu do brzegu, bystre wody jeziora.

Chcąc płynąć dalej, trzeba było wejść pomiędzy zarośla zawalające staw. Wrzuciliśmy w wodę maszty i żagle utrudniające nam teraz drogę, a Indianie wzięli się do żerdzi i *pagejów*. Z wielką trudnością posuwaliśmy się dalej, zatrzymywani ciągle przez nadzwyczaj wielkie lilie wodne

i długą trawę o włóknistych łodygach, okręcających czółna dokoła. Dwóch Indyan pochyłych na przodzie *uby*, o ile mogli, przecinali je szablami siekierkowatemi, albo je odsuwali od nas; lecz znowu podnosiły się one coraz gęstsze i tak splątane, że nie można było prawie posuwać się dalej. Pomagaliśmy Indyanom, czego rzadko dopuści się pan niewolników pod zwrotnikiem. Lenistwo, jak każde przyzwyczajenie staje się drugą naturą, rzekł pewien filozof; a pod równikiem zaś jest to właśnie najpierwszy nałóg białych. Pod tą szerokością geograficzną, Europejczyk od wieków przyzwyczajony posługiwać się murzynami niewolnikami lub Indyanami, uważa pracę rąk własnych, za niegodną siebie. Przez lenistwo, dumę, miłość własną i egoizm, przywykł sam i utwierdził na świecie to mniemanie, że pod zwrotnikami praca jest niepodobna i zabijająca dla Europejczyka. Ta książka nie na to wydana, aby wyzwać do otwartej walki lub sporów ten zastarzały błąd; widziałem bowiem wiele razy w Peru, Brezylji, Kayennie, Martynice i Stanach-Zjednoczonych, żywe i pomyslnie przykłady szczęśliwej pracy białych, a

nawet Europejczyków; mógłbym więc w tym względzie przekonać inaczej czytelnika.

Cokolwiekbądź, wlekliśmy się jeszcze około godziny, holując *hakami* jak nasi ludyanie; lecz to nie przyspieszało naszej podróży. Dzień miał się już ku schyłkowi i trzeba było coś stanowczego przedsięwziąć; wypadało albo holować tak całą noc, spać w czólnie bez kolacyi, gdy brakowało nam drzewa, a nazajutrz wysiąść gdzie na brzegu, lub cofnąć się wypływając z zarośli i szukać przejścia od strony Wschodu. Henryk wiedział, że ta wyspa przerżnięta jest kanałem, na który przyptyw i odpływ morza, z obu stron działa jak na rzece *Tour de l'île*, przecinającej Kayennę. Dawniej ten kanał przytykał do jeziora; ale czy on istniał jeszcze? a przy tem czyśmy rzeczywiście po nim płynęli?

Opóźnienie mogłoby nas pozbawić widzenia jutrzejszego przejścia prororoki. Z rozlegającego się straszliwego huk, który dochodził aż do nas, kiedyśmy się zapuszczali w zarośle, można było sądzić, że morze jest zaledwie o dwie mile. Postanowiliśmy więc wysiąść z czółen i iść lądem, narażając się nawet na kroczenie po za-

lanej już ziemi, i w takim razie przenocować na drzewach. Woda miała tu tylko 4 stopy szerokości, a do lasu była najmniej mila; wysiedliśmy więc i każdy uzbroił się *pagrją* na drogę, żeby mieć czem odpędzać elektryczne węże, które tu łatwo można było napotkać. Zaleciwszy murzynom i Indyanom zabrać żywność, strzelby, sieci, hamaki, i zostawiając czołna opiece Neptuna, puściliśmy się w drogę.

Woda sięgała nam po pas, czasem aż pod łopatkę; nawet kilka razy zapadaliśmy byli zupełnie w doły lub wydrążenia gruntu. Karlos nie umiejąc pływać szedł pomiędzy nami dwoma i mówił żartując:

— Koledzy, czemu co chwila wołacie: Nie ma dna; wszakże ono jest wszędzie, chociaż czasem tak trudno go znaleźć jak pieniądze. Filozof pływacz, umie się obejść bez tego, lub szuka gdzieindziej; tchórz ucieka i umiera z głodu zachwycony chwastami życia; i ja z waszej łaski mogę umrzeć z głodu, idźcież prędzej.

Ja i Henryk ciągle musieliśmy go uaczekać.

W połowie drogi, murzynowi, co niósł na głowie zwinięte hamaki, okręcił się koło nogi wąż

elektryczny; ten upadł od uderzenia elektrycznego; lecz tyle miał siły, że oderwał gad i podniósł się z ziemi. Czekaliśmy na niego chwil kilka, i następnie bez żadnego innego przypadku, dostaliśmy się do brzegu przed samą nocą zdrowo i szczęśliwie, dzięki naszym szerokim *pagejom*, których używaliśmy jak drągów ratunkowych, a nadewszystko zaś dzięki przyzwyczajeniu do dalekiego długiego chodzenia i utrudzenia ciała; której to siły każdy człowiek musi nabyć w życiu na pustyni.

Całe ręce mieliśmy lekko pokaleczone wielką trawą, lecz to rzecz zwyczajna na polowaniu? Spodnie nasze powyrywane i podarte były na kolanach, lecz amerykańskie płótno nie tak delikatne jak kaźmirek francuzki; zrobienie nowych niewiele kosztuje; nasze bawełniane hamaki, były nie mniej mokre od nas samych, ale godzina dobrego ognia wysuszyła pierwsze, a kolacya i sen pokrzepiły drugich.

Jak tylko ukazał się pierwszy blask jutrzeńki, już byliśmy na nogach. Całe rano szliśmy pod lasem, kierując się w stronę północno-wschodnią, nie spotkawszy nigdzie żadnego ptaka, ani

nawet małpy. Wszystko było milczące i puste. Prororoka trwająca już od dwóch dni, powypędzała dzikie zwierzęta ku środkowi wyspy. Postępowaliśmy powoli po ślizkiej, mokrej i bujną roślinnością pokrytej ziemi. Zmuszeni, to przerywać sobie drogę szablami, obcinając gałęzie, krzaki, wijące się rośliny pomiędzy drzewami, jak nieskończone sieci; to znowu brnąć przez wodę po kolana w mule, po krętem bagnie pełnem czarnej spleśniałej wody, tak głębokiej, że niepodobna było przejść. Co chwila tamowały nam drogę zatrute assakusy, drzewa palmowe, których liście i pnie były pełne kolców i rosły gęsto jedne przy drugich; naokoło nich ziemia okryta szczątkami ciernistych kolców nakształt ogromnego grzbietu obłoczonego jeża, zmuszała nas poranionych, z przeklęstwem na ustach, szukać innego przejścia.

Nagle niska roślinność czyli krzaki i krzewy zniknęły zupełnie, a ich miejsce zajęły drzewa wielkie, kautczuki, andiroby, palmy, kastanbery. Dalej już iść nie można było, gdyż zbytnią głębokość wody nie dozwoliła nigdzie dna zgruntować. Pnie drzew wychodziły z wody oddalone

jedne od drugich, śliskie i nieskręcone żadnymi roślinami, o którehy się można zatrzymać. Szliśmy czas jakiś brzegiem bagna; lecz tym sposobem coraz więcej zwracaliśmy kierunek nasz ku zachodowi, w przeciwną stronę Oceanu. Co chwila, który z Indyanów mierzył głębokość wody, lecz żaden nie mógł dna dostać. Czas upływał i głód dawał się nam czuć coraz bardziej; bo już od czterech blisko godzin szliśmy bez odpoczynku. Trzeba było koniecznie przepłynąć tę wodę, żeby dostać się na brzeg morza, gdzie wiadomo było, że już ziemię twardą znajdziemy.

Bagno, którego brzegi przechodziliśmy, pełne było pni, i gałęzi z drzewa *balsa* wystających nad powierzchnię wody. Nasi ludzie zbili tratwę z czterech czy pięciu pni, powiązanych łykiem i popłynęliśmy na niej: bagno nie miało więcej jak sto kroków szerokości. Indianie woleli je wplaw przebyć, niż czekać na powrót tratwy, i za kwadrans ujrzelśmy Ocean.

Ogromne niezmierzone wybrzeże rozciągało się przed nami. Morze żółtawe przy ujściu Amazonki, jaśniało przy promieniach słońca, jakby samo słońce. Wychodziliśmy z pod głębokiego cienia

bujnej podrównikowej roślinności i to gwałtowne i wielorakie odbicie się światła, olśniło nas zupełnie.

Po przykrej drodze odbytej przez las, szczęśliwi, że już teraz stąpamy po miękkim i ciepłym piasku wybrzeża, najprzód pomyśleliśmy o wymoczeniu zbolałych nóg i wykąpaniu się. Dwóch z naszych ludzi rozłożyło ogień na brzegu, a drudzy zajęli się łowieniem ryb. Za pierwszem zarzuceniem sieci wyciągnęli ze dwadzieścia ryb rozmaitej wielkości, *gurijubasów*, *pakusów*, białe i czarne *peskady* i t. d.

Rozesłano obrus na ziemi, to jest liście, i położono mąkę i sól; palce zastępowały nam sztuce. Zaledwie usmażyła się ryba, wzięliśmy się do niej. Indyanie i murzyni usiadłszy z podkurczonemi nogami przy ogniu, czynili to samo co i my, zajadając z apetytem jak zgłodniaли wędrowcy, żeby przynajmniej wynagrodzić jakoś ilością, gdy nagle Rafaelo krzyknął przeraźliwym głosem:

— *Prororoka!*

Spiesznie zarzuciwszy strzelby na plecy, i zwołując ludzi, pobiegliśmy jak najprędzej ku laso-

wi. Już daleki grzmot piaszczystego wału zahuczał z pełnego morza, zbliżając się do nas; nagle straszny łoskot fal bijących po mieliznach rozległ się chrapliwie, donośnie, tętniąc coraz gwałtowniej, jak stado galopujących koni. Do lasu było jeszcze ze sto kroków, lecz zdawało się, że trąba dopędzi nas w połowie drogi i uniesie. Dobiegliśmy wszakże, i śpiesznie mijając pierwsze krzaki, uszliśmy jeszcze pod lasem ze czterdzieści kroków. W tem, zachwyciły nas z piaskiem zmięszane bałwany. Poczułem jak przeleciał po mej głowie i ramionach bałwan błotnistej wody, jak gdybym stanął pod otworem rynny w czasie wielkiej nawałnicy. Potem druga gwałtowna fala przeszła po mnie aż do wysokości piersi, oblawszy błotem; później znowu inny bałwan podniósł mię w górę o kilka stóp i rzucił jak to bywa w czasie morskich kąpieli, podczas przyptywu, a przez kilka chwil nic nie widziałem i nie mogłem nawet na nic natrafić o coby się zatrzymać; w tem giętka wijąca się roślina w pół mię objęła obwinąwszy naokoło i stanąłem. Uchwyciwszy się jej ze wszystkich sił, szukałem wzrokiem moich towarzyszków wyprawy.

W tej chwili przesunął się koło mnie Henryk, którego także bałwan toczył i unosił; lecz zaraz straciłem go z oczu. Co do Karlosa, spostrzegłem go trzymającego się obydwoma rękami za wysoką gałąź, tak jakby odbywał ćwiczenia gimnastyczne. Bałwany bezustanku przechodziły koło mnie. Puścić się na wyszukanie Henryka byłoby prawdziwym szaleństwem, i bez żadnej korzyści. Przy tem niebezpieczeństwo nie było tak wielkie, szczególnie dla niego, co był przyzwyczajony do bystrych prądów Huallagi. Tego tylko najwięcej obawiałem się, żeby bałwan porwawszy go nie uderzył gwałtownie o drzewo. Oglądałem się wszakże ciągle na wszystkie strony i nakoniec ujrzałem go przed sobą siedzącego konno na gałęzi, o dziesięć stóp nad ziemią.

Niepodobieństwem było przemówić co do siebie; łoskot prororoki wszystko zagłuszał. Woda toczyła się żółta i spieniona, a przytrzymująca mnie roślina potrącana falą drżała, jak żerdź rybacka zastawiana w wodzie przy sieciach. Nadaremnie chciałem stanąć na ziemi, bałwany ciągle mnie popychały, strzelba zaś zawadzała mi, zsuwając się ciągle z ramienia na rękę, którą się

przytrzymałem. Obawiając się, żebym znowu nie był wywrócony, nie chciałem puścić rośliny dla dostania się do drzewa; okręciłem nią tylko nogi i tak zostałem. W przeciągu czterech lub pięciu minut, pęd stopniowo ustawał; stanąłem nareszcie nie będąc już unoszony; bałwany sięgały już tylko wyżej kolan. Potem jeszcze się zniżyły. Wkrótce też nadszedł Karlos i Henryk.

Karlos mówił, że ma jakby połamane ręce; jednak nie opuszczała go wesołość. Ocierając brodę, dodał:

— Uczyniłem jak Horacyusz, zostawiwszy zbroję na polu bitwy. Więcej bowiem cenię moją skórę niż strzelbę! Henryk i ja doznaliśmy tylko lekkiej kontuzii; kolba od jego strzelby złamała się, a od mojej wykrzywiony był kurek. Wkrótce nadeszli i nasi ludzie. Johannes dostał wielkiego bólu w łopatce; Antonio kulał; Bente-go nie można było znaleźć. Oglądaliśmy się za nim na wszystkie strony.

Lecz nie było czasu do stracenia; bałwany wkrótce miały nadejść znowu. Zostawało wolnych zaledwie pięć minut; korzystając z nich,

weszliśmy jak najgłębiej w las, idąc tak prędko o ile nam dozwalało utrudzenie, woda i śliska ziemia.

Nim powtórnie uderzyła prororoka, już więcej niż trzysta kroków lasu oddzielało nas od Oceanu; woda zaledwie nas dosięgła po kostki. Trzecie uderzenie już nawet nie doszło do nas.

Natychmiast wysłaliśmy wszystkich ludzi wyszukiwać Bentego, udawszy się na brzeg dla przesuszenia przemokłej odzieży na słońcu, które jaśniejac wspaniale skwarne rzucało promienie. Morze znowu spokojnie las obmywało; przejście prororoki jest jakby wielkie wezbranie przypiływu morskiego, który długo zatrzymywany wodami rzeki, wzmagą się gwałtownie w trzech uderzeniach. *Prororoka* na Amazonce jest to samo co *maskaret* na Gangesie, a wał piaszczysty na Sekwanie, dodać tu tylko wypada olbrzymie rozmiary przypiływów i odpłyłów Atlantyku, które one przybrać muszą dla pokonania wód i prądów tej królowej rzek wszystkich.

Nie mam zapewne potrzeby przydawać, że kapelusze, hamak, sieci, cała nasza uczta, słowem wszystko stało się pastwą *prororoki*. Ludzie

wkrótce powrócili, nie znalazłszy Benta. I oni chcieli się przesuszyc jak my, a zresztą miłość murzynów i Indyan dla mulatów, nie jest nigdy zbyt zbyteczną, wkrótce więc zaniechali swych poszukiwań, i powrócili przynosząc kapelusz Karlosa i mój, znalezione w lesie.

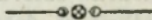
Zostawało nam jeszcze siedm do ośmiu godzin do nadejścia wielkiej prororoki. Kazaliśmy przesuszyc na słońcu naboje i broń; w pół godziny potem Karlos szukając swej fuzii, znalazł hama-ki jeszcze zwinięte i zatrzymane w krzakach między wijącemi się roślinami, przy wejściu do lasu. Przyszedł z tryumfem oznajmić nam to odkrycie. Kazaliśmy je, chociaż mokre porospinać po drzewach, a kołyszac się w nich, rozmyślaliśmy nad różnemi sposobami, przypatrzenia się bliżej *prororoce*, gdyż dotąd jej nie widzieliśmy i będąc przywitani bałwanami, nie mogliśmy o niej sądzić przez przestrzeń czterdziestu łokci lasu, które rozerwały jej prądy.

Każdy z nas podawał coraz niebezpieczniejsze sposoby i trudne do wykonania. Henryk przywołał Rafaela.

— Czy widziałeś pęd prororoki, zapytał, siedząc na wysokiem drzewie podczas tej katastrofy?

— Nie, panie! Lecz w tej chwili, szukając fuzji senora Karlosa, spostrzegłem duże i mocne drzewo chociaż blisko morza, z kąd moglibyście dobrze się przypatrzeć, jeśli na to tylko czekacie.

Poszliśmy więc to drzewo obejrzeć. Był to Kastanhero mający do trzydziestu lub trzydziestu pięciu lat, gruby jak we Francyi dąb ośmdziesięcio-letni. Wijące się w koło rośliny mogły nam ułatwić dostanie się na wierzchołek, a Rafaelo odgadując nasze żądania, podjął się poobcinać gałęzie i krzaki zasłaniające widok. Powierzyliśmy mu zupełnie opatrzenie tego miejsca, i aby wszystko przygotował na wieczór, podług swej indyjskiej przenikliwości.



XXII.

Mulatka w Martynice.

JEDNAKŻE Bento nie wracał; sami postanowiliśmy go szukać. Dawszy dwa razy hasło wystrzałami, wyszliśmy w tym celu i już byliśmy pod lasem, gdy nadszedł Antonio, a za nim Bento w dobrym zupełnie stanie.

— Hejże!..... zawołał Karlos, skąd przybywasz? Czyś nie ranny?

— Nie, panie; lecz bałem się prororoki i siedziałem w lesie aż do tego czasu.

— A cóż to za tchórz! mruknął Karlos; oddałbym wszystkich na świecie mulatów za jednego murzyna. Don Henryku, ja ci go sprzedaję.

— Nie, odrzekł Henryk; nie chcę mulata: źle

służą i nie uważają się już za niewolników. Nie są to już murzyni a nie są jeszcze biali.

Tak rozmawiając wróciliśmy do naszych hamaków, Karlos w istocie dosyć lubił Benta, a z upodobania do rozpraw, w których mógłby rzucić jakie szyderstwo starej Europie, zaczął teraz znowu bronić mulatów. Lecz nie można było przekonać Henryka w tym względzie. Nie będę powtarzał wszystkich dowodzeń, przytaczanych na obronę wzajemną tych zdań obu zapaśników. Przypominam sobie tylko krótką historję opowiedzianą w ciągu tych sporów. Ponieważ maluje ona dobrze charakter mulatek i zarazem naszego gospodarza, powtarzam ją taką jak słyszałem, oczekując nadejścia proroka.

—Dla czegoż nie lubiąc tej rasy mieszanej, trzymasz u siebie mulatki przy donie Karmen? rzekł Karlos w ciągu swej obrony mulatów.

—Dla tego odpowiedział Henryk, że w tej rasie kobiety nie są podobne do mężczyzn, i nawet tem się od nich różnią, że są przywiązane do swych panów, a szczególnie do pań.

Gdybym się nie obawiał uszczypliwego i niegodziwego twego języka, który gotów wyśmiać

biedne przelotne miłostki, powtórzyłbym ci na poparcie mojego dowodzenia pewną odpowiedź, którą otrzymałem w Martynice.

—Radzę ci ją powtórzyć w każdym razie, odrzekł Karlos, gdyż sam zapach tego wspomnienia odurza ci głowę, i udławiłbyś się, gdybyś ją zamilczał.— Opowiedz jeszcze i dla tego, że i kolega kochany lubi słuchać miłośne historyjki.

—A więc! niech i tak będzie, rzekł Henryk; masz nawet zupełną rację, doznaję jakiejś rozkoszy opowiadając ten wypadek, i nawet teraz chcę więcej siebie zadowolnić niż was.

Kilka lat temu właśnie gdy kauczuk zaczynał być najzyskowniejszym wyrobem tego kraju, pojechałem był do Nowego-Orleanu żeby tam związać stosunki handlowe. Na wzgórzach Martyniki, statek handlowy amerykański o trzech masztach na którym płynąłem, zaskoczony został nagłym i nieprzewidzianym wiatrem, od strony Antylów, znanym wszystkim majtkom. Amerykanie są najodważniejsi w świecie marynarze, i nasz kapitan nie zważając na grożącą nam od godziny nawalnicę, nie zwinął żadnego żagla. W mgnieniu oka poszarpane zostały na sztuki; jeden maszt wpadł

w morze, inne poodrywała burza, a okręt rzu-
cany na wszystkie strony zaczął nabierać wody.
Z wielką trudnością przybyliśmy do Martyniki.
Tam kapitan oznajmił podróżnym, że potrzebo-
wał najmniej dziesięć do piętnastu dni dla na-
prawienia uszkodzonego statku i zbycia zamo-
kłych towarów, które przez dwadzieścia cztery
godziny zostawały w wodzie. Pośpieszyliśmy na
ląd jak ptaki którym otworzą klatkę; na pokła-
dzie została tylko stara Amerykanka mająca tro-
chę pomieszane zmysły, której się ciągle zdawa-
ło, że jest jeszcze w Brezylji, a nie chce tam
już więcej wracać.

Znacie Martynikę, z jej wysokimi cyplami
gór, uprawnemi równinami z domami ukryte-
mi w wiecznej zieloności; ten klejnot Antillów
wychodzący z morza, połyskuje przy promieniach
słonecznych, blaskiem dyamentu osadzonego w mo-
rzu, które go oblewa, świeci on na błękitnym ocea-
nie zwrotnikowym jak złocista chmura na lazuro-
wem sklepieniu niebios. Byłem tak szczęśliwy jak
dziecię, któremu przebaczone karę, zem mógł
deptać po tej francuzkiej ziemi, widzieć kreolów,
słyszeć ich mówiących naszym językiem, łago-

dnym i mile brzmiącym akcentem. Lubię Martynikę miłością taką jakiej się doznaje kiedy się kocha ostatni raz w życiu, a przytem lubię kreolów; jest to ród szlachetny, który przebywszy morza i doznawszy tak wiele nieszczęść, zachowuje żywo i najpotężniej świętą miłość matki-ojczyzny! ród ten gościnnie, dumny i wierny, co od jednego bieguna do drugiego, oddaje pamiątkom przeszłości cześć prawie religijną, który nawet pod obcym panowaniem, zachowuje w sercu jakby w przybytku świątyni obraz ukochany tej Francyi, tego bożyszcza. Ten sam ród w Kanadzie klęka i jeszcze łzy roni na grobowcu *Montcalma*, tego bohatera zapomnianego przez nas na obcej ziemi, który w Luizianie zawsze kołysze jej dzieci piosnkami z Francyi; a na wyspie Ś. Maurycego trawi się jak *Mignon*, żalem za ojczyznę; który nakoniec w Antyllach, czci jak świętą, ubóstwianą władczynię z *Malmaison*, tego kreolskiego anioła z czasów pierwszego cesarstwa!

Okręt zatrzymał się był w *Saint-Pierre*. Utrzymują że ten port tak jak każde w świecie miasto, ma wiele ponęt dla swych mieszkańców,—gdyż nie ma zakątka, coby dla nas nie był dro-

gim kiedy jest ojczyzną; lecz ja, nie pochodzę z *Saint-Pierre*, i wolę *Fort-de-France*. Nazajutrz po mojem przybyciu, pojechałem do tego miasta, którego ulice porządnie zbudowane i piękne przechadzki, przypominają trochę południowe fraucuzkie miasta. Tylko w nich jest mniejszy ruch, mniej bogactw i nie tylu mieszkańców co w *Saint-Pierre*; lecz ja należą do rzędu tych co wolą Wersal niż Hawr, dawne przedmieście niż ulicę *Vivienne*, starożytny zamknięty hotel niż nowy sklep dostępny wszystkim.

Zamieszkałem na wielkim placu *Savanny* leżącym w głębi przystani, ocienionej alejami, gdzie zawsze prawie daje się czuć powiew wietrzyku. Nikogo nie znałem w *Fort-de-France*, i mając wiele swobodnego czasu, błądziłem po rozległych placach i ulicach miasta jak dusza Hamleta. Pewnego razu gdym powracał koło szóstej wieczorem, spotkałem na *Savannie* dwie mulatki, które siedziały przy drzwiach mojego hotelu.

Wszak przejeżdżaliście osady i znacie mulatki.

Mniej lub więcej młode i piękne, wszystkie podobne są do siebie z rysów twarzy i ubiorów, róż-

wnie jak z serca i obyczajów. Cera, bez żadnego połysku prawie biała; oczy śmiałe, lubieżne, okrążone jakby ciemno-bronzową obwódką; paznokcie blado-różowe, przypominają ród ich matek; nogi bose w pantoflach; chód niedbały; na wpół okryte wielkimi rozchodzącymi się rozwiązanymi płaszczykami, z głową okrytą jedwabną fularową chustką lub *madrasem* jaskrawego koloru; schodzą się one przed wieczorem i siadają w kółka na wschodach przed domami. Odpoczywają tam oddychając świeżem powietrzem, gwarząc o wszystkim, śmiejąc się z lada przelatującego motyla, pokazując białe zęby, i w pośród śmiechów powtarzają ciągle jakiś frazes, którego się w ubiegłym dniu nauczyły, o którym zaraz zapomną usłyszawszy co nowego. Są to swobodne i płochy dziewczęta, dzieci miłości i oddane też miłostkom, śmiechom, zapomnieniu trosk i zmartwień. Widząc je, możnaby wiać za kobiety haremu, co uciekły z seraju, ażeby się naśmiać i swobodnie naswawolić po ulicach miasta.

Obiedwie siedziały przy moich drzwiach i śmiały się. Korzystając ze swobody kolonialnej, prze-

mówiwszy do nich kilka słów nic nie znaczących, usiadłem przy młodszej.

Murzynka niosąca na głowie pełne wiadro sorbetu przechodziła tamtędy; zawołałem ją. W upały zwrotnikowe, zawsze bardzo przyjemnie ochłodzić się lodami; obiedwie mulatki przyjęły sorbety, i już poprzyjaźniliśmy się. Wszystko prędko wzrasta, przechodzi i umiera w tych gorących krainach: byłem sam i bez żadnego zajęcia; a ona wolna i piękna: we dwa dni później byliśmy już więcej niż w przyjaźni. Miała ona lat siedmnaście, wiek ten uważają jeszcze za dziecinny w naszych chłodnych strefach, lecz w Martynice kobieta w tym wieku, już jest dojrzałą; wszędzie jednak lata te są wiekiem złotym. Zapewne jeżeli zająłem miejsce pierwszego jej kochanka, to takim sposobem:

jak król Ludwik po krolu Faramondzie.

Lecz w podróży trzeba się zabawić miłostkami jak się bierze bilet na teatr: wczoraj twoje miejsce kto inny zajmował; i znowu kto inny zastąpi cię jutro za tę samą cenę i będzie się napawał tym samym urokiem, śpiewów, miłostek, boleści, gdyż

sztuka co wieczor jest dla nowego przychodnia. A zresztą czyż nie ze wszystkiem jest w tym zajadnym domu, który zwiemy życiem ludzkim. Jest to los Olympia równie jak i nasz i lepiej śmiać się z tego niż płakać. My jako podróżni wyjeżdżamy sobie spokojnie dalej. A znowu gdybyśmy często znajdowali takie perły Andaluzkie, gdyby za nie przychodziło zawsze płacić częścią serca, cóżby zostało dla ojczyzny? Lecz najlepsza połowa mej duszy była tu w tej stronie— mogłem więc kochać bez obawy.

Jednakże każda młoda i piękna kobieta, posiada jakiś urok, jakiś odurzający pociąg, czarujący nawet te serca, co już są zajęte inną miłością; a więc i przy Nanie zapomniałem o nudach, oddaleniu i tęsknocie podróży; dusza moja oddawała się z wolna jej anielskiej słodyczy, jej spojrzeniom i miłym pieścizotom. Pewnego wieczora, a raczej poranku, w miłośnych upojeniach namawiałem ją żeby mi chciała towarzyszyć i opuścić swą wyspę, swój dom i tyle nędzne życie; chcąc ją skłonić do tego, opowiadałem o wspaniałościach Brezylji i podrównikowych kra-

jów; w zapomnieniu szeptałem jej na ucho marzenia wiecznej miłości. Nierozważne słowa wyrzeczone w chwili upojenia zmysłów, które się zapominają, jak i upojenie samo; jednak czasem zadrga od nich serce, tak jak kiedy roztargniona ręka dotknie przypadkiem fortepianu, i obudzi dawno zapomniane dźwięki.

Słuchając mnie tak mówiącego, biedne dziecko schyliło główkę i zaczęło marzyć; łzą zaszyły jej oczy i ta zatrzymywała się na długich rzęsach; lecz nagle przechodząc jak zwykle kreolka pod wpływ innego uczucia, objęła mnie rączkami za szyję i z prawdziwie dzieciennem przymileniem, opierając swe czoło na mojem:

— *Pauv ché! moi oulé, moi pas poué.*— Biedny mój drogi! chcę, lecz nie mogę. Białe tutaj są bardzo dobre. Gdybyś mnie zawiózł na wyspę gdzieby mieszkali sami tylko murzyni i mulaci, a białych nie było, umarłabym.— *Pauv ché, pauv ché,* zostań tu ze mną.

Przytulilem jej głowę i długo całowałem duże zwilżone łzami oczy; potem wyszedłem w milczeniu, z zasępieniem sercem. W trzy dni póź-

niej znajdowałem się już na pokładzie mego trzymasztowca i płynąłem do Nowego-Orleanu.

Widzisz więc, mój drogi Karlosie, że nasze białe i prawdziwe kreolki są jeszcze kochane od mulatek, i że mulatki nie są podobne do mulatów.

XXIII.

P r o r o k a.

HISTORIA Henryka podniosła humor Karlosa, który zaczął wyśmiewać wzgardzone uczucia naszego gospodarza. Lecz słońce zachodziło, a wybrzeże przedstawiało się na wielką przestrzeń naszym oczom. Zapomnieliśmy już o rannem śniadaniu przerwane fala, a ponieważ sieci przepadły z całym zapasem żywności, trzeba więc było koniecznie pomyśleć o wieczerzy.

Kilku naszych ludzi porobiło sznurki z włókien kory, haczyki do wędek z cierni i tak łowili ryby. Już ulowiono kilka *peskad*; lecz było nas piętnastu zgłodniałych, a tylko dziesięć czy dwanaście kiełbów i zapewne bylibyśmy mieli bar-

dzo skromną wieczerzę, gdy Bento kąpiąc się przy brzegu, spostrzegł sieć naszą. Przejście *prororoki* okryło ją prawie zupełnie piaskiem. W kilka chwil została odgrzebaną, zawleczoną do wody, optukaną i w pół godziny mieliśmy już na brzegu dobry zapas ryb.

Tymczasem Rafaelo oczyścił zupełnie nasze drzewo, i przygotował prawdziwe obserwatoryum o pięćdziesiąt stóp nad ziemią, na wierzchołku *Kastanhera*. Za pomocą kręcących się latorośli, które okrążały pień, potem po gałęziach, wdraliśmy się tam, dając ludziom naszym wybór, pójść za naszym przykładem, lub powrócić pod las, dla uniknienia bałwanów mającej wkrótce gwałtownie uderzyć *prororoki*.

Teraz ukazał się nam widok wspaniały, któremu mogliśmy napatrzeć się dowoli. Przed nami nieskończoność, Ocean ze swą wspaniałą majestatycznością, która czaruje i do marzeń pobudza. Złociste fale jego kapały się jakby w promieniach zachodzącego słońca. Żółta woda przy ujściu Amazonki iskrzyła się jak w ogniu, a przy lekkim wieczornym wietrze, każda fala morska

połyskiwała jak kawał wypolerowanej miedzi. Z lewej strony, wysepki Bragancyi okryte lasami, wysuwały się z po za bałwanów jak kupki rozproszonych drzew, oblanych światłością; a na prawo, daleko o ile tylko oko mogło dosięgnąć, lasy Kawianny, naszej wyspy, niknęły w ponurej głębokiej dali, jakby okryte własnym cieniem. U stóp naszych i naokoło nas wszędzie żółte wybrzeże, powyrywane miejscami od fali, zasypane gdzieniegdzie połamaną trzcina i pniami drzew, jaśniało podrównikowem słońcem.

Cały widnokrąg od wschodu i północy był błękitny, bez żadnej chmurki; lecz w dali, ku południowi nad Marajo i Para, niebo ukazywało się czarne, jak kamień łubkowy, jak noc bez gwiazd i księżyca; jakie tylko można widzieć pod równikiem, okryte chmurami coraz ciemniejszymi, po których co chwila przebiegały błyskawice, a po całym sklepieniu niebios, rozlegał się groźny odgłos piorunu. Zdjęci podziwieniem pełnem uszanowania, jakie zawsze wielka burza pomimowolnie wznieca, siedzieliśmy w milczeniu, ścigając okiem na tle sinawej chmury, mewy białoskrzydłe, które leciały naprzeciw nawałnicy.

Nakoniec doleciał nas straszny odgłos *proroki*, niesiony silnym pędem wichru, z początku głuchy, potem chrapliwy, i już panujący nad łoskotem grzmotu. Lecz wiatr nie był jednostajny: hałas ustawał i dawał się słyszeć znowu. Natenczas ujrzeliśmy na niebie nad wyspami Bragancyi, białawą chmurę, jak gdyby dym w oddaleniu. Potem znikły te wyspy zakryte wznoszącą się wysoko falą, a powstała na całym horyzoncie wielka żółta trąba, ozłocona blaskiem słońca. Nagle buk zagrzmiał głośny, przeraźliwy, rozlegając się na wszystkie strony. Fala zdawała się nagle podnosić prostopadle jakby powstające widmo. Ukośne promienie zachodzącego słońca okrywały ją swym blaskiem. Ujrzałem drzewa okryte liśćmi i ogromne czarniawe pnie toczące się lub sterczące w jej błotnistej wodzie. Cała zapieniona zbliżała się wprost do naszej wyspy. Już nic nie było słyszeć prócz okropnego jej szumu. Zdawało mi się, że ona coraz wyżej rośnie,.... aż pod sklepienia niebios!... i porwie nas w swem przejściu.

Wtem nagle uderzył na nas straszny wicher z drobnym deszczem, jak te obłoki, przez które

się przechodzi w górach wysokich;— już fala nas dosięgała; uchwyciłem się mocno za przytrzymujące mnie gałęzie, i zdawało się, że drzewo drży pod memi stopami, jak pokład parowego okrętu przy kotle. Uczułem jak oblał mnie ze wszech stron, wir wodny i przez chwilę nic nie widziałem, nawet naszego drzewa, otwierając i zamykając na przemian oczy, a mogąc zaledwie oddychać przez gęste smugi wody, które biły mi w twarz. Potem chmura zaczęła się zmniejszać. Spojrzałem pod siebie: o trzy łokcie pod memi stopami, bałwany pędziły gwałtownie, wściekle, tocząc z sobą cały pokład piany żółtej, błotnistej, w którą porywały drzewa i szczątki roślin. O ile tylko oko moje mogło dosięgnąć, wszędzie był taki sam widok; a biaława chmura okrywała prawie cały widnokrąg. Henryk i Karlos równie jak ja przypatrywali się w osłupieniu, porwani tym niezwykłym widokiem. Słychać było tylko huk uderzającej fali. Naokoło nas wszystkie krzewy i rośliny zniknęły, zalane wodą. Niekiedy wynioślejsze ich wierzchołki, ukazywały się na powierzchni i nikły natychmiast; a rozhukane bałwany uderzały ciągle o nasze drze-

wo i przelatując po za nami ginęły w lesie, jak w grobie.

Powoli łoskot zmniejszył się: krzaki nadbrzeżne ukazały się z pod fali; wody opadały, jak gdyby je pochłaniała otchłani podziemna, a prąd był mniej gwałtowny. Na powierzchni pozostała już tylko jakby powłoka z piany pełna liści i szczątków roślinnych poruszana jeszcze i drgająca tym nieokreślonym ruchem jaki zachowuje woda, zaraz po mocnym zawrzeniu. Morze stało się znowu spokojnem, gdy w dali rozszedł się odgłos drugiej *prororoki*; zbliżyła się ona jak i pierwsza mniej straszna, nie tak wysoko wznoszącą się nad wodą, mniej szalona, lecz przepływała jeszcze chyżej, tocząc w swych nurtach więcej drzew, więcej szczątków roślin i piany, niż pierwsza.

Czy patrzeliście kiedy z wysokiego mostu, wzniesionego nad koleją żelazną, kiedy pociąg zbliża się do was z całą szybkością? Najprzód widać w dali dym wychodzący z lokomotywy, wężykowato wijący się w powietrzu nad pociągiem, i zdaje się, że machina zaledwie się porusza. Lecz w miarę jej zbliżania podwaja się szybkość, a potem zwiększa w dziesięcioro; a kiedy już ma

przejsć pod wyniosłym mostem, z którego na nią patrzymy, wydaje się, że ten niesłychany potwór, zionący dymem i głośzący świstem, wpadnie na most, na was, podskakując do nieba. Przesunie się nagle, jak napowietrzne zjawisko; dym dusi was, świst zagłusza, potem wszystko niknie zacierając się na widnokręgu. Drugie przejście *proroki* zrobiło na mnie takie właśnie wrażenie, przypominające ojczyznę; tysiące lokomotyw zdawały się rzędem przelatywać i wprost na nas. Lecz trwało to krócej niż pierwsze, a huk ustał prędko. Trzecie przejście było tylko wysoko podnoszącą się falą morską, która gwałtownie przeleciała i tocząc się, znikła w głębiach lasu.

Zleźliśmy z drzewa w milczeniu, gdyż wielkie widowiska natury wzbudzają uszanowanie i cichość nakazują, tak, jak wszystkie wielkie rzeczy; kruki tylko zawsze krakają nad wszystkim jednostajnie i w każdej chwili. Doznawaliśmy tego przepięknego szczęścia, co duszę i zmysły zarazem zadawałnia.

I rzeczywiście było to piękne. Pierwsze miejsce zajmuje Niagara, potem *proroka* na Amazonce, nie znam nic piękniejszego pod słońcem.

Nie chcę wprawdzie zaprzeczać żadnej przyjemności, lecz niech inni podobają sobie widok strumyka jednostajnie wijącego się po łące, lub pochyłość wzgórza okrytego winogronami; ja, wolę patrzeć na wielkie katastrofy i wstrząśnienia natury; i niech mówią co chcą, przekładam góry Tyrolu, nad okryte winogronami wzgórza Szampanii, potoki w Kordylierach, nad niziny Luary. Niech ci co tak myślą, zechcą przypatrzeć się Niagarze, przejściu proroki na Amazonce, lub uraganu w Antillach; gdyż tylko stary Ocean i nowy świat, zachowały te okropne i straszne wstrząśnienia. Zamarły już starożytne wulkany starej naszej Europy, Wezuwijusz i Etna już tylko czasem słabo zakaszają popiołami i dymem, a i to nawet już im się rzadko przytrafia.

Wkrótce nadeszli nasi ludzie.

— Patrzcie, zawołał Karlos, — co za wspaniali filozofowie! ani jeden nie chciał wdrapać się do nas, mieć przyjemność ujrzenia tego widoku. — Jednak mają oni rację; piękny to widok, lecz na cóż się przyda? dużo hałasu i mętna woda!

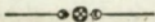
Cały brzeg był zalany żółtą wodą i jeszcze okryty pianą; tylko przylądek gdzie było nasze

drzewo, wystawał nad powierzchnią wód, lecz tam było zbyt ciasno, żeby przemocować ze wszystkimi ludźmi;— oprócz tego *proroka* miała jeszcze przechodzić w nocy, lecz o ile wspaniały jest ten widok, o tyle są niebezpieczne jej odwiedziny. Korzystaliśmy z ostatnich chwil dnia, żeby wyszukać pod lasem suche miejsce do wypoczynku, i gdzieby nie dochodził wylew morza. Ludzie zaprowadzili nas pod las na wzgórze gdzie przesiadzieli w czasie przejścia trąby. Nawalnica ciągle groziła; kazaliśmy więc porobić namioty z liści i wkrótce wieszowaliśmy sobie, że jesteśmy pod takim schronieniem, gdyż deszcz zaczął lać potokami.

Nazajutrz bardzo rano poszliśmy nad brzeg jeziora; wielki przyptyw podniósł wodę o kilka stóp, a pęd uniósł nasze czółna na środek, tak żeśmy ich nigdzie nie mogli dojrzeć. Szukając przez cały dzień, przed wieczorem, dopiero znaleźliśmy je na tym samym brzegu, tylko z drugiego końca jeziora, lecz było już za późno do odjazdu. Następnego dnia cały ranek mieliśmy wiatr przeciwny, i nie mogliśmy inaczej przebyć jeziora tylko za pomocą pagei. Powracaliśmy

tą samą drogą, którąśmy przybyli, płynąc dzień i noc, i trzeciego dnia przed południem wysiedliśmy przed domem Henryka.

Prororoka miała zupełnie ustać tegoż wieczora; wiatr był pomyślny do przepłynienia Amazonki i wydostania się na pełne morze; postanowiliśmy więc rano rozstać się z don Henrykiem, jak tylko przyptyw zacznie opadać, co miało nastąpić koło drugiej godziny po północy.



XXIV.

Powrót do Francyi.

GIAŁY ostatni wieczór przepędziliśmy u naszych gospodarstwa, w ich mieszkaniu. Rozmawiając długo o ojczyźnie, zdawało mi się, że don Henryk tęskni do niej. Probowiałem namówić go, żeby powrócił do Europy; zasmucała mnie jego melancholiczna rezygnacya, myślałem, że we Francyi prędzejby zapomniał o smutnych swych wspomnieniach, a wtedy powróciłaby dawniejsza spokojna szczęśliwość wraz z przyzwyczajeniami, do których nawykł od dzieciństwa. Ofiarowałem na moim statku, miejsce dla niego, dony Karmen i ich dzieci.

Karlos pomimo szyderczego swego sceptycyzmu umiał okazać i prawdziwe poświęcenie; był to przytem człowiek prawy i każdy interes mógł poprowadzić trafnie, on też po powrocie z Guberny, ofiarował się zająć sprzedażą jego niewolników i wszelkich produktów. Lecz Henryk potrząsnął tylko głową, nic nie odpowiadając. Ja nastawałem wystawiając Paryż, Francję, jej klimat, i wszystkie nasze przyjemności i rozkosze cywilizacyi.

— W przeciągu kilku godzin, mówiłem mu, możesz wszystko uporządkować; przy tem twój majątek wystarczy na wygodne, niezależne życie we Francyi. Jedź z nami! w dni dwadzieścia będziemy z Kajenny w Paryżu, a nie ma nic w świecie nad ojczyznę.

— Przyjacielu, odrzekł Henryk, noc jest jasna: obejrzyj się więc naokoło siebie. Cóżbyście mnie tam dali za to wszystko? Kilka pokoi bez świeżego powietrza w miejskim domu, wychodzącym na ulicę, otoczonym czterma sąsiadami. Nie, nie: wolę raczej mój las i swobodę. To nie ja powinienem ztąd wyjeżdżać; lecz ty powinienes tu pozostać. Wierzaj mi, jeśli na

tym świecie jest szczęście, to chyba tu, prędzej daleko niż w pośród zbytków i próżności waszej cywilizacyi. Nie wiesz, lecz powróciwszy poznasz. Jaka to przykrość żyć znowu pod jarzmem świata, kiedy się skosztowało słodyczy życia na pustyni; jak nie miło przemieniać się na mieszkańca miasta, kiedy się już zasmakowało dzikości. Wtedy zobaczysz jak to przykro np. nosić chustkę na szyi jak chomąt, dźwigać frak na ramionach; uśmiechać się tam do każdego przechodnia z goryczą w sercu, podawać rękę nie czując przyjaźni, i kłaniać się bez szacunku w duszy. A ileż to kosztuje żyć kilka miesięcy bez słońca, bez powietrza i przestrzeni, patrzeć na ulicę nie śmiejąc wyjść, lub drzeć od zimna pod przemokłym płaszczem. Jak boleśnie ciągle i zawsze zastanawiać się nad każdą przyjemnością lub przykrością, rachować się z głodem i sercem, z przyjaźnią i miłością.

Tu wstajesz o której chcesz porze, śpisz póki zechcesz, żyjesz podług upodobania, gdy głód poczujesz każesz zabić woła lub tapira; a gdy się sam wraz z ludźmi najesz, resztę wyrzucasz rzeczonym krokodylóm. Tam, będziesz musiał za-

stanowić się nad ceną jajka, i nie oddasz nawet twemu psu reszty kurczęcia. Jak tylko wrócisz oddasz się na oślepię jak szalony wszystkim przyjemnościom, rozkoszom tego Paryża o którym dziś marzysz. Lecz zaraz pierwszego dnia poczujesz brak jakiś, i jakby zbłąkanym wśród tego tłumu. To życie rozlargnione, huczne, chciwe i samolubne, zmorzy cię. Poczujesz smutek przy tych drzewach ogołoconych z liści; smutno też ci będzie gdy się ujrzyś wszędzie otoczony przyrodą urządzoną jak ogród zarogatkowy; a też dnie bez słońca, a noce bez gwiazd i księżycy i klimat wasz bez upałów. Najpyszniejsze wasze pałace, nie wyrównają pięknościom przyrody i lasom dziewiczym; więcej warta wolność, niż suto złociste galony, wasze sztuczne pagórki lub kanały, ręką ludzką kopane, nie wyrównają naszym góróm i potokóm; kominki nie zastąpią słońca. Dzieła ludzkie nie warte dzieł Boskich. Smutek cię ogarnie ile razy spojrzysz w stronę Ameryki i równika, marząc o naszym słońcu i wolności; pożądajesz swobody i życia koczującego na pustyni.

Długo tak rozmawialiśmy; długo przepowiadał

wszystko co mnie czeka: różne zawody, niespełnione nadzieje, smutki, niewczesne żale, wszystko to tak mi zapowiedział, jak gdyby czytał z księgi przyszłości. Lecz nie usłuchałem. Ojczyzna! zawsze ojczyzną! była mi na pamięci.

Gdy nadeszła chwila odjazdu, powstałem pożegnać się. Dona Karmen przeprowadziła nas nad brzegi amazonki, a Henryk czołnem aż do Kurui!

Blizko tej wyspy, zaczął wiać wiatr pomyslny dla jego powrotu; rozstał się więc z nami. Nim przeszedł na swoje czołno, zaklinał jeszcze raz ostatni żebym z nim pozostał i pożegnał Europę.

—Każemy dla ciebie wystawić namiot, rzekł, i wykarczować pole blizko nas, na tej samej wyspie. Będziesz sam mieszkał swobodnie; potem, jeśli ci się sprzykry samotność popłyniemy do Peru, któreś polubił; tam, w miłym swym kraju, dona Karmen wyszuka dla ciebie Limenienskę hiszpankę, która słodyczą i łagodnością umili ci życie. A nawet jeśli chcesz, to się tam przeniesiemy zupełnie. Peru, ziemia miłości i tak gościnna! Zostań z nami! zostań.

Lecz serce moje pragnęło powrotu; potrząsnęłam głową ściskając mu ręce, i usłyszałam jak przemówił z cicha:

Quos vult perdere Jupiter, dementat.

Kogo Jowisz chce zgubić, odbiera mu rozum.

Potem wziął z rąk Isidora rękopism który mi oddał, mówiąc:— Prosiłeś mię o historję mego życia, i chciałeś żebym ci opowiedział amerykańskie zwyczaje i obyczaje, wszystko to znajdziesz zebrane w tych zeszytach. Podaj je do druku lub spal, jak ci się podoba. Jeśli wydasz, przyszlj mi tę książkę i kosz szampana; będę ją tu odczytywał, pijąc za nasze spólne zdrowie.

Zabrałem wszystkie zeszyty: on odpłynął; przy powstającej zorzy długo jeszcze smutnie patrzałem na jego czółno, wreszcie choć na żagiel, dopóki tylko mogłem go dojrzeć przy blasku promieni wschodzącego słońca. Lecz zerwał się wiatr, rozdał żagle i unosił nas na pełne morze, a jego czółno zniknęło w oddaleniu. Gdy patrzałem w stronę Kajenny coraz więcej zbliżając się do niej, przejęty nadzieją i szczęściem ujrzenia ukochanej mojej rodziny i ojczyzny, zwolna zacie-

rał się w méj pamięci obraz Henryka i swobód życia, z którymi na zawsze się rozstałem.

Tegoż wieczora dostaliśmy się do Bajliku. Nazajutrz przepłynęli koło przylądka Północnego i Maraki, gdzie byłem zmuszony porzucić starego Johna naszego sternika, który mnie zdradzał. Lecz dzięki pewnemu Indyaninowi rybakowi z Mapa i igle magnesowej, podróż nasza postępowała bez przeszkód żadnych, a we dwa tygodnie przybyliśmy do Kayenny.

Tam Karlos pożegnał się ze mną aby powrócić do Para; odjazd tego przyjaciela zasmucił mnie na czas długi; zdawało się, że ostatni węzeł kojarzący mnie jeszcze z życiem amerykańskim, z życiem pustyni, zrywał się na zawsze. Część naszych ludzi została w Gujanie, inni powrócili z Karlosem do Brezylji. W czterdzieści dni potem byłem w Martynice, a od sześciu miesięcy jestem we Francji.

Don Henryk przepowiedział mi mój los zupełnie. Doznałem z razu prawdziwej rozkoszy powrotu, lecz wnet następnie przymusu życia cywilizowanego, oschłego i zimnego przyjęcia i wielu przykrych zawodów. Życzliwa ręka pod-

trzymywała mnie czas jakiś, lecz i ta się odda-
 liła; ja zostałem sam, znużony próżnemi zabie-
 gami, zawiedzionemi nadziejami, zniechęcony do
 poważnych prac, które dla mnie równie jak dla
 brata mego stały się bezowocnemi; marząc o
 don Henryku i o spokojnem bez żadnych trosk
 życiu pod równikiem. Potem jeden z moich przy-
 jaciół radził mi, zaniechać wszelkiego sprawo-
 zdania, rzucić mappy, liczby, produkta handlowe,
 słowem to wszystko co zebrane było przez nas
 z taką pracą, a tak wzgardliwie odrzucone przez
 tych, dla których było przygotowane, a zająć
 się następnie opisaniem spokojnem i swobo-
 dnem, obyczajów innego świata. Zgodziłem się
 na to i napisałem ten jakby prolog, nim wy-
 dam rękopisma don Henryka. Dzięki niech bę-
 dą tym co pokrzepili moją odwagę, dzięki i
 tym także co mnie przyjęli z uprzejmą gościn-
 nością.

K O N I E C .



	<i>Stronica.</i>
I Wyjazd z Belem (Para-Brezylji)	5
II. Spotkanie	15
III. Zaplątanie kotwicy	25
IV. Trzęsawisko	34
V. Butel Ratafii	44
VI. Dalszy ciąg spotkania się	50
VII. Mieszkanie Don Henryka	58
VIII. Obiad pod równikiem	72
IX. Historya galerników	79
X. Dwa sny	131
XI. Mieszkanie pod równikiem	145
XII. Maniok	152
XIII. Gujana i folwarki na Sawannach	171
XIV. Wąż Sucuriju	181
XV. Murzyńska Ajupa i Karbet Indyanina	189
XVI. Czółna na Amazonce	195
XVII. Juana	206
XVIII. Odjazd na Prororokę	223
XIX. Polowanie na dziki	237
XX. Biszo	248
XXI. Podróż na przeciw Prororoki	257
XXII. Mulatka w Martynice	277
XXIII. Prororoka	388
XXIV. Powrót do Francyi	298



A No 004065 U



C e n a
zł 15 gr

DK wzór 217 „Prasa“ Bydg. 2335 51

